

John Steinbeck

## Ulica Nadbrzeżna

Tytuł oryginału angielskiego CANNERY ROW

Tłumaczył Adam Kaska

CZYTELNIK WARSZAWA 1958

S. W. „Czytelnik”. Warszawa 1958 r.

Nakład 20 253 egz. Objętość ark. wyd. 8,75; ark. druk. 15,5. Papier druk. migi. kl. IV, 110 g, 72 X 96 z  
fabryki papieru w Skolwinie. Oddano do składania 28.VIII.1957 r. Podpisano do druku 23.12.1957 r.

Druk ukończono w styczniu 1958 r. Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie. Zam. nr.  
5223. B-19 Cena zł 14. Printed in Poland

## *Ulica Nadbrzeżna*

Ulica Nadbrzeżna w Monterey, stan Kalifornia, to poemat, smród, ogłuszający hałas, feeria świateł, pieśń, mania, nostalgia, sen. Ulica Nadbrzeżna to śmietnisko zardzewiałej blachy, żelaza i połamanych desek, szczerbaty bruk, zarosłe chwastem, place i stosy złomu, zbudowane z falistej blachy wytwórnie konserw rybnych, knajpy, restauracje i burdele, małe, ciasne sklepy spożywcze, laboratoria i hoteliki. Jej mieszkańcy to, jak się ktoś kiedyś wyraził, „dziwki, alfonsi, szulerzy i skurwysyny”. Gdyby ten ktoś spojrział z innej strony, powiedziałby może „święte kobiety, aniołowie, męczennicy i zacni ludzie”, i też miałby słuszość.

Rankiem, gdy flota wraca z połowu sardynek, trawlerzy telepią się do zatoki dmąc w okrętowe syreny. Ciężko załadowane statki przybijają do brzegu, gdzie wytwórnie konserw zanurzają w wodzie swe ogony. Tę przenośnię wybrano celowo, bowiem gdyby wytwórnie zanurzały w morzu swe paszcze, to sardynki w puszkach, które wychodzą z drugiego końca, byłyby metaforycznie czymś jeszcze bardziej przerażającym. Wyją syreny fabryczne i w całym mieście mężczyźni i kobiety naciągają na siebie ubrania i pędzą na Nadbrzeżną do pracy. W połyskujących samochodach przybywają wyższe klasy społeczne: superintendenci, rachmistrze i właściciele, i znikają w biurach. Później z miasta wylewa się tłum Włochów, Chińczyków i Polaków, zarówno mężczyźni, jak i kobiety w spodniach, gumowych kurtkach i brezentowych fartuchach. Cała ulica dudni i jęczy, i wyje, i chrzęści, podczas gdy srebrne rzeki sardynek wylewają się ze statków, a statki coraz bardziej wynurzają się z wody, aż się wypróżnią zupełnie. Wytwórnie dudnią, grzechoczą i piszczą, aż się oczyści, oprawi, przyrządzi i umieści w puszcze ostatnią rybkę. Potem syreny wyją znowu, i ociekający tłuszczem, śmierdzący, zmęczeni Włosi, Chińczycy i Polacy, mężczyźni i kobiety, wyłażą z hal i wloką się pod górę do miasta, a ulica Nadbrzeżna znowu staje się sobą — spokojna i czarodziejska. Powraca do normalnego życia. Włóczędzy, którzy z odrazą cofnęli się pod czarny cyprys, wychodzą posiedzieć na zardzewiałych rurach na pustym placu. Dziewczyny od Dory wygrzewają się na słońcu, o ile jest słońce. Doktor sunie od Zachodniego Laboratorium Biologicznego i przechodzi

przez ulicę, by wpaść do sklepu Lee Chonga po dwie kwarty piwa. Malarz Henri wietrzy jak wyżeł wśród złomu na porośniętym trawą placu, szukając jakiegoś kawałka drzewa lub metalu potrzebnego mu do żaglówki, którą sobie buduje. Potem nastaje ciemność i przed zakładem Dory zapala się latarnia uliczna, która wiecznie oblewa ulicę Nadbrzeżną swoim księżycowym światłem. Do doktora w Zachodnim Laboratorium Biologicznym przybywają goście, a on znowu przechodzi ulicę, by kupić u Lee Chonga pięć kwart piwa.

Jak można schwytać żywcem poemat, smród i ogłuszający hałas, feerię świateł, manię i sen? Jeśli ktoś zbiera morskie stworzonka, wie, że istnieją pewne płaskie istotki, tak delikatne, iż jest prawie niemożliwe schwytać je w całości, bo pękają i rozpadają się przy najlżejszym dotknięciu. Trzeba zaczekać, aby podpłynęły i same wypęzły na klingę noża, a następnie przenieść je delikatnie do butelki z morską wodą. I może właśnie w ten sposób należy napisać tę książkę: otworzyć stronicę i pozwolić opowieściom, żeby wpłynęły na nią same.

## *Rozdział 1*

Sklep spożywczy Lee Chonga, jeśli nawet nie stanowił wzoru czystości, stanowił cudo zaopatrzenia. Był mały i zatłoczony, ale w tym jednym pomieszczeniu człowiek znajdował wszystko, czego potrzebował lub pragnął do życia i szczęścia — ubranie, artykuły spożywcze, zarówno świeże jak i konserwowane, spirytualia, wyroby tytoniowe, sprzęt rybacki, maszyny, łodzie, liny, czapki i kotlety wieprzowe. U Lee Chonga kupowało się pantofle, jedwabne kimono, ćwiartkę whisky i cygaro. Klient mógł wynajdywać zestawienia stosowne dla każdego nastroju. Jedyne towary, jakiego Lee Chong nie trzymał, można było dostać po drugiej stronie placu, u Dory.

Sklep otwierał się o świcie i nie zamykał, póki ostatni klient nie wydał ostatnich dziesięciu centów albo nie schował ich do kieszeni. Nie to, żeby Lee Chong był chciwy. Wcale nie. Ale jeśli ktoś chciał wydawać pieniądze, Lee nie miał nic przeciwko temu. Jego stanowisko w społeczeństwie dziwiło go o tyle, o ile coś w ogóle mogło go dziwić. Z biegiem czasu każdy mieszkaniec ulicy Nadbrzeżnej był u niego zadłużony. Nigdy nie dusił swoich klientów o pieniądze, ale jeśli rachunek stawał się zbyt wielki, Lee zamykał kredyt. Zamiast chodzić na górę do miasta, klient zwykle płacił albo przynajmniej próbował płacić.

Lee był okrągłolicy i bardzo uprzejmy. Mówił wspaniałą angielszczyzną nie używając nigdy spółgłoski „r”. Gdy w Kalifornii toczyły się „żółte wojny”, Lee dowiadywał się niekiedy, iż nałożono cenę na jego głowę. Wtedy w tajemnicy jechał do San Francisco do szpitala i siedział tam, póki nie skończyła się cała awantura. Co robił z pieniędzmi, tego nikt nie wiedział. Może ich w ogóle nie miał. Może cały jego majątek składał się z niezapłaconych rachunków. Ale żył dostatnio i cieszył się szacunkiem wszystkich swoich sąsiadów. Ufał klientom, póki dalsze zaufanie nie stawało się już śmieszne. Czasami popełniał omyłki w interesach, ale nawet te omyłki dawały później korzyści moralne, jeśli nie przynosiły żadnych innych zysków. W ten sposób stało się z willą „Cichy Kącik”. Każdy kupiec z wyjątkiem Lee Chonga uznałby tę transakcję za kompletną stratę.

Lee Chong stał w swoim sklepie za gablotą z papierosami służącą za kontuar. Po lewej ręce miał rejestr kasowy, a po prawej — liczydła. W szklanej gablocie leżały brązowe cygara, papierosy i różne gatunki tytoniu, natomiast za plecami Lee Chonga, na półkach przy ścianie, stały różnych rozmiarów butelki Old Green River, Old Town House, Old Colonel i ulubiona Old Tennessee, mieszanka przynajmniej czteromiesięczna, gwarantowana, bardzo tania i znana w okolicy pod mianem Starych Tenisówek. Lee Chong nie bez powodu stał między whisky a klientem. Różni spryciarze próbowali przy okazji zwrócić jego uwagę na pozostałą część sklepu. Kuzyni, siostrzeńcy, synowie i synowe obserwowali pozostałe części sklepu, lecz Lee Chong nigdy nie opuszczał kantoru z cygarami. Wierzchnie szkło gabloty było jego biurkiem. Jego pulchne, delikatne ręce spoczywały na szkle, zaś palce poruszały się jak małe niespokojne kielbaski. Nie nosił żadnej biżuterii poza szeroką złotą obrączką na środkowym palcu lewej ręki i tą obrączką stukał lekko w gumową płytkę do wydawania reszty. Małe gumowe prążki na płytce wytarły się już dawno. Lee miał pełne i dobroduszne usta, które, gdy się uśmiechał, połyskiwały bogatym i ciepłym blaskiem złota. Nosił połówki okularów, a kiedy przez nie na coś patrzył, odchyłał głowę do tyłu, żeby widzieć na odległość. Dyskonto i rabat, dodawanie i odejmowanie obliczał na liczydłach swymi małymi, niespokojnymi, kielbaskowatymi palcami, podczas gdy jego brązowe życzliwe oczy toczyły po sklepie, a zęby błyskały w stronę klientów.

Pewnego wieczora Lee stojąc na zwykłym miejscu, podłożywszy gazetę pod nogi, żeby mu nie marzły, melancholijnie rozważał pewną transakcję zawartą i unicestwioną później tego samego wieczora. Kiedy ktoś wychodzi ze sklepu Lee Chonga i przecina na ukos porośnięty trawą plac obok wielkich zardzewiałych rur, wyrzuconych z przetwórnicy, trafia na ścieżkę wydeptaną wśród zielska. Idąc tą ścieżką koło cyprysu, przez mostek z poręczami nad torem kolejowym, dochodzi się wreszcie do długiego, niskiego budynku, który przez długi czas służył jako skład na mączkę rybną. Była to po prostu ogromna izba, przykryta wysokim dachem, a należała do smutnego dżentelmena nazwiskiem Horacy Abbeville. Horacy miał dwie żony i sześcioro dzieci, a w ciągu kilku lat drogą próśb i perswazji potrafił narobić w sklepie spożywczym tyle długów, jak nikt w Monterey. Owego wieczora wszedł do sklepu, a jego wrażliwa twarz drgnęła na widok cienia powagi, jaki przesunął się po twarzy Lee Chonga. Pulchny palec Lee stukał po gumowej płytce. Horacy oparł na kontuarze ręce dłońmi do góry.

— Zdaje się, że jestem panu winien kupę forsy — powiedział po prostu.

Zęby Lee błysnęły w uznaniu dla powitania tak różnego od wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszał. Poważnie skinął głową, lecz czekał, co z tego dalej wyjdzie.

Horacy zwilżył usta językiem, dokładnie od kącika do kącika.

— Nie chciałbym, żeby to wisało na moich dzieciach — powiedział. — Jestem pewny, że nie dałyby im pan nawet paczuszki miętówek.

Twarz Lee Chonga wyrażała całkowitą zgodę z tą konkluzją.

— Kupa folsy — rzekł.

Horacy ciągnął dalej:

— Pan wie o tym moim budynku za torem, tam gdzie jest mączka rybna.

Lee Chong skinął głową. To była jego mączka rybna.

Horacy zapytał z powagą:

— Gdybym odstąpił panu ten dom... rozliczy się pan ze mną na czysto?

Lee Chong cofnął głowę wpatrując się w Horacego przez swe połówki okularów, podczas gdy jego myśli trzepotały wśród rachunków, a prawa ręka wyciągała się niespokojnie ku liczydłom. Zastanawiał się nad budynkiem, który był nienadzwyczajny, i palcem, który miałby dużą wartość, gdyby wytwórnice konserw chciały się rozbudowywać.

— Dobra — powiedział Lee Chong.

— W porządku. Niech pan wyciągnie rachunki, a ja napiszę umowę sprzedaży tego domu.

Wyglądało na to, że Horacemu się śpieszy.

— Nie trzeba papieru — powiedział Lee. — Złobię kwit cały lachunek.

Zakończyli transakcję z godnością i Lee Chong wyciągnął ćwiartkę Starych Tenisówek. A potem Horacy Abbeville, idąc bardzo prosto, przeszedł przez plac, koło cyprysu, przez mostek nad torem, wszedł do budynku, który przedtem należał do niego, i zastrzelił się na kupie mączki rybnej. A chociaż to nie ma nic wspólnego z całą historią, żadne dziecko Abbeville'a, niezależnie od której pochodziło matki, nie zaznało potem braku miętówek.

Ale wróćmy do tamtego wieczoru. Horacy leżał na marach naszpikowany igłami do balsamowania, a jego dwie żony siedziały na stopniach jego domu obejmując się ramionami (były dobrymi przyjaciółkami aż do pogrzebu, po czym podzieliły dzieci i nigdy już nie zamieniły między sobą ani słowa), Lee Chong stał za kontuarem z wyrobami tytoniowymi, a jego piękne brązowe oczy zwracały się w głąb duszy w łagodnej i wiecznej chińskiej trosce. Zdawał sobie sprawę, że nie mógłby nic pomóc, ale żałował, iż nie wiedział o tym wcześniej i przynajmniej nie próbował pomóc. Przekonanie, że człowiek ma

niezaprzeczalne prawo zabić samego siebie, stanowiło jedną z najistotniejszych części światopoglądu Lee Chonga, ale niekiedy przyjaciel może sprawić, że to prawo okazuje się niepotrzebne. Lee właśnie podpisał zobowiązanie pokrycia kosztów pogrzebu i posłał kosz z żywnością dla pogrążonych w żałobie rodzin.

W ten sposób Lee Chong stał się właścicielem budynku Abbeville'a — dobry dach, dobra podłoga, dwa okna i drzwi. Oczywiście leżał tu ogromny stos mączki rybnej, a jej odór był ostry i przenikliwy. Lee Chong rozważał wykorzystanie budynku na coś w rodzaju składu na towary, ale zaraz się rozmyślił. Budynek znajdował się zbyt daleko i każdy mógł wejść przez okno do środka. Postukiwał obrączką w gumową płytkę i rozmyślał nad tym problemem, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Mack. Mack był przełożonym, szefem, mentorem i w pewnym stopniu eksploatatorem małej grupki mężczyzn, którzy na ogół nie mieli rodzin, pieniędzy i żadnych ambicji poza jedzeniem, pićciem i przyjemnym życiem. Ale podczas gdy większość ludzi w swoim dążeniu do przyjemnego życia niszczy samych siebie i pada z wyczerpania tuż przed celem, Mack i jego przyjaciele podchodzili do przyjemnego życia rzeczowo, spokojnie i cieszyli się nim umiarkowanie. Mack i Magda, młody człowiek o wielkiej sile, Eddie, który napełniał kieliszki jako barman w La Ida, Hughie i Jones, którzy przy okazji łapali żaby i koty dla Zachodniego Laboratorium Biologicznego — mieszkali na bieżąco w olbrzymich zardzewiałych rurach na placu koło sklepu Lee Chonga. To znaczy przebywali w rurach, kiedy było dżdżysto, bo przy pięknej pogodzie mieszkali w cieniu wielkiego cyprysu na szczycie pagórka. Zwieszające się gałęzie drzewa tworzyły namiot, pod którym człowiek mógł leżeć i patrzeć na ruch i życie ulicy Nadbrzeżnej.

Lee Chong zawsze lekko sztywniał, gdy Mack wchodził. Oczy jego rzucały wtedy szybkie spojrzenia po sklepie, by się przekonać, czy nie weszli również Eddie, Magda, Hughie lub Jones i nie rozproszyli się wśród towarów.

Mack wyłożył swe karty z ujmującą szczerością.

— Lee — powiedział. — Ja i Eddie, i inne chłopaki słyszeliśmy, że jesteś teraz właścicielem tego budynku Abbeville'a.

Lee skinął głową i czekał.

— Ja i chłopaki pomyśleliśmy sobie, że spytamy, czybyśmy nie mogli się tam wprowadzić. Będziemy pilnować budynku — dodał szybko. — Żeby nikt nie wlaził i nie połamał czegoś. Dzieciaki mogą powybijać okna, uważasz? Albo cała chałupa może się spalić, jak ktoś nie będzie miał jej na oku.



Lee Chong przechylił głowę wpatrując się w oczy Macka przez swe połówki okularów, a ruchliwy palec Lee zwolnił tempo, gdy jego właściciel rozmyślał głęboko. W oczach Macka błyszczała dobra wola, życzliwość i pragnienie, by każdego uczynić szczęśliwym. Dlaczegoż, więc Lee Chong czuł się tak, jakby go zapędzono w ślepy zaułek? Dlaczego jego umysł szukał drogi wyjścia tak ostrożnie jak kot wśród kaktusów? Propozycję postawiono delikatnie, niemal że w duchu filantropijnym. Myśl Lee skoczyła naprzód ku innym możliwościom... nie, nie istniały żadne możliwości, a stuk palca stał się jeszcze wolniejszy. Widział siebie odrzucającego prośbę Macka i widział powybijane szyby w oknach. Potem Mack zaproponuje jeszcze raz objęcie opieki nad posiadłością — i po drugiej odmowie Lee czuje dym i widzi małe płomyki pełzające po ścianach. Mack i jego przyjaciele będą starali się do tego nie dopuścić. Palec Lee oparł się na gumowej płytce korzystając z zasłużonego odpoczynku. Lee był pobity. Wiedział o tym. Pozostała mu tylko jedna możliwość zachowania twarzy, a Mack prawdopodobnie będzie wielkoduszny.

— Wy chce płacić komolne mój dom? Wy chce mieszkać tam hotel?

Mack uśmiechnął się szeroko i był wielkoduszny.

— O! — zawołał. \_ To jest myśl! Jasne. Ile?

Lee zastanowił się. Nie miało znaczenia, ile zażąda. I tak nigdy nie będzie tego widział. Powinien tylko wymienić przyzwoitą, stosowną dla zachowania twarzy sumę.

— Pięć dolal tydzień — oświadczył Lee.

Mack odegrał przedstawienie do końca.

— Muszę pogadać z chłopakami — powiedział z powątpiewaniem. — Nie opuściłbyś na cztery dolary tygodniowo?

— Pięć dolal — rzekł Lee twardo.

— Dobra, zobaczę, co chłopaki powiedzą — odparł Mack.

W ten sposób się to odbyło. I każdy był zadowolony. Może ktoś pomyśli, że Lee poniósł całkowitą stratę, ale on sam wcale tak nie uważał. Szyb nikt nie wybijał. Pożar nie wybuchał, a jeśli nie płacono komornego, nawet wtedy, gdy lokatorzy mieli pieniądze, a niekiedy rzeczywiście je mieli, nigdy by im nie przyszło do głowy wydać je gdzie indziej niż w sklepie Lee Chonga. Miał przynajmniej małą grupę aktywnych i potencjonalnych klientów. Ale nie tylko to. Jeśli jakiś pijak robił awanturę w sklepie, jeśli chmara chłopaków z Nowego Monterey nadciągała na rabunek, wystarczyło, żeby Lee krzyknął, a jego lokatorzy pędzili na pomoc. Powstała jeszcze inna więź — nie można kraść swemu dobroczyńcy. Oszczędności Lee Chonga na puszkach fasoli, pomidorów, mleka i arbuzów

wynosiły więcej niż komorne. A jeśli nawet pojawiło się niespodziewanie wysokie manko w sklepach spożywczych w Nowym Monterey, to ostatecznie mało obchodziło Lee Chonga.

Chłopaki wprowadzili się do budynku, a mączkę rybną usunęto. Nikt nie wie, kto nazwał ten dom willą „Cichy Kącik”, w każdym razie od tego czasu występował pod tym mianem. W rurach i pod cyprysami nie było miejsca na meble i inne ozdóbki, które są nie tylko jedną z charakterystycznych cech, ale i więzami naszej cywilizacji. Dopiero w willi chłopaki zaczęli się meblować. Pojawiło się krzesło, łóżko polowe i drugie krzesło. Firma artykułów gospodarstwa domowego dostarczyła puszek czerwonej farby, bez żalu, ponieważ wcale o tym nie wiedziała, a gdy zjawił się nowy stół czy stołek, natychmiast je malowano, nie tylko dla upiększenia, lecz również dlatego, że w pewnym stopniu zmieniało to wygląd mebla na wypadek, gdyby do willi zajrzał dawny właściciel. I willa zaczęła funkcjonować. Chłopaki mogli siedzieć przed drzwiami i patrzeć na tor, na plac i ulicę, prosto we frontowe okna Zachodniego Laboratorium Biologicznego. Mogli słyszeć nocną muzykę z laboratorium. Ich oczy odprowadzały doktora, gdy szedł po piwo do Lee Chonga. A Mack mówił:

— Ten doktor to równy gość. Musimy coś dla niego zrobić.

## *Rozdział 2*

Słowo jest symbolem i rozkoszą, Słowo wchłania ludzi i obrazy, drzewa, rośliny, fabryki i pekińczyka. Bowiem Ciało staje się Słowem i znowu wraca do Ciała, lecz splecione i utkane w fantastyczny wzór. Słowo wchłania ulicę Nadbrzeżną, trawi ją i wypływa, a ulica nabiera blasku zielonych przestrzeni i mórz, w których odbija się niebo. Lee Chong jest kimś więcej niż chińskim sklepikarzem. Musi być kimś więcej. Może jest wcieleniem zła utrzymywanym w równowadze przez dobro — azjatycką planetą toczącą się po swej orbicie dzięki sile przyciągania filozofii Lao Tse i odpychaną od Lao Tse przez siłę odśrodkową liczydeł i rejestru kasowego — Lee Chong, zawieszony w przestrzeni i wirujący między towarami i duchami? Twardy człowiek wobec puszek fasoli, łagodny wobec kości swego dziadka. Bowiem Lee Chong rozkopał grób w China Point i znalazł żółte kości; przy czaszce wisiły jeszcze siwe twarde włosy. I Lee starannie ułożył szkielet, kości udowe i golenie zupełnie prosto, czaszkę w środku, przy niej miednicę i obojczyk, a po drugiej stronie wygięte żebra. Potem Lee Chong, zapakowawszy w skrzynkę swego zmurszałego dziadka, wysłał go przez zachodnie morze, by wreszcie mógł spocząć w ziemi uświęconej przez przodków.

Mack i chłopaki również krążą po swoich orbitach. Oni są Cnotami, Gracjami i Wdziękami zagonionego i maniackiego Monterey oraz kosmicznego Monterey, gdzie ludzie w strachu i trwodze niszczą swoje żołądki walcząc o zdobycie odrobiny jedzenia, gdzie ludzie zgłodniałi miłości niszczą wokół siebie wszystko, co jest miłości godne. Mack i chłopaki to Wdzięki, Cnoty i Gracje. W świecie rządonym, przez ranne tygrysy, kierowanym przez rozdrażnione byki, utrzymywanym w porządku przez ślepe szakale, Mack i chłopaki delikatnie spożywają swe posiłki wspólnie z tygrysami, głaszczą podniecone bydłota i zbierają okruchy jedzenia, by karmić mewy ulicy Nadbrzeżnej. Jaka jest korzyść dla człowieka, gdy zdobędzie cały świat, jeśli przypłaci swój majątek wrzodem na żołądku, impotencją czy gruźlicą? Mack i chłopaki unikają pułapki, obchodzą truciznę, wymijają sidła, zaś pokolenie zapędzonych w pułapkę, zatrutych, uwikłanych w sidła ludzi wymyśla im i nazywa ich nicponiami, zakałami społeczeństwa, łobuzami, złodziejami,

łajdakami, włośczęgami. Ojciec nasz, który jest w naturze, który obdarował życiem kojota, pospolitego brązowego szczura, wróbla, muchę domową i mola, musi żywić ogromną i przemożną miłość do nicponi, zakał społeczeństwa i włośczęgów, Macka i chłopaków. Cnoty i wdzięki, lenistwo i przyjemności. Ojciec nasz, który jest w naturze.

### *Rozdział 3*

Sklep Lee Chonga znajduje się po prawej stronie pustego placu (choć dla czego mówi się o nim „pusty”, kiedy jest cały załadowany starymi kotłami, rdzewiejącymi rurami, wielkimi kwadratowymi belkami i stosami pięciogalonowych puszek, nikt nie potrafi wyjaśnić). Na tyłach pustego placu znajduje się tor kolejowy i willa. Ale przy lewej granicy placu mieści się wysoce moralny i dostojny burdel Dory Flood — przyzwoity, czysty, uczciwy, staromodny zakład rozrywkowy, gdzie mężczyzna może wypić kufel piwa z przyjaciółkami. Nie jest to żadna tania i wulgarna nocna spelunka, ale dzielny, cnotliwy klub, założony, prowadzony i kierowany przez Dorę, która to, madama i panna od pięćdziesięciu lat, potrafiła przez stałe praktykowanie właściwego jej taktu i uczciwości, dobroczynności i pewnego realizmu zjednać sobie respekt ludzi inteligentnych, wykształconych i miłych. I z tego samego powodu jest nienawidzona przez ograniczone i lubieżne społeczeństwo zamężnych dziewcząt, których małżonkowie szanują dom, ale nie lubią go zbytnio.

Dora jest wielką kobietą, wielką, potężną kobietą o włosach płomiennie-pomarańczowych, ze specjalną skłonnością do zielonych wieczorowych sukni. Prowadzi uczciwą firmę ze stałymi cenami, nie sprzedaje wysokoprocentowych napojów alkoholowych i nie pozwala na zbyt głośne czy wulgarne rozmowy w swoim zakładzie. Niektóre z jej dziewcząt są już prawie nieaktywne ze względu na wiek i chorobę, ale Dora nigdy ich nie usuwa, mimo że, jak powiada, niektóre z nich nie mają nawet trzech klientów na miesiąc, ale muszą jeść trzy razy dziennie. W chwili lokalnego patriotyzmu Dora nazwała swój zakład Restauracją pod Niedźwiedzią Flagą i podobno wiele zmylonych tą nazwą osób wpadało tam, by coś przegryźć. Zwykle w zakładzie jest dwanaście dziewcząt, wliczając w to stare, grecki kucharz i jeden mężczyzna, którego nazywa się dozorcą, ale który wykonuje wszelkiego rodzaju delikatne i niebezpieczne zadania. Przerywa bójkę, wyrzuca pijaków, uspokaja ataki hysterii, leczy bóle głowy i prowadzi bar. Bandażuje skaleczenia i siniaki, załatwia interesy z policjantami, a ponieważ przynajmniej połowa dziewczyn należy do sekty Wiedzy Chrześcijańskiej, czyta na głos odpowiedni

rozdział „Wiedzy i Zdrowia” w niedzielę rano. Jego poprzednik był o wiele mniej zrównoważonym człowiekiem i, jak dalej opowiemy, przyszło mu na zły koniec, ale Alfred zatriumfował nad swym otoczeniem i podniósł je do swego poziomu. Wie, czym może być mężczyzna w takim miejscu, a czym być nie może. Wie o życiu domowym obywateli Monterey więcej niż ktokolwiek w mieście.

Jeśli chodzi o Dorę — prowadzi ona dość nerwowe życie. Występując przeciwko prawu, a przynajmniej przeciwko literze prawa, musi dwa razy więcej szanować prawo niż ktokolwiek inny. U Dory nie może być pijaków, bijatyk ani wulgarności, bo ją zamkną. Ponadto, ponieważ prowadzi nielegalny interes, musi szczególną uwagę zwracać na filantropię. Z Dory każdy doi forszę. Jeśli policja urządza zabawę na fundusz emerytalny i każdy daje dolara, Dora musi dać pięćdziesiąt dolarów. Gdy Izba Handlowa upiększa swoje ogrody, kupcy dają po pięć dolarów, lecz od Dory żąda się, a ona daje rzeczywiście, całą setkę. I ze wszystkim jest tak samo: Czerwony Krzyż, Fundusz Opieki Społecznej, harcerze — zawsze listę ofiar rozpoczynają nieopiewane przez nikogo, niesławne, bezwstydnie brudne pieniądze grzechu. Kryzys właśnie Dorę dotknął najciężej. Bo choć składała zwykłe ofiary, widziała głodne dzieci ulicy Nadbrzeżnej, bezrobotnych ojców i zrozpaczone kobiety. Dora przez dwa lata płaciła rachunki za artykuły żywnościowe na lewo i prawo i omal że nie zbankrutowała. Jej dziewczyny są dobrze wyszkolone i sympatyczne. Nigdy nie powiedzą słowa do mężczyzny na ulicy, choćby był u nich poprzedniej nocy.

Zanim Alf, obecny dozorca, objął swe obowiązki, w Restauracji pod Niedźwiedzią Flagą zdarzyła się tragedia, która zasmuciła wszystkich. Poprzedni dozorca miał na imię William. Był to mężczyzna o ciemnej cerze i włosach i wyglądał na samotnika. W dzień, kiedy miał niewiele do roboty, coraz bardziej nudził się kobiecym towarzystwem. Przez okna widział siedzących na rurach na pustym placu Macka i chłopaków, którzy, zwiesiwszy nogi w żółtych chwastach, opalali się, a jednocześnie dyskutowali zwolna i filozoficznie o sprawach ciekawych, choć niezbyt ważnych. Widział, że od czasu do czasu wyciągają pół kwarty Starych Tenisówek i wytarłszy rękawem szyjkę butelki kolejno podnoszą ją do ust. William zapragnął przyłączyć się do tej dobranej grupy. Pewnego dnia wyszedł i usiadł na rurze. Rozmowa urwała się i zapadła niezręczna cisza. Po pewnej chwili strapiony William poszedł z powrotem pod Niedźwiedzią Flagę i przez okno zobaczył, że rozmowa odżywa na nowo. To go zasmuciło. Miał ciemną brzydką twarz i usta skrzywione od smutnych myśli.

Następnego dnia poszedł znowu i tym razem wziął ze sobą butelkę whisky. Mack i chłopaki pili whisky, ale mimo to nie rozkrochmalili się, a ich wypowiedzi ograniczały się jedynie do „Wszystkiego dobrego” i „No, to ciach”.

Po pewnym czasie William wrócił pod Niedźwiedzią Flagę i patrzył na nich przez okno, i usłyszał, że Mack podnosi głos mówiąc:

— Niech to wszyscy diabli! Nie cierpię alfonsów.

Była to oczywista nieprawda, aczkolwiek William o tym nie wiedział. Mack i chłopaki po prostu nie lubili Williama.

I teraz serce Williama pękało z żalu. Włóczędzy nie chcieli go przyjąć do towarzystwa. Czuli, że stoi o wiele niżej od nich. William lubował się zawsze w introspekcji i oskarżaniu samego siebie. Włożył kapelusz i szedł spacerkiem nad brzegiem morza aż do samej latarni. Stanął na ładnym małym cmentarzu, gdzie zawsze słyszał pomruk fal. Williama opanowały gorzkie i smutne myśli. Nikt go nie lubi. Nikt się o niego nie troszczy. Mogą go nazywać dozorcą, ale on jest alfonsiem — paskudnym alfonsiem, najpodlejszą istotą w świecie. A potem pomyślał, że ma prawo do życia i szczęścia, tak jak każdy inny, Bóg świadkiem, że ma. Gniewnie pomaszerował z powrotem, ale jego gniew minął, gdy znalazł się pod Niedźwiedzią Flagą i wszedł na schody. Był wieczór, automat muzyczny grał *Księżyc żniw* i William przypomniał sobie, że pierwsza prostytutka, która w ogóle na niego spojrzała, lubiła tę melodię, póki nie uciekła, nie wyszła za mąż i nie znikła. Dora siedziała w salonie i piła herbatę, gdy wszedł William. Spytała:

— Co tobie? Chory jesteś?

— Nie — odparł William. — Ale co z tego? Czuję się podle. Chyba skończę z sobą.

W swoim życiu Dora miała do czynienia z wielu neurastenikami. Wyśmiać ich — to było jej motto.

— Dobrze, zrób to, kiedy będziesz miał ochotę, i nie zwracaj gitary — powiedziała.

Szara wilgotna chmura spowiła serce Williama. Zwolna zamknął za sobą drzwi, przeszedł przez hall i zapukał do drzwi Ewy Flanagan. Miała rude włosy i co tydzień chodziła do spowiedzi. Ewa była poniekąd uduchowioną dziewczyną i miała liczną rodzinę braci i sióstr, ale nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy się upije. Gdy William wszedł, malowała sobie paznokcie nie bardzo trafiając lakierem we właściwe miejsca. Zorientował się, że jest pijana i że Dora nie pozwoli pijanej dziewczynie pracować. Jej palce prawie do połowy były umazane w lakierze i była wściekła.

— Czego chcesz? — spytała.

William również się rozgniewał:

— Mam zamiar skończyć ze sobą — powiedział gwałtownie.

Ewa wrzasnęła na niego:

— To cholerny, świński grzech! — piszcziała. A potem: — Chcesz, żeby zamknęli nam budę, akurat wtedy, kiedy już uskładałam sobie prawie tyle forsy, żeby pojechać do East St. Louis? Ty skurwysynu!

Wrzeszczała jeszcze, gdy William zamknął za sobą drzwi i poszedł do kuchni. Był bardzo zmęczony kobietami. Chciał odpocząć chwilę u greckiego kucharza.

Greki w wielkim fartuchu, zawinawszy rękawy, smażył kotlety wieprzowe na dwóch ogromnych patelniach, przewracając je szpikulcem od lodu.

— Halo, stary. Jak sprawy? — spytał. Wieprzowe kotlety syczały i trzeszczały na patelniach.

— Nie wiem, Loe — powiedział William. — Czasami myślę, że najlepiej byłoby zrobić sobie... chrrr. — Pociągnął palcem po gardle.

Greki położył szpikulce na kuchni i zawinął wyżej rękawy.

— Powiem ci, co słyszałem, stary — rzekł. — Słyszałem, że podobno ludzie, którzy o tym mówią, nigdy tego nie robią.

William wyciągnął rękę po szpikulce i wziął go lekko w dłoń. Oczy Williama spoglądały głęboko w ciemne oczy Greka i widziały w nich niewiarę i kpinę, a potem, gdy nadal patrzyły, oczy Greka zmąciły się i napełniły grozą. I William zauważył tę zmianę. Zobaczył najpierw, że Greki uwierzył, iż on może to zrobić, a potem Greki był już pewny, że William to zrobi. I kiedy William wyczytał to w oczach Greka, wiedział, że musi tak zrobić. Był smutny, ponieważ teraz wydawało mu się to głupie. Jego ręka podniosła się, a szpikulce uderzył w serce. Zdziwiał, jak łatwo wszedł. William był dozorcą, zanim przyszedł Alfred. Wszyscy lubili Alfreda. Mógł siedzieć z Mackiem i chłopakami na rurach, ilekroć miał ochotę. Mógł im nawet składać wizyty w willi.



## *Rozdział 4*

Wieczorem, tuż o zmierzchu, coś dziwnego działo się na ulicy Nadbrzeżnej. Powtarzało się to zawsze między zachodem słońca a zapaleniem latarni ulicznych. O tej porze następuje cicha, szara godzina. Po stoku pagórka, przez mostek koło willi i przez pusty plac przechodził stary Chińczyk. Nosił staromodny słomiany kapelusz, bluzę i spodnie z niebieskiego caju oraz ciężkie buciory, przy których jedna zelówka była naderwana i kłapała po ziemi. W ręku trzymał wiklinowy koszyk z przykrywką. Twarz miał chudą, brązową i pomarszczoną, i jego stare oczy były brązowe, nawet białka brązowe, i głęboko osadzone, tak że patrzyły jak ze studni. Zawsze pojawiał się o zmierzchu, przechodził przez ulicę i widać go było na otwartej przestrzeni między Zachodnim Laboratorium Biologicznym a Wytwórnią Konserw Hediondo. Potem przecinał małą plażę i znikał między palami i stalowymi belkami molo. Nikt go już więcej nie widział aż do świtu.

Lecz o świcie, w tym czasie kiedy gaszono latarnie uliczne, ale dzień jeszcze nie wstał, stary Chińczyk wyłaził spomiędzy pali, przechodził plażę i ulicę. Jego wiklinowy koszyk był teraz ciężki i ciekła z niego woda. Oderwana zelówka kłapała po bruku. Wspinał się po wzgórzu do drugiej ulicy, przechodził przez dziurę w wysokim parkanie i nikt go już więcej nie oglądał aż do wieczora. Śpiący ludzie budzili się słysząc kłapanie buta. Trwało to już wiele lat, ale nikt się nie przyzwyczał do Chińczyka. Niektórzy sądzili, że jest Bogiem, a bardzo starzy ludzie uważali, że jest Śmiercią, a dzieci myślały, że to bardzo śmieszny stary Chińczyk, bo dzieci zwykle myślą, że wszystko, co stare i dziwne, jest śmieszne. Ale dzieci nie przezywały go ani rzucały za nim kamieniami, ponieważ Chińczyka otaczała ciągle mała chmurka lęku.

Raz tylko pewien dzielny i piękny chłopiec dziesięcioletni, znany jako Andy z Salinas, zaczepił Chińczyka. Andy przyjechał w odwiedziny do Monterey, zobaczył starego i doszedł do wniosku, że musi go zaczepić, choćby po to, by nie stracić szacunku dla samego siebie, ale nawet Andy, choć był tak dzielny, bał się troszkę. Czatował wieczór po wieczorze, a poczucie obowiązku walczyło w jego duszy z uczuciem strachu. Wreszcie

pewnego wieczoru zebrał się w sobie i pomaszerował za Chińczykiem śpiewając przeraźliwym falsetem:

Człngr Czong-czin, chiński syn, włożył na śmieci kupę, Widział to biały pan i kopnął go w dupę.

Stary przystanął i odwrócił się. Andy przerwał. Głębokie brązowe oczy patrzyły na Andy'ego, a wąskie, wyschłe usta poruszały się. Co się potem zdarzyło, tego Andy nie potrafił wytłumaczyć ani zapomnieć. Bowiem te oczy rozszerzyły się i nie było już więcej Chińczyka. A potem widział tylko jedno oko — ogromne brązowe oko, wielkie jak kościelna brama. Andy spojrzął przez tę połyskliwie przezroczystą brązową bramę i zobaczył pustą okolicę, płaską na przestrzeni całych mil, ale zamkniętą łańcuchem fantastycznych gór, podobnych do psich i kocich łbów, namiotów i grzybów. Równinę porastała niska, szorstka trawa, a tu i ówdzie wznosił się mały kopiec. Małe zwierzątko podobne do borsuka siedziało na każdym kopcu. I ta samotność — ta pusta, chłodna samotność... Andy aż zapłakał cichutko, bo na całym świecie nie było nikogo, tylko on sam. Andy zamknął oczy, żeby na to więcej nie patrzeć, a gdy je otworzył, znalazł się znowu na ulicy Nadbrzeżnej, a stary Chińczyk już kłapał zelówką między Zachodnim Biologicznym a Wytwórnią Konserw Hediondo. Andy był jedynym chłopcem, który zaczepił starego Chińczyka, i już nigdy więcej tego nie robił.

## *Rozdział 5*

Zachodnie Laboratorium Biologiczne znajduje się po drugiej stronie ulicy naprzeciw pustego placu. Z prawa na ukos stoi sklep Lee Chonga, a z lewa — Restauracja pod Niedźwiedzią Flagą. Zachodnie Laboratorium Biologiczne handluje dziwnymi i pięknymi towarami. Sprzedaje miłe stworzonka morskie: gąbki, ameby, ukwiały, rozgwiazdy, strzykwy i wężowidła, małże, wąsonogi, zarówno kaczenice jak i pąkle, bajeczne i wielokształtne siostrzyczki, żywe, poruszające się kwiaty morza, różnego rodzaju liliowce, najeżone igłami jeżozwierze, kraby i larwy krabów, koniki morskie, krewetki wszelkich odmian — niektóre tak przezroczyste, że prawie nie rzucają cienia. I Zachodnie Laboratorium Biologiczne sprzedaje chrząszcze, węże i pająki, grzechotniki i szczury, pszczoły i jaszczurki. Wszystko tam można kupić. Są tam również małe, nienarodzone istotki ludzkie, jedne w całości, inne pocięte na cieniutkie płatki i umieszczone między szkiełkami. A dla studentów są rekiny, z których wypuszczono krew, a żyły i arterie napełniono żółtą i niebieską farbą, tak że można preparować skalpelem cały system krwiobiegu. Są także koty z barwionymi żyłami i arteriami, a również żaby. W Zachodnim Laboratorium Biologicznym można zamówić wszystko, co żyje, i wcześniej czy później dostanie się to.

Laboratorium zajmuje niski budynek stojący frontem do ulicy. W suterrenach mieści się skład z półkami, zapchanymi aż do samego sufitu słojami, w których pełno zakonserwowanych stworzeń. W suterrenach znajduje się także ściek i przyrządy do balsamowania i preparowania okazów. Można stąd wyjść na podwórko do krytej szopy, wzniesionej na słupach nad oceanem, gdzie zbudowano zbiorniki na większe zwierzęta — rekiny, raje i ośmiornice. Każde z tych zwierząt ma swój oddzielny betonowy zbiornik. Schody od frontu budynku prowadzą na wysoki parter, a prosto z drzwi wchodzi się do biura, gdzie stoi biurko z piętrzącą się na nim i nie otwartą korespondencją, szafy z segregatorami i kasa ogniotrwała z drzwiami na oścież. Raz tylko przez omyłkę kasę zamknięto i nikt nie znał szyfru zamka. A w szafie pozostała otwarta puszka sardynek i kawałek sera Roquefort. Zanim specjalista, który ustawiał zamek, nadesłał szyfr, w kasie

zrobiło się małe zamieszanie. Stało się to, co Doktor określił jako sposób zemścić się na banku, jeśli ktoś ma na to ochotę. „Należy wynająć safes w banku — mówił Doktor — złożyć tam w depozycie całego świeżego łososia i wyjechać na pół roku”. Po wspomnianych kłopotach z kasą ogniotrwałą zabroniono trzymać w niej jedzenie. Przechowuje się je w szafach na akta. W sali za biurem mieszczą się akwaria, a także mikroskopy, szkiełka, szafy z narkotykami, półki pełne laboratoryjnych naczyń, stoły, małe motorki, chemikalia. Z tej sali dobywają się zapachy — formalina, wyschłe rozgwiazdy i morska woda, mentol, kwas karbolowy i środki aseptyczne, zapach szarego papieru do pakowania, słomy i sznurka, zapach chloroformu i eteru, zapach ozonu z motorów, zapach wysokogatunkowej stali, delikatnego smaru do mikroskopów, zapach oleju bananowego i gumy, zapach schnących wełnianych skarpetek i butów, ostra przenikliwa woń grzechotników i stęchły odór szczurów. A przez tylne drzwi podczas odpływu wpada zapach szuwarów i pąkli lub zapach soli i piany, gdy zaczyna się przyptyw.

Po lewej stronie biura jest wejście do biblioteki. Półki z książkami wypełniają tam ściany aż do sufitu, widać skrzynki broszur i luźnych kartek, książki wszelkiego rodzaju — słowniki, encyklopedie, poezja, sztuki. Wielki fonograf z setkami płyt stoi przy ścianie. Pod oknem jest łóżko z sekwoj owego drzewa, a do ścian i do półek poprzypinano reprodukcje obrazów Daumiersa, Grahama, Tycjana i Leonarda, Picassa, Dali i George'a Grosza, pozawieszane tu i tam na wysokości oczu, tak że każdy może na nie patrzeć, jeśli ma ochotę. Są krzesła i sofki w tym małym pokoiku, nie licząc łóżka. Raz zmieściło się tu aż czterdzieści osób na raz.

Za tą biblioteką czy salą muzyczną, czy jak tam chcecie ją nazwać, znajduje się kuchnia — wąska komórka z gazowym piecem, boilerem i zlewem. Ale ponieważ nieco jedzenia trzyma się w szatach biurowych — naczynia, tłuszcz do smażenia i jarzyny przechowuje się w kuchni, w oszklonych szafach bibliotecznych. To nie jest żaden kaprys Doktora. Po prostu tak jakoś wypadło. Z sufitu kuchni zwisają półcie bekonu, salami i czarny trepang. Za kuchnią znajduje się ubikacja i łazienka. Zbiornik w ubikacji przeciekał przez pięć lat, póki jakiś utalentowany i miły gość nie załatał go kawałkiem gumy do żucia.

Doktor jest właścicielem i dyrektorem Zachodniego Laboratorium Biologicznego. Raczej małego wzrostu, co może wprowadzać w błąd, bo Doktor jest bardzo muskularnym i silnym mężczyzną, a gdy go ogarnie wściekłość, potrafi być naprawdę niebezpieczny. Nosi bródkę, ma twarz na wpół świętego, na wpół satyra, i ta twarz mówi prawdę. Opowiadają, że niejednej dziewczynie pomógł w kłopotcie i wpędził ją w drugi kłopot. Ma ręce utalentowanego chirurga, chłodny umysł i pogodne usposobienie. Przejeżdżając

ulicami kłania się psom, a psy patrzą i uśmiechają się do niego. Potrafi zabić wszystko z potrzeby, ale nawet nie zrani czyjegoś uczucia dla przyjemności. Boi się bardzo tylko jednej rzeczy na świecie, — że zamoczy głowę. Dlatego latem czy zimą nosi zwykle kaptur nieprzemakalny. Będzie brodził po rozlewiskach aż po piersi i nawet nie poczuje wilgoci, ale kropla deszczu na głowie napełnia go paniką.

W ciągu lat Doktor zżył się z ulicą Nadbrzeżną tak, jak nawet tego nie podejrzewał. Stał się miejscową studnią filozofii, wiedzy i sztuki. W laboratorium dziewczyny od Dory usłyszały po raz pierwszy chorały i gregoriańską muzykę. Lee Chong przysłuchiwał się, gdy Doktor czytał mu Li Po w języku angielskim. Henri malarz usłyszał po raz pierwszy Księgę Umarłych i tak go to poruszyło, że zmienił swą technikę. Henri malował klejem, rdzą i kolorowymi kurzymi piórami, ale się zmienił i następne jego cztery obrazy zostały wykonane z różnego rodzaju skorupki orzechów. Doktor słuchał każdego nonsensu i zmieniał go dla zainteresowanych w rodzaj mądrości. Jego umysł nie znał granic, a jego upodobania — więzów. Potrafił mówić do dzieci i przedstawiać im sprawy głębokie w ten sposób, że wszystko rozumiały. Pędził życie w świecie cudów i podniecenia. Był chutliwy jak królik i szlachetny jak diabli. Każdy, kto go znał, miał wobec niego zobowiązania. I każdy, kto o nim wspominał, musiał jednocześnie pomyśleć: „Muszę stanowczo zrobić jakąś przyjemność Doktorowi”.

## Rozdział 6

Doktor łowił rozgwiazdy na Zalewie Przyływowym u krawędzi półwyspu. Jest to cudowne miejsce: Gdy nadciąga przyływ, zalew zmienia się w jedno kłębowisko fal, białe jak śmietana od piany, smagane przez grzywacze, które pędzą od wyjącej na rafie boi akustycznej. Ale kiedy przyływ się kończy, światek wodny staje się spokojny i przemiły. Morze jest bardzo czyste, a dno wygląda jak fantastyczny ogród pełen poruszających się, walczących, żerujących i kopulujących zwierząt. Kraby przemykają się od jednego do drugiego krzewu powiewnych glonów. Rozgwiazdy obsiadają muszle i mięczaki, przyczepiają miliony małych przysawek, a potem zwolna, z niewiarygodną siłą podnoszą się, póki nie oderwą łupu od skały. A później wychodzi żołądek rozgwiazdy i spowija swój pokarm. Pomarańczowe, cętkowane meduzy ślizgają się wdzięcznie nad skałami, ich fartuszki powiewają jak spódniczki hiszpańskich tancerek. Czarne węgorze wysuwają łby ze szczelin i czekają na łup. Krewetki strzelają głośno. Piękny kolorowy świat jest jakby przykryty szklaną szybą. Kraby pustelniki biegają po piaszczystym dnie niby nerwowe dzieci. A teraz jeden, znalazłszy pustą skorupę ślimaka, która podoba mu się bardziej niż własna, wyłazi ze swego pancerza, wystawiając na chwilę wrogom swe miękkie ciało, i wskakuje w nową muszlę. Fala łamie się na mierzei, na chwilę wzburza szklistą wodę i wzbija miliony pęcherzyków w zalewie, a potem lustro wody się wyjaśnia i znowu wre skrzętne, rozkoszne i mordercze życie. Tu jakiś krab wyrywa nogę swemu bratu. Ukwiały rozwijają się jak słodkie i wspaniałe kwiaty, zapraszając każde zmęczone czy wystraszone stworzenie, to spoczęło w ich ramionach, a gdy jakiś krabik czy inny głuptasek zalewowy da się skusić temu zielono-purpurowemu zaproszeniu, płatki zwijają się, kłujące komórki wystrzelają tysiące narkotycznych igieł w łup, który staje się słaby i jakby senny, podczas gdy żrące soki trawienne rozpuszczają jego ciało.

W innym miejscu podstępna morderczyni, ośmiornica, podkrada się zwolna, ostrożnie, płynie jak szara mgła, udaje raz, że jest kępą wodorostów, to znowu skałą, kawałem gnijącego mięsa, a jej złe kozie oczy patrzą chłodno. Pełźnie i płynie ku żerującemu krabowi, a gdy jest już blisko, jej żółte oczy płoną, a całe ciało staje się różowe

pulsującym kolorem pożądania, gniewu, wściekłości. Nagle pędzi na czubkach swych ramion, dziko jak atakujący kot. Skacze gwałtownie, tryska smuga sepii, i wszystko kotłuje się w czarnej chmurze, aż ośmiornica zamorduje kraba. Na skałach wystających z wody pąkle bulgocą w swoich zamkniętych muszlach, a ślimaki wysychają. Na skałach roją się czarne muchy, gotowe zjadać wszystko, co znajdują. Ostra woń jodiny z morskocyznu, woń zwapniałych szkieletów, woń protein, woń spermy i jajników wypełnia powietrze. Na wystających skałach gwiazdy morskie wyrzucają nasienie i jaja spomiędzy promieni. Zapach życia i bogactwa, śmierci i trawienia, rozkładu i narodzin — obciąża powietrze. Słona piana dmie zza mierzei, gdzie ocean czeka, aż przyptyw doda mu sił do szturmu na Wielki Zalew. A boja akustyczna wśród wodorostów porykuje jak smutny i cierpliwy byk.

Doktor i Magda pracowali razem w Zalewie. Magda mieszkała z Mackiem i chłopakami w willi „Cichy Kącik”. Magda otrzymała swe imię w sposób tak przypadkowy, jak przypadkowe było całe jego dalsze życie. Jego strapiona matka miała siedmioro dzieci w ciągu ośmiu lat. Magda był ósmy i gdy się urodził, matka bardzo się zmieszała jego płcią. Była mizerna i zmęczona zdobywaniem jedzenia dla siedmiorga dzieci i ich ojca. Próbowła wszelkich sposobów zarabiania pieniędzy — papierowe kwiaty, hodowla pieczarek, króliki na mięso i futra — natomiast jej mąż ze swego leżaka pomagał jej radami, rozważaniami i krytyką. Miała cioteczną babkę imieniem Magda, która podobno była ubezpieczona na życie. Ósmemu dziecku nadano imię Magda, zanim matce przyszło do głowy, że Magda jest chłopcem, a ponieważ z czasem przyzwyczała się do tego imienia, nigdy nie zatroszczyła się o to, by je zmienić. Magda urósł, spędził cztery lata w szkole podstawowej i cztery lata w szkole poprawczej, lecz ani tu, ani tam nic się nie nauczył. Mówią, że szkoły poprawcze uczą występku i kryminalizmu, widać jednak Magda źle uważał na lekcjach. Wyszedł ze szkoły poprawczej tak nieświadom występku i kryminalizmu, jak ułamków i pisemnego dzielenia. Magda lubił przysłuchiwać się rozmowom, ale nie słuchał słów, tylko tonu konwersacji. Zadawał pytania nie po to, żeby dostać odpowiedź, tylko by po prostu podtrzymać rozmowę. Miał dwadzieścia sześć lat, ciemne włosy, był przystojny, silny, chętny do pracy i wierny. Dość często wychodził z Doktorem na połów i pracował bardzo dobrze, o ile rozumiał, czego się od niego wymaga. Jego palce potrafiły pełzać jak ośmiornica, potrafiły chwytać i ścisnąć jak ukwiał. Poruszał się pewnie po oślizłych skałach i uwielbiał łowy. Doktor przy pracy nosił nieprzemakalny kaptur i wysokie gumowe buty, ale Magda brodził po wodzie w tenisówkach i drelichowych spodniach. Łowili rozgwiazdy. Doktor miał zamówienie na trzysta sztuk.

Magda odczepił delikatną purpurową rozgwiazdę od dna zalewu i wepchnął ją do prawie pełnego worka z juty.

— Jestem ciekaw, co z nimi robią — powiedział.

— Robią z czym? — spytał Doktor.

— Z rozgwiazdami — rzekł Magda. — Pan je sprzedaje. Wysyła pan im całą beczkę. Co ci faceci z nimi robią? Przecież ich nie jedzą.

— Studiują je — wyjaśnił Doktor cierpliwie i przypomniał sobie, że odpowiadał Magdzie na to pytanie już z dziesięć razy. Ale Doktor miał pewną cechę, której nie mógł się pozbyć. Gdy ktoś zadawał pytanie, Doktorowi zdawało się, że chce znać odpowiedź. Przynajmniej Doktor zawsze tak robił. On sam nigdy nie pytał, jeśli nie pragnął wiedzieć, i nie mógł pojąć ludzi, którzy pytają, a nie są ciekawi odpowiedzi. Natomiast Magda, który chciał tylko słyszeć, jak ktoś mówi, rozwinął cały system przekształcania odpowiedzi na jedno pytanie w punkt wyjścia do drugiego pytania. Ten sposób podtrzymywał rozmowę.

— Co oni mają do studiowania? — ciągnął dalej Magda. — To przecież tylko rozgwiazda. Jest ich miliony naokoło. Mógłbym panu nałapać ich z milion.

— To są skomplikowane i interesujące stworzenia — odpowiedział Doktor tonem obrony. — Poza tym te właśnie pojedą na uniwersytet na Środkowym Zachodzie.

Magda uruchomił swój system.

— Oni tam nie mają rozgwiazd?

— Oni tam nie mają nawet oceanu — powiedział Doktor.

— Och — zdziwił się Magda i szukał nerwowo przedmiotu, do którego mógłby przyczepić nowe pytanie. Nie mógł ścierpieć, gdy rozmowa zamierała w ten sposób. Spóźnił się. I gdy rozmyślał nad nowym pytaniem, Doktor sam zadał pytanie. Magda tego nie znośił, ponieważ to znaczyło, że trzeba będzie szukać w mózgu odpowiedzi, a szukanie odpowiedzi w mózgu Magdy wyglądało tak, jakby ktoś wędrował samotnie przez opuszczone muzeum. Mózg Magdy był zapchany nieskatalogowanymi eksponatami. Nigdy niczego nie zapominał, ale nigdy nie potrudził się, by uporządkować swoje wspomnienia. Wszystko było tam pomieszanе jak sprzęt rybacki na dnie kutra — haczyki, pływaki, liny, wędziska i ciężarki, wszystko w stanie kompletnego chaosu.

Doktor zapytał: — No, jak tam wam leci w willi?

Magda poczesał palcami ciemne włosy i zajrzał do graciarni w swoim mózgu.

— Niczego — odpowiedział. — Chyba ten Gay wprowadzi się do nas. Żona paskudnie go tłucze. Kiedy nie śpi, to głupstwo, ale ona czeka, aż się Gay położy spać, i wtedy go tłucze. Tego on nie może znieść. Musi wstawać, żeby ją nalać, a jak znowu



uśnie, to ona znów mu czymś przyfasuje. Nie ma ani chwili spokoju, no i sprowadza się do nas.

— To coś nowego — powiedział Doktor. — Dotychczas „zwykle chodziła na skargę do sądu i zaprzysięgała nakaz aresztowania.

— Tak — odparł Magda — ale to było wtedy, zanim zbudowali to nowe więzienie w Salinas. Jak Gay siedział przez miesiąc, to nie mógł się doczekać, żeby wyjść, ale to nowe więzienie, proszę: radio w celi, wygodne prycze, a szeryf jest fajny chłop. Jak Gay się tam dostanie, to w ogóle nie chce wyjść. Tak mu się tam podoba, że jego żona nie chce już, żeby go aresztowali. No i teraz wymyśliła sobie to tłuczenie przy spaniu. Gay powiada, że to strasznie zżera nerwy. A pan wie tak samo jak ja, że Gay nie ma z tego żadnej przyjemności, jak ją należy. Robi to tylko, żeby nie stracić szacunku dla samego siebie. Ale już się zmęczył. Teraz na pewno sprowadzi się do nas.

Doktor wyprostował się. Fale poczęły chlustać przez mierzeję Wielkiego Zalewu. Nadchodził przyływ i małe strumyki spływały już z oceanu po skałach. Rześki wiatr powiał od strony akustycznej boi, a z dala dało się słyszeć naszczekiwanie lwów morskich. Doktor zsunął nieprzemakalny kaptur na tył głowy.

— Starczy — powiedział, a potem ciągnął dalej: — Słuchaj, Magda, wiem, że masz sześć czy siedem małych słuchot na dnie worka. Jeśli nas zatrzyma kontroler, na pewno powiesz, że to ja je kazałem złapać i mam na to pozwolenie. Tak czy nie?

— O, diabli! — zawołał Magda.

— Słuchaj — rzekł Doktor uprzejmie — przypuśćmy, że dostaję zamówienie na słuchoty i być może jakiś kontroler pomyśli, że zbyt często korzystam z zezwolenia połowu. Przypuśćmy, że pomyśli, iż je zjadam.

— O, diabli! — powtórzył Magda.

— To zupełnie tak, jak z tym alkoholem do celów przemysłowych. W akcyzie zrobili się bardzo podejrzliwi. Myślą zawsze, że ja piję ten spirytus. I każdego o to podejrzewają.

— No, a nie pije pan?

— W każdym razie niewiele — odparł Doktor. — To świństwo, które do niego mieszają, jest okropne w smaku, a z redestylacją jest za dużo roboty.

— To świństwo nie jest takie złe. Ja i Mack wczoraj trochę próbowaliśmy. Co oni mieszają do tego spirytusu?

Doktor chciał już dać odpowiedź, kiedy spostrzegł, że Magda znowu zaczyna swoje sztuczki.

— Chodźmy już — naglił. Podniósł swój worek na ramię i zapomniał o nielegalnych słuchotach na dnie worka Magdy.

Magda poszedł za nim i z grząskiej ścieżki wyszli na solidny grunt. Małe kraby uciekały im spod nóg. Magda czuł, że lepiej już nie poruszać tematu słuchot.

— Ten malarz wrócił do willi — zaczął.

— Tak? — spytał Doktor.

— Tak. Widzi pan, on dał nam wszystkie swoje obrazy, te z kurzych piór, a teraz mówi, że musi je wszystkie przerobić na orzechowe skorupki. Mówi, że zmienił swoją... swoją tech... technikę.

Doktor zachichotał.

— On jeszcze dalej buduje tę żaglówkę?

— Jasne — potwierdził Magda. — Wszystko zmienia. Zupełnie inny typ żaglówki. Chyba ją zacznie od nowa i całkiem przebuduje. Doktorze... czy on ma chysia?

Doktor rzucił ciężki worek na ziemię i stał dysząc nieco.

— Chysia? — spytał. — O, tak. Chyba tak. My też mamy chysia, tylko innego rodzaju.

Coś takiego nigdy nie przyszło do głowy Magdzie. Patrzył na siebie jak na krystaliczne jezioro rozsądku, a na swoje życie — jak na mętne szkło zapoznanych cnót. Ostatnie twierdzenie Doktora oburzyło go nieco.

— Ale ta żaglówka! — krzyknął. — Jak pamiętam, on buduje tę żaglówkę od siedmiu lat. Podkłady mu spróchniały i musiał zrobić betonowe podkłady. Za każdym razem, jak łódź jest prawie gotowa, zmienia wszystko i zaczyna na nowo. Myślę, że on jest wariat. Siedem lat przy jednej żaglówce!

Doktor siedział na ziemi ściągając gumowe buty. — Nie rozumiesz — rzekł. — Henri lubi łódzie, ale boi się oceanu.

— To po co mu łódka? — domagał się odpowiedzi Magda.

— On lubi łódzie — rzekł Doktor. — Ale przypuśćmy, że skończy tę swoją łódź. Jak tylko skończy, ludzie powiedzą: „No, dlaczego nie spuszczasz jej na wodę?” A jak ją spuści na wodę, będzie musiał w niej pływać, a on nienawidzi wody. Widzisz więc, dlaczego on nigdy nie kończy tej żaglówki: w ten sposób nie będzie potrzebował jej spuszczać na wodę.

Magda śledził to rozumowanie do pewnego punktu, ale przestał słuchać, zanim dobiegło do końca, i nie tylko przestał słuchać, ale szukał jakiegoś sposobu, by zmienić temat.

— Myślę, że on jest wariat — powtórzył drętwo.

Po czarnej ziemi, gdzie rosły różnokolorowe kwiaty, pełzały setki ciemnych żuków. Wiele z nich podnosiło odwłoki do góry.

— Niech pan patrzy na te robaki — zauważył Magda wdzięczny żukom, że się tu znalazły.

— Są interesujące — powiedział Doktor.

— No, a dlaczego one tak zadzierają tyłki do góry?

Doktor zwinął wełniane skarpetki i włożył je do gumowych butów, a z kieszeni wyciągnął suche skarpetki i parę cienkich mokasynów.

— Nie wiem — powiedział. — Badałem je niedawno. To są bardzo pospolite stworzenia, wykonują niewiele czynności i najczęściej właśnie podnoszą odwłoki do góry. A we wszystkich książkach nie ma nawet wzmianki o fakcie, że podnoszą odwłoki i dlaczego.

Magda przewrócił jednego żuka czubkiem mokrej tenisówki, a połyskliwie czarne stworzonko zaczęło wymachiwać rozpaczliwie nóżkami, żeby się znowu odwrócić.

— A co pan myśli? Dlaczego one to robią?

— Myślę, że się modlą.

— Co?!

Magda był wstrząśnięty.

— Ważne jest nie to, że zadzierają odwłoki w górę — powiedział Doktor. — Ogromnie ważne jest natomiast, że my to uważamy za ważne. Możemy przyjąć jedynie siebie samych za kryterium porównawcze. Gdybyśmy my sami czynili coś równie niewytłumaczalnego i dziwnego, wtedy najprawdopodobniej byśmy się modlili... więc być może, że one się modlą.

— O, diabli, chodźmy stąd! — zawołał Magda.

## *Rozdział 7*

Willa „Cichy Kącik” nie powstała od razu. Najpierw, kiedy Mack, Magda, Eddie, Hughie i Jones się tu sprowadzili, patrzyli na nią po prostu jak na zwykłe schronienie przed wiatrem i deszczem, jak na jedyną przystań na wypadek, gdy nigdzie nie można iść, bo wszystko zamknięte albo pozostały tylko miejsca, gdzie chłopaków nie powitano by zbyt chętnie. Wtedy willa była tylko długą, gołą, mętnie oświetloną przez dwa małe okna izbą o ścianach z niemalowanego drzewa i śmierdząca mączką rybną. Nie lubili jej wtedy. Ale Mack wiedział, że w grupie tak krańcowych indywidualistów konieczny jest pewien rodzaj organizacji.

Oddział rekrutów, który nie został wyposażony w prawdziwe karabiny, artylerię i czołgi, używa ćwiczebnych karabinów i atrap, by symulowały jego ogniową potęgę — a szkolący się rekruci przywykają do dział polowych, ćwicząc pniami drzewa na kółkach.

Mack wymalował kredą na podłodze pięć prostokątów, po siedem stóp długich i cztery stopy szerokich, i w każdym prostokącie napisał imię. To były ćwiczebne łóżka. Każdy z mężczyzn miał nienaruszalne prawa własności na tej przestrzeni. Mógł legalnie walczyć z osobnikiem, który by wtargnął na jego terytorium. Reszta sali stanowiła wspólną własność. Działo się to w pierwszych dniach, kiedy Mack i chłopaki urzędowali na podłodze, grali w karty siedząc po turecku i spali na twardych deskach. Może gdyby nie przypadek z pogodą, żyliby zawsze w ten sposób. Jednak nieprzewidywane deszcze, które przeciągnęły się ponad miesiąc, zmieniły stan rzeczy. Zmuszeni do przebywania w domu zmęczeni się siedzeniem na podłodze. Nagość ścian raziła ich oczy. Dom stał się im drogi, bo chronił ich przed deszczem. Ponadto miał ten urok, że nigdy nie zaznał odwiedzin rozgniewanego gospodarza, albowiem Lee Choag nawet się tu nie zbliżał. Wreszcie pewnego popołudnia Hughie przyszedł z łóżkiem polowym o nieco obszarpanym obiciu. Spędził dwie godziny na zaszywaniu go rybackim kordonkiem. A nocą pozostali mieszkańcy willi, leżąc na podłodze w swoich prostokątach, widzieli, jak Hughie z gracją wpęza do swego łóżka, słyszeli, jak wzdycha z niebiańską rozkoszą, zasypia i chrapie.

Następnego dnia Mack sapiąc wgramolił się na pagórek wciągając za sobą zardzewiały sprężynowy materac, który znalazł na stosie złomu. Wtedy apatia minęła. Chłopaki prześcigali się wzajemnie w upiększaniu willi „Cichy Kącik”, aż w ciągu niewielu miesięcy okazało się nawet, że jest przeładowana meblami. Na podłodze leżały stare dywany, w koło stały krzesła z siedzeniami i bez siedzeń. Mack miał koszykowy szezłąg, pomalowany na jaskrawoczerwony kolor. Były stoły i zegar po pradziadkach bez tarczy i werku. Ściany pobielono, przez co sala stała się prawie jasna i pełna przestrzeni. Zaczęły się pojawiać obrazy — przeważnie kalendarze z nieprzyzwoicie ponętными blondynkami, trzymającymi w rękach butelki Coca-Cola. Henri ofiarował chłopakom dwa swoje dzieła z okresu kurzych piór. Bukiet sztucznych kwiatów stał w rogu, a do ściany obok zegara po pradziadkach przybito wachlarz z pawiego ogona.

Przez pewien czas poszukiwali pieca, a kiedy go znaleźli — połyskującego srebrem potwora z płytą w kwiaty i frontem jak nikłowy klomb tulipanów, mieli kłopoty ze zdobyciem go na własność. Był za duży, żeby go się dało ukraść, a właściciel nie chciał go ofiarować chorej wdowie z ośmiorgiem dzieci, którą Mack wynalazł i w tej samej chwili wziął pod opiekę. Właściciel domagał się półtora dolara i przez trzy dni nie zszedł poniżej osiemdziesięciu centów. Chłopaki ubili interes na osiemdziesiąt centów i dali właścicielowi rewers, który przypuszczalnie ma jeszcze do dziś. Transakcji dokonano w Seaside, a piec ważył trzysta funtów. Przez dziesięć dni Mack i Hughie wyczerpali wszelkie możliwości podwiezienia go jakimś samochodem i dopiero gdy z całą pewnością uświadomili sobie, że nikt oprócz nich nie dostarczy tego pieca na miejsce, zaczęli go nieść. Przebycie trzech mil do ulicy Nadbrzeżnej zajęło im całe trzy doby. W nocy obozowali przy piecu. Ale zainstalowany wreszcie w willi piec stał się jej chwałą, ogniskiem i ośrodkiem. Jego nikłowe liście i kwiaty błyszcząły wesoło. Rozpalony ogrzewał wielką salę. Jego wierzch był cudowny i można było usmażyć jajko na połyskujących czarnych fajerkach.

Z piecem zjawiała się duma, a duma przekształciła willę w prawdziwe mieszkanie. Eddie zasadził bluszcz przy frontowej ścianie, a Magda zdobyła kilka dość rzadkich krzaków fuksji, umieścił je w pięciogalonowych blaszankach, dzięki czemu do willi wchodziło się ceremonialnie i niezbyt łatwo. Mack i chłopaki lubili willę i niekiedy nawet trochę sprzątali. W głębi duszy pogardzali ludźmi, którzy nie mają domu i, pyszniąc się swoją siedzibą, przy okazji zapraszali do siebie gości na dzień lub dwa. Eddie był zastępcą barmana w La Ida. Napelniał szklanki, gdy Whitey, właściwy barman, był chory, co się zdarzało wtedy, gdy Whitey spodziewał się, że mu to ujdzie bezkarnie. Za każdym razem, kiedy Eddie nalewał do szklanek, zniknęło kilka butelek, więc nie mógł pełnić tych

obowiązków zbyt często. Ale Whitey chętnie brał Eddie'ego na zastępstwo, ponieważ był przekonany, i słusznie, że Eddie jest jedynym człowiekiem, który nie będzie próbował zatrzymać tej pracy na stałe. Prawie każdy mógłby zaufać Eddie'emu pod tym względem. Eddie nie mógł tylko przywłaszczać sobie zbyt wiele alkoholu. Dlatego pod ladą trzymał garncowy gąsiorek, w którego szyjce tkwił lejek. Wszystko, co zostawało w szklankach, Eddie wylewał do gąsiorka. A kiedy w La Ida toczyła się dyskusja albo śpiewano pieśni lub też późno w nocy następowało ogólne zbratanie, Eddie wlewał do gąsiorka szklanki pełne w połowie albo nawet w dwóch trzecich. Ostateczna mieszanka, jaką zabierał do willi, była zawsze ciekawa, a niekiedy wprost zadziwiająca. Mieszanina żytniówki, piwa, bourbonu, szkockiej whisky, wina, rumu i dżynu powtarzała się dość regularnie, ale zdarzało się niekiedy, że jakiś zblazowany gość zamawiał whisky z wodą sodową, anyżówkę czy curacao i te małe domieszki nadawały zupełnie odrębny charakter zawartości gąsiorka. Zwyczajem Eddie'ego było, że zanim wyszedł, zawsze strząsał nieco angostury do swej zdobyczy. Kiedy noc była dobra, Eddie potrafił uzbierać trzy kwarty. Czuł wielką satysfakcję, bo nikogo w ten sposób nie krzywdził. Zaobserwował, że człowiek może upić się równie dobrze połową szklanki, jak i całą szklanką, jeśli jest w odpowiednim nastroju.

Eddie był bardzo cenionym lokatorem willi „Cichy Kącik”. Nikt nigdy nie żądał, by Eddie pomagał przy sprzątaniu, raz Magda wyprała mu cztery pary skarpetek.

Tego samego popołudnia, gdy Magda z Doktorem łowił w Zalewie, chłopaki siedzieli kręgiem sącząc ostatnią kontrybucję Eddie'ego. Wśród nich znajdował się Gay, nowy członek klubu. Eddie w zamyśleniu wysączał swą szklankę i cmokał ustami.

— To ciekawe, jak nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać — powiedział. — Weźmy ostatnią noc. Przynajmniej dziesięciu gości zamówiło Manhattany. Niekiedy przez cały miesiąc masz najwyżej dwa Manhattany. To grenadina dodaje takiego smaku.

Mack skosztował, pociągnął spory łyk — i znowu napełnił szklankę.

— Tak — rzekł posępnie. — Wielkie różnice wynikają z drobnostek.

Obejrzał się, by zobaczyć, jakie ta złota myśl zrobiła wrażenie na towarzyszach.

Tylko Gay pojął całą jej głębię: — Oczywiście — potwierdził. — Czy...

— A gdzie jest Magda? — przerwał Mack.

— Poszedł z Doktorem łowić rozgwiazdy — odparł Jones.

Mack pokiwał głową z rozwagą.

— Ten Doktor to jest diabelnie fajny chłopak — powiedział. — Zawsze człowiekowi pomoże. Jak się skaleczyłem, codziennie zmieniał mi bandaż. Diabelnie fajny chłopak.

Wszyscy skinęli głowami z głęboką aprobatą.

— Zastanawiałem się przez długi czas — ciągnął dalej Mack — co byśmy mogli dla niego zrobić. Coś przyjemnego. Coś, co by mu się podobało.

— Jemu podobałaby się jakaś dama — zauważył Hughie.

— Damy to on ma — wtrącił Jones. — Zawsze wie się kiedy... bo zaciąga zasłony we frontowych oknach i puszcza tę kościelną muzykę na fonografie.

Mack powiedział z wyrzutem do Hughie'ego: — Jeśli Doktor nie gania w jasny dzień z kobietami nago po ulicy, to już myślisz, że on żyje w celebracji.

— Co to jest „celebrat”? — zainteresował się Eddie.

— To wtedy, gdy nie możesz mieć kobiety — odparł Mack.

— Myślałem, że to jest jakieś przyjęcie albo zabawa — powiedział Jones.

W sali zaległa cisza. Mack zmienił pozycję na szeszlunku, Hughie opuścił przednie nogi swego krzesła na podłogę. Popatrzyli w przestrzeń, a potem wszyscy spojrzeli na Macka. Mack powiedział: — Hm.

— Jaki rodzaj przyjęcia, myślicie, podobałby się Doktorowi? — spytał Eddie.

— A jakie są jeszcze inne rodzaje? — zdziwił się Jones.

Mack zastanowił się.

— Doktorowi nie smakowałaby ta mieszanka z gąsiorka.

— Skąd wiesz? — oburzył się Hughie. — Nigdy mu nie proponowałeś.

— O, wiem — odparł Mack. — On skończył uniwersytet. Widziałem raz, że wchodziła do niego dama w futrze. Nie zobaczyłem, żeby wychodziła. Była druga po północy, kiedy spojrzałem ostatni raz... i ta kościelna muzyka. Nie... nic z tych rzeczy nie możecie mu zaproponować.

Znowu napełnił szklanę.

— To zupełnie nieźle smakuje po trzeciej szklance — stwierdził lojalnie Hughie.

— Nie — zaprotestował Mack. — To nie dla Doktora. Musi mieć whisky. Prawdziwą whisky.

— On lubi piwo — podsunął Jones. — Zawsze chodzi do Lee po piwo... nieraz po północy.

Mack oświadczył: — Uważam, że jak człowiek kupuje piwo, to płaci przede wszystkim za opakowanie. Weźcie ośmioprocentowe piwo — wyrzuca się forszę na dziewięćdziesiąt dwa procent wody, farby i drożdży i tym podobnych rzeczy. Eddie, jak sądzisz, nie mógłbyś skombinować ze cztery, pięć butelek whisky w La Ida, kiedy Whitey następnym razem będzie chory?

— Pewnie, że mogę — obruszył się Eddie. — Pewnie, że mogę, ale to już będzie koniec. Skończy się raj na ziemi. Zdaje mi się, w każdym razie, że Johnnie ma jakieś podejrzenia.

Wczoraj to mi powiedział: „Coś tu nie klapuje — gadał. — Widać jakaś myszka się u nas pożywia”. Musiałem wszystko zostawić i na razie wyniosłem tylko ten gąsiorek.

— Tak — odezwał się Jones. — Nie możesz stracić tej posady. Jakby się coś przytrafiło Whiteyowi, mógłbyś tam pobyc przez jakiś tydzień, zanim znajdą sobie kogoś innego. Ja myślę, że jak mamy urządzić przyjęcie dla Doktora, musimy kupić whisky. Ile kosztuje garniec whisky?

— Nie wiem — powiedział Hughie. — Nigdy nie kupowałem dla siebie więcej niż ćwiartkę... to znaczy na raz. Tak to już jest, że jak kupisz kwartę, to zaraz masz do niej współników. Ale jak skombinujesz ćwiartkę, to możesz sobie zdrowo pociągnąć, zanim... zanim, no, ludzie się zejną.

— Trzeba by skombinować forsy na przyjęcie dla Doktora — oświadczył Mack. — Jeśli mamy zamiar zrobić dla niego przyjęcie, to musi być przyjęcie pierwsza klasa. Powinien mieć tort. Ciekawe, kiedy Doktor ma urodziny.

— Do przyjęcia nie potrzeba urodzin — rzekł Jones.

— Nie... ale to przyjemnie — odparł Mack. — Wyobrażam sobie, że będzie potrzebne z dziesięć do dwunastu dolarów, żeby urządzić ładne przyjęcie, którego byśmy nie potrzebowali się wstydzić.

Popatrzyli na siebie w zamyśleniu. Hughie zaproponował:

— Hediondo potrzebuje ludzi.

— Nie — przerwał Mack szybko. — Mamy dobrą markę i nie możemy jej sobie psuć. Jak już przyjmujemy robotę, to każdy z nas pracuje przynajmniej z miesiąc albo dłużej. Dlatego zawsze możemy dostać pracę, kiedy chcemy. A przypuśćmy, że przyjdziemy do roboty tylko na dzień czy dwa — no, to stracimy reputację. Powiedzą, że ich naciągamy. Jak będzie nam później potrzebne zajęcie, nikt nas nie weźmie.

Cała reszta towarzystwa skinęła głowami.

— Mam zamiar iść do roboty na dwa miesiące: na listopad i częściowo na grudzień — oświadczył Jones. — Przyjemnie mieć pieniądze na święta. Moglibyśmy upiec indyka w tym roku.

— Słowo daję, że moglibyśmy — zawołał Mack. — Znam jedno miejsce w Dolinie Carmelu, gdzie jest całe stado. Z pięćset sztuk.



— Jeśli chodzi o Dolinę... — odezwał się Hughie. — Wiecie, że łapałem dla Doktora różne stworzenia w Dolinie: żółwie, raki i żaby. Dostawałem piątkę za żabę.

— Ja też — dodał Gay. — Raz złapałem pięćset żab.

— Jeśli Doktor potrzebuje żab, to załatwione — rzekł Mack. — Możemy pojechać nad rzekę Carmel, zarobimy trochę forsy, ale nie powiemy Doktorowi, po co nam potrzebna, tylko urządzimy mu przyjęcie jak cholera.

Ciche podniecenie zapanowało w willi „Cichy Kącik”.

— Gay — odezwał się Mack — wyjrzyj no przez drzwi i zobacz, czy samochód Doktora stoi przed frontem.

Gay odstawił szklanę i wyjrzał.

— Jeszcze nie ma — powiedział.

— Dobra — rzekł Mack. — Niedługo powinien być z powrotem. Więc słuchajcie, zrobimy tak...

## Rozdział 8

W kwietniu 1932 roku w Przetwórni Sardynek Hediondo po raz trzeci pękła rura w kotle i dyrekcja, składająca się z pana Randolpha i stenografistki, zdecydowała, że taniej wypadnie kupić nowy kocioł, niż stale naprawiać stary. Kiedy nowy kocioł przybył, stary usunięto na pusty plac między Lee Chongiem i Restauracją pod Niedźwiedzią Flagą, gdzie ustawiono go na podkładkach, by czekał, aż na pana Randolpha spłynie natchnienie, jakby tu zarobić na nim jeszcze z parę dolarów. Stopniowo inżynier zakładów usunął tubing wykorzystując go do łątania różnych fragmentów zużytego sprzętu w Hediondo. Kocioł wyglądał jak staromodna lokomotywa bez kół. Miał duże drzwi na samym wierzchu i niskie drzwiczki paleniska. Stopniowo stawał się czerwony i łuszczasty od rdzy i stopniowo obrastał go śluz, a opadająca płatami rdza karmiła chwasty. Kwietny mirt wspinał się po jego bokach, a dziki anyżek napełniał wonią powietrze wokoło. Potem ktoś wyrzucił korzeń datury i wyrosło grube, mięsiste drzewo, a białe dzwoneczki zwiisały nad drzwiami kotła, zaś w nocy kwiaty pachniały miłością i podnieceniem, rozsiewając niewiarygodnie słodki zapach.

W roku 1935 do pieca wprowadzili się państwo Malloy. Tubing był już teraz całkowicie wyjęty i pozostało przestrzenne, suche i bezpieczne mieszkanie. Jeśli ktoś wchodził przez drzwiczki paleniska, musiał to robić na czworakach, ale w środku można było stanąć prosto, a trudno było znaleźć suchsze i cieplejsze miejsce na mieszkanie. Wciągnęli materac przez drzwiczki paleniska i osiedlili się. Pan Sam Malloy był szczęśliwy i zadowolony i przez długi czas szczęśliwa i zadowolona była również pani Malloy.

Poniżej kotła leżało mnóstwo wielkich rur, również wyrzuconych z Hediondo. Pod koniec roku 1937, w okresie wielkich połowów, wytwórnie konserw pracowały pełną parą i w związku z tym dawał się odczuć brak mieszkań. Wtedy pan Malloy zaczął po bardzo nominalnej cenie wynajmować większe rury na kwaterę do spania dla samotnych mężczyzn. Zatkane kawałkiem papy z jednego końca i kawałkiem dywanu z drugiego — stanowiły bardzo wygodne sypialnie, aczkolwiek ludzie, którzy byli przyzwyczajeni zwiijać się w kłębek przy spaniu, musieli się od tego odzwyczaić albo wyprowadzić. Byli również

tacy, co narzekali, że się budzą od własnego chrapania, bo w rurach jest zbyt silne echo. Ale ogólnie biorąc pan Malloy miał niewielki stały dochód i był zadowolony.

Pani Malloy była zadowolona, póki jej mąż nie stał się kamienicznikiem, a potem zaczęła się zmieniać. Najpierw wynikła sprawa dywanu, potem wanny, później lampy z kolorowym jedwabnym abażurem. Wreszcie pewnego dnia pani Malloy weszła na czworakach do kotła, wstała i powiedziała nieco zadyszana:

— U Hollmana jest wyprzedaż firanek. Prawdziwe koronkowe firanki z falbankami różowymi i niebieskimi. Komplet firanek od razu z gzymsem kosztuje tylko dolara dziewięćdziesiąt osiem.

Pan Malloy usiadł na materacu. — Firanki? — spytał. — A na co ci, na miłość Boską, firanki?

— Lubię, jak jest ładnie — oświadczyła pani Malloy. — Zawsze chciałam, żeby wszystko wyglądało ładnie dla ciebie... — i jej dolna warga zaczęła drżeć.

— Ależ, kochanie! — krzyknął pan Malloy. — Nie mam nic przeciwko firankom. Bardzo lubię firanki.

— Tylko dolar dziewięćdziesiąt osiem — łkała pani Malloy. — A ty mi żałujesz dolara dziewięćdziesiąt osiem — wybuchnęła, a jej pierś poczęła falować.

— Nie żałuję — rzekł pan Malloy — ale kochanie, na rany Chrystusa, co będziemy robili z firankami? Przecież nie mamy okien!

Pani Malloy płakała i płakała, a Sam trzymał ją w ramionach i pocieszał.

— Mężczyźni nigdy nie rozumieją, jak się kobieta czuje — łkała. — Mężczyźni nigdy nie chcą się postawić w położeniu kobiety.

A Sam leżał obok niej i gładził ją po karku, i trwało tak długi czas, zanim usnęła.

## Rozdział 9

Gdy samochód Doktora zajechał przed laboratorium, Mack i chłopaki po kryjomu patrzyli, jak Magda wnosi do wnętrza worki rozgwiżd. Po kilku minutach parujący Magda wrócił ścieżką do willi. Jego kombinezon był mokry od morskiej wody aż do pasa, a w tych miejscach, gdzie wysychał, formowały się białe pierścienie soli. Usiadł ciężko na patentowanym bujającym fotelu, będącym jego własnością, i zrzucił mokre tenisówki.

Mack spytał: — Jak się Doktor czuje?

— Nieźle — odparł Magda. — Nie skapujesz ani słowa z tego, co gada. Wiecie, co on powiedział o robakach? Nie... lepiej wam nie powtórzę.

— Ale wygląda na to, że humor ma nienajgorszy? — badał dalej Mack.

— Pewnie — potwierdził Magda. — Złapaliśmy trzysta rozgwiżd. Co się ma martwić!

— Zastanawiam się, czy nie powinniśmy iść wszyscy razem? — zapytał Mack sam siebie i sobie też odpowiedział: — Nie, lepiej będzie, jak tylko ja pójdę. Mógłby się zgniewać, jakbyśmy poszli wszyscy.

— O co chodzi? — zdziwił się Magda.

— Mamy taki jeden plan... — rzekł Mack. — Pójdę sam, żeby nie zdenerwować Doktora. Wy, chłopaki, zostańcie tu i czekajcie. Wrócę za kilka minut.

Mack wyszedł i skierował się za tor kolejowy. Pan Malloy siedział przed frontem swego kotła.

— Jak się masz, Sam? — spytał Mack.

— Dziękuję, nieźle.

— A jak pani?

— Dziękuję, nieźle — odparł pan Malloy. — Czy nie słyszałeś przypadkiem o jakimś kleju, żeby można było przykleić materiał do żelaza?

Normalnie Mack pograżyłby się z zapalem w rozważaniach nad tym problemem, ale teraz nie mógł się rozpraszać.

— Nie — odparł.

Przeszedł przez pusty plac i wszedł do suterren laboratorium. Doktor zdjął kaptur, ponieważ praktycznie nie istniała żadna możliwość, że zamoczy sobie głowę, chyba żeby pękła rura wodociągowa. Był bardzo zajęty wyciąganiem rozgwiazd z mokrych worków i układaniem ich na chłodnej podłodze. Rozgwiazdy poskręcały się i posuwały, ponieważ każda rozgwiazda lubi przyczepiać się do czegoś, a od godziny nie mogły znaleźć nic, więc poprzyczepiały się do siebie. Doktor układał je w długie szeregi, a one powolutku wyprostowywały się, póki nie utworzyły symetrycznych gwiazd na betonowej posadzce. Spiczasta brązowa bródka Doktora była mokra od potu. Spojrzał nieco nerwowo, gdy wszedł Mack. Nie dlatego, że z Mackiem zawsze zjawiał się jakiś kłopot, ale dlatego, że coś zawsze się z nim zjawiało.

— Jak się mamy, Doktorze? — zapytał Mack.

— Doskonale — odparł Doktor niepewnie.

— Słyszał pan o Phyllis Mae spod Niedźwiedziej Plagi? Uderzyła pijaka, a on ugryzł ją w rękę, i dostała zakażenia aż do samego łokcia. Pokazywała mi ten ząb. Wyłamał się ze szczęki. Czy sztuczny ząb to trucizna, Doktorze?

— Sądzę, że wszystko, co wychodzi z ludzkich ust, jest trucizną — powiedział Doktor ostrzegawczo. — Była u lekarza?

— Ten ich wykidajło założył jej opatrunek.

— Dam jej trochę sulfatiazolu — rzekł Doktor i czekał, co nastąpi dalej. Wiedział, że Mack po coś przyszedł, i Mack wiedział, że Doktor o tym wie.

Mack zapytał: — Doktorze, czy nie potrzebuje pan jakichś zwierząt?

Doktor odetchnął z ulgą.

— A dlaczego? — spytał ostrożnie.

Mack zaczął mówić tajemniczym tonem:

— Powiem panu, Doktorze. Ja i chłopaki chcieliśmy zarobić trochę forsy... musimy ją skądś zdobyć. To jest na dobry cel, można by powiedzieć dla szlachetnej sprawy.

— Ręka Phyllis Mae?

Mack dostrzegł nową możliwość, zważył ją i odrzucił.

— No... nie — zawahał się. — Coś ważniejszego. prostytutki to żadna cholera nie utłucze. Nie... to jest coś zupełnie innego. Ja i chłopaki myśleliśmy, że jeżeli pan czegoś potrzebuje, możemy to dla pana załatwić i w ten sposób zarobimy trochę drobnych.

Wyglądało to prosto i niewinnie. Doktor ułożył w rzędach cztery dalsze rozgwiazdy.

— Przydałoby mi się ze trzystu do czterystu żab — powiedział. — Mógłbym ich nałapać sam, ale muszę pojechać dziś do La Jolla. Jutro będzie wielki odpływ, a mam złowić parę ośmiornic.

— Ta sama cena za żaby? — informował się Mack. — Pięć centów od łebka?

— Ta sama cena.

Mack stał się jowialny.

— Niech się pan nie martwi, Doktorze, o te żaby. Przyniesiemy panu tyle żab, ile pan zechce. Niech pana o żaby głowa nie boli. Nałapiemy ich w Oarmelu. Znam jedno takie miejsce.

— Dobrze — odparł Doktor. — Wezmę tyle, ile złowicie, ale potrzebuję około trzystu sztuk.

— Niech pana głowa nie boli, Doktorze. Niech się pan nie denerwuje tą sprawą. Dostanie pan swoje żaby, może nawet siedemset — osiemset sztuk.

Gdy Mack natchnął Doktora swoim zapalem co do łatwości połowu żab, mała chmurka przesunęła się po jego obliczu.

— Doktorze, są jakieś możliwości, żebyśmy mogli użyć pana wozu do Doliny?

— Nie. Już mówiłem. Mam dziś pojechać do La Jolla, żeby zrobić ten jutrzejszy odpływ.

— Oh — zmartwił się Mack. — Oh. No, dobra, niech się pan nie martwi. Może uda się nam dostać tę starą ciężarówkę Lee Chonga.

Po czym jego twarz jeszcze bardziej się zasępiła.

— Doktorze — zaproponował — przy takim dużym interesie jak ten, nie dałby pan nam ze dwa albo trzy dolary zaliczki na benzynę? Lee Chong na pewno nie odstąpi nam benzyny.

— Nie — odpowiedział Doktor. Już raz wpadł w podobny sposób. Finansował wyprawę Gaya na żółwie. Finansował ją przez dwa tygodnie, a pod koniec tego okresu Gay znalazł się w areszcie na skargę swojej żony i nigdy nie wyruszył po żółwie.

— No, to chyba nie będziemy mogli pojechać — oświadczył Mack smutno.

Ale Doktor rzeczywiście potrzebował żab. Usiłował wynaleźć jakąś metodę, która byłaby interesem, a nie filantropią.

— Zrobię tak — rzekł. — Dam wam kartkę do mojej stacji benzynowej i tam dostaniecie dziesięć galonów benzyny. W porządku?

Mack uśmiechnął się.

— Fajno! To doskonale gra. Ja i chłopaki pojedziemy jutro z samego rana. Jak tylko pan wróci, będziemy mieli tyle tych diabelnych żab, że w życiu pan nie widział.

Doktor podszedł do biurka i napisał kartkę do Rudego Williamsa ze stacji benzynowej, polecając mu wydać Mackowi dziesięć galonów benzyny. — Proszę — powiedział.

Mack uśmiechnął się szeroko.

— Doktorze — zawołał. — Może pan dziś spać spokojnie i nawet nie pomyśleć o tych żabach. Będziemy ich mieli całe stopy, jak pan wróci.

Doktor patrzył na niego trochę niepewnie. Interesy Doktora z Mackiem były zawsze bardzo ciekawe, ale bardzo rzadko bywały korzystne dla Doktora. Ze skrucą wspominał przypadek, gdy Mack sprzedał mu piętnaście kotów — samców, a wieczorem przyszli właściciele i odebrali je wszystkie co do jednego.

„Mack — spytał wtedy. — Dlaczego to były same samce?”

Mack powiedział: „Doktorze, to mój własny wynalazek ale panu powiem, bo pan jest swój chłop. Robi pan dużą pułapkę z drutu, ale nie zakłada pan przynęty. Zakłada pan... no... używa pan kotkę. W ten sposób można złapać każdego cholernego kocura w całej okolicy”.

Wyszedłszy z laboratorium Mack wkroczył przez wahadłowe obciążone siatką drzwi do sklepu Lee Chonga. Pani Lee rąbała bekon na wielkim rzeźnickim pieńku. Kuzyn Lee skręcał nieco przywiedle liście sałaty w ten sposób, jak dziewczyna skręca na palcu rozluźnioną falę włosów. Na wielkiej kupie pomarańczy spał kot. Lee Chong stał na zwykłym miejscu między kontuarem a półkami z alkoholem. Jego palec na gumowej płytce do wydawania reszty zaczął poruszać się nieco szybciej, gdy Mack wszedł do sklepu.

Mack nie tracił czasu na wstępy:

— Lee — powiedział. — Doktor ma poważny kłopot. Z Muzeum Nowojorskiego dostał duże zamówienie na żaby. Dla Doktora to ma ogromne znaczenie. Poza forszą taki obstalunek oznacza ogromny kredyt. Doktor musi pojechać na Południe, a ja i chłopaki powiedzieliśmy, że mu pomożemy. Uważam, że przyjaciele powinni pomóc w kłopotach, szczególnie takiemu przyjemnemu gościowi jak Doktor. Głowę daję, że zostawia u ciebie ze sześćdziesiąt do siedemdziesięciu dolarów miesięcznie.

Lee Chong trwał w pełnym czujności milczeniu. Jego tłusty palec ledwie się poruszał na gumowej płytce, ale za to z takim napięciem jak ogon czatującego kota.

Mack sformułował swe żądanie:

— Pożyczysz nam swoją starą ciężarówkę, żebyśmy mogli pojechać w Dolinę Carmelu po żaby dla Doktora — naszego kochanego starego Doktora?

Lee Chong uśmiechnął się z triumfem:

— Ciężarówka nie dożyła — powiedział. — Luina.

Macka aż zatknęło, ale za chwilę przyszedł do siebie. Rozłożył na kontuarze zlecenie na benzynę.

— Patrz — rzekł. — Doktor potrzebuje tych żab. Dał mi kartkę na benzynę. Nie mogę zostawić Doktora na lodzie. Słuchaj, Gay jest dobrym mechanikiem. Jak on naprawi twoją ciężarówkę, dasz nam ją wziąć?

Lee przechylił głowę do tyłu, tak by mógł patrzeć na Macka przez połówki szkła. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Ciężarówka rzeczywiście była popsuta. Gay rzeczywiście był dobrym mechanikiem, a zlecenie na benzynę stanowiło zdecydowany dowód dobrej wiary.

— Jak wy długo wyjazd? — zapytał Lee.

— Może pół dnia, może cały dzień. Jak tylko nałapiemy żab.

Lee zmartwił się, ale nie widział żadnej drogi wyjścia. Czyhało mnóstwo niebezpieczeństw, a Lee spodziewał się wszystkiego najgorszego.

— Dobra — powiedział.

— Świetnie — ucieszył się Mack. — Wiem, że Doktor może na tobie polegać. Przyślę Gaya, żeby naprawił ten samochód.

Zwrócił się w stronę wyjścia.

— Przy okazji... — zawahał się. — Doktor płaci nam za te żaby po pięć centów od łebka. Złapiemy na pewno ze siedemset albo osiemset sztuk. Czy nie dałbyś butelki Starych Tenisówek, zanim wrócimy z żabami?

— Nie — powiedział Lee Chong.



## *Rozdział 10*

Frankie zaczął przychodzić do Zachodniego Laboratorium Biologicznego, gdy miał jedenaście lat. Przez jakiś tydzień stał tylko przed wejściem do suterenu i zaglądał do środka. Potem któregoś dnia stanął w samych drzwiach. Dziesięć dni później był już w suterenu. Miał bardzo duże oczy, a jego włosy były jedną ciemną, splątaną, brudną strzechą. Ręce miał umorusane. Podniósł z ziemi garść wiórków do pakowania, włożył do kubła na śmieci, a potem spojrzął na Doktora, który naklejał kartki na stojakach zawierających purpurową *Veella*. Wreszcie Frankie podszedł do długiego stołu i położył na nim swoje brudne ręce. Minęły trzy tygodnie, zanim Frankie dotarł tak daleko, więc teraz chciał wykorzystać każdą chwilę.

Wreszcie któregoś dnia Doktor odezwał się do niego:

— Jak masz na imię, synu?

— Frankie.

— Gdzie mieszkasz?

— A tam. — Gest w stronę wzgórza.

— Dlaczego nie jesteś w szkole?

— Nie chodzę do szkoły.

— Dlaczego nie?

— Oni mnie tam nie chcą.

— Masz brudne ręce. Czy ty się nigdy nie myjesz?

Wyglądało na to, że Frankie jest bardzo przejęty. Podszedł do umywalki i wyszorował ręce, a potem zawsze tak je szorował, że mało nie pozdzierał skóry.

Przychodził do laboratorium codziennie. Wywiązała się przyjaźń bez wielu słów. Doktor ustalił telefonicznie, że Frankie powiedział prawdę. Rzeczywiście nie chcieli go w szkole. Nie mógł się uczyć i coś było nie w porządku z jego systemem koordynacji. Nie było dla niego miejsca. Nie był idiotą, nie był niebezpieczny dla otoczenia, jego rodzice, a właściwie matka nie chciała płacić za utrzymanie go w specjalnym zakładzie. Frankie rzadko sypiał w laboratorium, ale spędzał tu całe dni. Niekiedy włożył do skrzynki i spał.

Działo się to prawdopodobnie wtedy, gdy miał jakieś kłopoty w domu. Doktor spytał: — Dlaczego tu przychodzisz?

— Bo pan mnie nie bije ani nie daje mi piąta — powiedział Frankie.

— Biją cię w domu?

— W domu przez cały czas przychodzą wujkowie. Niektórzy z nich mnie biją i mówią, żebym poszedł, a inni dają mi pięć centów i mówią, żebym poszedł.

— A gdzie jest twój ojciec?

— Umarł — powiedział Frankie niepewnie.

— A gdzie matka?

— Z wujkami.

Doktor ostrzygł włosy Frankiego i wytępił wszy. U Lee Chonga kupił mu nowy kombinezon i sweter w paski i Frankie stał się jego niewolnikiem.

— Ja pana kocham — powiedział pewnego popołudnia. — Och, ja pana kocham.

Chciał pracować w laboratorium. Codziennie zamiatał, ale zawsze coś mu się nie udawało. Nigdy nie potrafił osiągnąć tego, żeby podłoga była zupełnie czysta. Próbował pomagać przy segregowaniu raków. Raki były w kubie — wszystkie rozmiary. Należało je umieścić w wielkich słojach — trzycalowe oddzielnie, wszystkie czterocalowe oddzielnie i tak dalej. Frankie próbował, pot wystąpił mu na czoło, ale nie mógł tego pojąć. Rozmiar jako wspólna cecha nie mógł mu wejść do głowy.

— Nie — mówił Doktor. — Patrz, Frankie. Przykładaj je do palca, o w ten sposób, to będziesz wiedział, jaki każdy z nich ma rozmiar. Widzisz? Ten na przykład sięga od czubka palca wskazującego do nasady kciuka. Teraz bierzesz drugiego raka, a on sięga od czubka palca do tego samego miejsca, i wszystko jest w porządku.

Frankie próbował, ale nie mógł sobie dać rady. Gdy Doktor poszedł na górę, Frankie włożył do skrzynki z wiórami i nie wyszedł aż do wieczora.

Ale Frankie był miłym, dobrym, grzecznym chłopcem. Nauczył się zapalać cygara Doktora i chciałby, żeby Doktor palił bez przerwy, bo w ten sposób mógłby mu stale zapalać cygara.

Najbardziej ze wszystkiego Frankie lubił, gdy w laboratorium byli goście. Gdy mężczyźni i dziewczyny siedzieli i rozmawiali, gdy wielki fonograf wygrywał melodie, od których ścisnęło w dołku, a w głowie formowały się jakieś mętne, ale piękne i olbrzymie obrazy, Frankie bardzo to lubił. Kulił się w rogu za krzesłem, gdzie go nikt nie widział i gdzie mógł patrzeć i słuchać. Gdy wybuchał śmiech z jakiegoś żartu, którego nie rozumiał,

Frankie śmiał się radośnie za swoim krzesłem, a gdy rozmowa wchodziła na tory abstrakcji, marszczył czoło i przybierał bardzo natężony i poważny wyraz twarzy.

Pewnego popołudnia zdecydował się na czyn szaleńczej odwagi. W laboratorium odbywało się małe przyjęcie. Doktor był w kuchni i nalewał piwo, gdy Frankie zjawił się obok niego. Porwał szklanę piwa, popędził ku drzwiom i wręczył szklanę dziewczynie siedzącej w fotelu.

Wzięła szklanę, powiedziała: — O, dziękuję — i uśmiechnęła się do Frankie'ego.

A Doktor wchodząc do pokoju powiedział: — Tak, Frankie mi bardzo dużo pomaga.

Frankie nie mógł tego zapomnieć. Nieskończoną ilość razy obracał to wydarzenie w swojej głowie, jak to on wziął szklanę i jak dziewczyna siedziała, a potem jej głos: „O, dziękuję” i Doktora: „bardzo dużo pomaga... Frankie mi bardzo dużo pomaga... oczywiście, Frankie mi bardzo dużo pomaga... Frankie”, i oh, Boże!

Wiedział, że niedługo będzie wielkie przyjęcie, ponieważ Doktor kupował kotlety i bardzo dużo piwa, i Doktor pozwolił mu pomagać przy sprzątanii na górze. Ale to wszystko nic nie znaczyło w porównaniu z wielkim planem, jaki powstał w umyśle Frankie'ego. Widział już, jak się wszystko odbędzie. Stale do tego wracał. To było piękne. To było wspaniałe.

Zaczęło się przyjęcie i goście przychodzili i siadali we frontowym pokoju — dziewczyny, młode kobiety i mężczyźni.

Frankie czekał, aż z kuchni wszyscy wyszli. Upłynęło trochę czasu, zanim się to stało. Wreszcie został sam, a drzwi zatrzaśnięto. Słyszał rozmowy i muzykę z wielkiego fonografu. Działał bardzo szybko — najpierw taca, potem szklanki, ostrożnie, by której nie potłuc. A teraz napełnić je piwem, poczekać, aż piana trochę osiadzie, i dolać znowu.

Wreszcie był gotów. Głęboko zaczerpnął tchu i otworzył drzwi. Muzyka i rozmowy huczały wokół niego. Frankie chwycił tacę z piwem i wszedł do pokoju. Wiedział jak. Poszedł prosto, do tej samej młodej kobiety, która mu przedtem podziękowała. A potem, tuż przed nią, stało się... Koordynacja zawiodła, ręce zaczęły drżeć, mięśnie ogarnęła panika, nerwy telegrafowały do martwego telegrafisty, odpowiedzi nie nadchodziły. Taca i piwo kiwnęły się do przodu i runęły na kolana kobiety. Przez chwilę Frankie stał bez ruchu. A potem zawrócił i począł uciekać.

W pokoju zaległa cisza. Słyszeli, jak Frankie zbiega po schodach do piwnicy. Usłyszeli coś jakby skrobanie... i potem zapadła cisza.

Doktor spokojnie zszedł do piwnicy. Frankie siedział w skrzyni i zagrzebał się w wiórach. Doktor słyszał, jak płacze cichutko. Poczekał chwilę, a później znowu odszedł spokojnie po schodach.

Nic nie mógł poradzić. Absolutnie nic.

## *Rozdział 11*

Ciężarówka, model T Forda, będąca własnością Lee Chonga, miała zaszczytną historię. W roku 1923 była samochodem osobowym i należała do niejakiego dra W. T. Watersa. Używał jej przez pięć lat, a potem sprzedał agentowi ubezpieczeniowemu nazwiskiem Rattle. Pan Rattle nie należał do ludzi ostrożnych. Wozem, który dostał w nieskazitelnym stanie, jeździł jak wariat. Pan Rattle upijał się w soboty wieczorem, a wóz cierpiał. Zderzak był połamany i pogięty. Ponadto lubił gwałtownie hamować, tak że bandaż wymagały częstej zmiany. Gdy pan Rattle zdefraudował pieniądze pewnego klienta i uciekł do San Jose, złapano go z bujnowłosą blondynką i skazano w ciągu dziesięciu dni.

Karoseria samochodu była tak zniszczona, że następny właściciel przeciął ją na dwoje i dodał małą ciężarową platformę.

Kolejny właściciel zdjął cały front wozu i szybę ochronną. Zazwyczaj woził przynętę dla rybaków i lubił, żeby świeży wietrzyk wiał mu prosto w twarz. Nazywał się Francis Almones i miał smutne życie, bo zawsze zarabiał o ułamek mniej, niż potrzebował. Jego ojciec zostawił mu trochę pieniędzy, ale rok po roku i miesiąc po miesiącu, niezależnie od tego jak ciężko Francis pracował i oszczędzał, ilość jego pieniędzy zmniejszała się, aż wreszcie całkiem zbankrutował.

Lee Chong otrzymał ciężarówkę na pokrycie rachunku za artykuły spożywcze.

W tym czasie ciężarówka składała się właściwie tylko z czterech kół i motoru, a motor miał usposobienie tak dziwaczne, nieobliczalne i senne, że wymagał fachowego nadzoru i opieki. Lee Chong nie mógł mu tego zapewnić, więc samochód stał przeważnie na dziedzińcu za sklepem, w wysokiej trawie, a ślasy rosły mu między szprychami. Na tylnych kołach miał solidne opony, a przednie opierały się na desce chroniącej je przed wilgocią.

Prawdopodobnie każdy chłopak z willi „Cichy Kącik” potrafiłby naprawić ciężarówkę, bo wszyscy byli zdolnymi mechanikami, ale Gay był natchnionym mechanikiem. Nie ma żadnego słowa dla określenia tego rodzaju zdolności poza „smykałką”, a powinno być.

Bowiem są ludzie, co potrafią popatrzeć, posłuchać, pomacać, pomajstrować i maszyna działa. Ale istnieją ludzie, których sama obecność sprawia, że samochód po prostu chodzi lepiej. I do takich należał Gay. Jego palce na rozdzielaczu czy na śrubce regulującej karburatora działały subtelnie, mądrze i pewnie. Potrafił naprawiać delikatne motorki elektrycznie w laboratorium. Mógłby pracować w wytwórniach konserw rybnych, ilekroć by miał na to ochotę, albowiem w tym przemyśle — który narzeka gorzko, jeśli w ciągu roku nie zwrócą mu się wszystkie inwestycje — maszyny są o wiele mniej ważne niż zeznanie o dochodzie. Z pewnością, gdyby można było puszkować sardynki za pomocą ksiąg kasowych, właściciele byłiby bardzo szczęśliwi. Dlatego też używają złamanych wiekiem, ledwie zipiących kalek, nie maszyn, które wymagają stałej opieki człowieka takiego jak Gay.

Mack zerwał chłopców wcześniej. Wypili kawę i natychmiast poszli do ciężarówki stojącej wśród chwastów. Gay wziął się do roboty. Kopnął spoczywające na deskach przednie koła. — Idźcie, pożyczcie pompki i napompujcie kichy — powiedział. Następnie włożył patyk do zbiornika benzyny pod deską, która służyła za siedzenie. Jakimś cudem w zbiorniku było jeszcze z pół cała benzyny. Teraz Gay przystąpił do bardziej skomplikowanych czynności. Wyjął zawory, oskrobał je, oczyścił prowadnicę i włożył z powrotem. Otworzył karburator, by stwierdzić, czy jest dopływ benzyny. Zakręcił korbą dla sprawdzenia, czy wał silnika się obraca, a tłoki poruszają się w swoich cylindrach.

Jednocześnie przybyła pompka, a Eddie i Jones zmieniali się kolejno przy dętkach.

Gay mruzczał „Bum cyk, cyk — Bum cyk, cyk” podczas pracy. Wyjął świece, oczyścił końcówki i usunął osad węglowy. Potem wlał benzyny do puszek i wpuścił trochę do każdego cylindra, zanim z powrotem założył świece. Wyprostował się: — Potrzebujemy dwie suche baterie — powiedział. — Zobaczcie, może Lee nam da.

Mack poszedł i wrócił prawie natychmiast, przynosząc jedno wielkie „nie” Lee Chonga na to i wszelkie następne żądania.

Gay rozmyślał głęboko.

— Wiem, gdzie są baterie, i to nawet dość dobre, ale nie chcę po nie iść.

— Gdzie? — spytał Mack.

— W piwnicy w moim domu — odparł Gay. — Do nich jest podłączony dzwonek na froncie. Jeśli któryś z was, chłopaki, chce, że tak powiem, włamać się do mojej piwnicy, w ten sposób, żeby moja stara go nie złapała, to one są na takiej półeczce z boku po lewej stronie. Tylko, na miłość Boską, nie dajcie się złapać.

Po krótkiej konferencji wydelegowano Eddie'ego i Eddie poszedł.

— Jak cię złapie, to nie wspominaj o mnie — zawołał za nim Gay.

Po czym Gay zbadał bandaże. Pedał sprzęgłowy nie dotykał całkowicie podłogi, co znaczyło, że jeszcze trochę bandaża zostało. Pedał hamulca dotykał podłogi, co znaczyło, że nie ma już bandaża, ale pedał biegu wstecznego miał jeszcze zupełnie dobry bandaż. W modelu T Forda wsteczny bieg jest marginesem bezpieczeństwa. Gdy hamulec warn wysiądzie, możecie używać wstecznego biegu jako hamulca. A jeśli bandaż pierwszej przekładni jest zbyt zużyty, by można było wjechać na wzgórze, możecie wóz odwrócić tyłem i wjeżdżać. Gay stwierdził, że wsteczny bieg działa bez zarzutu, i uznał, że wszystko jest w porządku.

Za dobry omen uznano to, że Eddie wrócił z bateriami bez żadnych kłopotów. Pani Gay była w kuchni. Eddie słyszał, jak chodzi mu nad głową, ale ona go nie słyszała. Był bardzo dobry do takiej roboty.

Gay podłączył baterie, otworzył dopływ benzyny i włączył zapłon.

— Pokręćcie trochę — powiedział.

Gay był cudotwórcą — Gay, mały mechanik z Bożej łaski, święty Franciszek wszystkich rzeczy, które się obracają i kręcą, i eksplodują, święty Franciszek cewek i armatur, i trybów. A jeśli całe zastępy wraków, sfatygowanych Dusenbergow, Buicków, de Sotów i Plymouthów, amerykańskich Austinów i Isotta-Fraschinich wielbią Boga wielkim chórem — należy to zawdzięczać przede wszystkim Gayowi i jego braciom.

Jeden obrót — jeden mały obrót i motor zaskoczył i pracował, zakrztusił się i zaskoczył znowu. Gay przyspieszył zapłon i przykręcił gaz. Przełączył na magneto i Ford Lee Chonga zachichotał, zachybotał i zabrzączał pełen szczęścia, jakby wiedział, że pracuje dla człowieka, który go kocha i rozumie.

Nasuwały się jeszcze dwie techniczne trudności z ciężarówką — nie miała numerów rejestracyjnych i nie miała światła. Ale chłopaki umocowali solidnie i niby przypadkowo szmatę nad tylnym numerem, a frontową płytkę zakleili garścią gęstego błota. Ekwipunek ekspedycji był dość nieznacznym: kilka siatek żabich na długich trzonkach i kilka worków z juty. Miejscy myśliwi udający się na polowanie obładują się jedzeniem i napitkami. Ale nie Mack! Słusznie rozumował, że właśnie ze wsi pochodzą wszelkie artykuły spożywcze. Dwa bochenki chleba i to, co zastało w gąsiorku Eddie'ego, stanowiło całe zaopatrzenie. Towarzystwo wladowało się na platformę, Gay za kierownicę, a Mack obok niego. Ominęli róg sklepu Lee Chonga, przejechali przez plac klucząc między rurami. Pan Malloy pokiwał im ręką ze swego siedzenia przy kotle. Gay zwolnił przejeżdżając

przez chodnik i delikatnie zjechał z krawężnika, ponieważ spod przednich opon stale wyglądało płótno. Mimo całego pośpiechu, wyruszyli na dobre dopiero po południu.

Ciężarówka podjechała zwolna do stacji benzynowej Rudego Williama. Mack wyszedł i wręczył swój dokument Rudemu.

— Doktor nie miał drobnych — oświadczył. — Wlej nam pięć galonów, a zamiast pozostałych pięciu daj nam dolara, bo właśnie tak Doktor chciał to załatwić. On jedzie na Południe, uważasz? Ma tam przeprowadzić grubszy interes.

Rudy uśmiechnął się dobrodusznie:

— Wiesz, Mack — powiedział — Doktorowi przyszło do głowy, że coś tu nie klapuje, i wpadł na to samo, co ty. On jest dość bystry facet. Zatelefonował do mnie wczoraj wieczorem.

— Wlej dziesięć galonów — rzekł Mack. — Nie... czekaj. Będzie się bełtać i powylewa się. Wlej pięć, a pięć daj nam w karnistrze, wiesz, w takim plombowanym karnistrze.

Rudy uśmiechnął się radośnie: — I o tym Doktor również pomyślał.

— Wlewaj dziesięć galonów — rzekł Mack. — I żeby mi ani kropla nie zastała w węźu!

Mała ekspedycja starała się nie zbliżyć do centrum Monterey. Drobną niedokładność z numerami rejestracyjnymi i światłami skłoniła Gaya do wybierania bocznych ulic. Uważał, że na ryzyko będzie jeszcze czas, kiedy znajdą się na wzgórzu Carmel, i dalej, dobre cztery mile po głównej szosie, narażeni na spotkanie z każdym przejeżdżającym policjantem, zanim zboczą na mało uczęszczaną drogę w Dolinie Carmelu. Gay wybrał boczną uliczkę, która przywiodła ich na główną szosę, tuż gdzie się zaczyna stok wzgórza. Z wielkim brzękiem rozpedził się na pochyłości, a po pięćdziesięciu jardach nacisnął pedał na pierwszą przekładnię. Wiedział, że się to nie uda, bo bandaż był zbyt wytarty. Na równinę wystarczał, ale nie na wzgórze. Gay zatrzymał, zakręcił i wycelował ciężarówkę tyłem do wzgórza. Potem dodał gazu i nacisnął na wsteczny bieg. A wsteczny nie był zużyty. Samochód pełznął zwolna i uparcie pod górę.

I prawie byliby wjechali. W chłodnicy, oczywiście, gotowało się, ale większość ekspertów od modelu T uważa, że nie pracuje on należycie, jeśli się nie gotuje.

Ktoś powinien napisać uczoną rozprawę o moralnym, fizycznym i estetycznym wpływie modelu T Forda na naród amerykański. Dwa pokolenia Amerykanów wiedziały więcej o fordowskim zaworze wlotowym niż o clitoris, o planetarnym systemie przekładni niż o planetach w ogóle. Wraz z modelem T zniknęła część pojęcia prywatnej własności.



Nikt nie mógł już być właścicielem płaskoszczypców, a pompka do dętek należała do tego, kto ją ostatni zabrał. Większość dzieci z tego okresu została poczęta w modelach T Forda, a wcale niemało urodziło się w tych wozach. Teoria domu anglosaskiego tak się wypaczyła, że nigdy już nie doszła do siebie.

Samochód wjeżdżał z uporem na wzgórze Carmel, minął drogę na szczyt Jacka i właśnie zabierał się do ostatniego i najbardziej stromego odcinka, gdy motor zaczął sapać coraz ciężiej, czknał i zarzęził. Wydawało się, że zapadła śmiertelna cisza, gdy silnik stanął. Gay, który tak czy owak był zwrócony przodem do stóp pagórka, zjechał pięćdziesiąt stóp w dół i skręcił na drogę prowadzącą na szczyt Jacka.

— Co to jest? — spytał Mack.

— Chyba karburator — rzekł Gay. Motor parsknął i trząsknął z gorąca, a strumień pary, który dobywał się z rurki zlewnej, syczał jak aligator.

Karburator modelu T nie jest skomplikowany, ale do funkcjonowania potrzebuje wszystkich części. Istnieje tam tak zwana igła pływaka, a jej czubek musi siedzieć w odpowiednim gniazdku, bo inaczej karburator nie będzie pracował.

Gay trzymał igłę w ręku, a jej czubek był ułamany.

— Do diabła, co myślicie, jak to się mogło stać?

— Cud — powiedział Mack. — Istny cud. Potrafisz to naprawić?

— Diabła tam — odparł Gay. — Muszę mieć nową.

— Ile to kosztuje?

— Koło dolara, jak kupujesz nową, a dwadzieścia pięć centów u handlarza wraków.

— Masz dolara? — zagadnął Mack.

— Pewnie, ale nie będę potrzebował.

— No, to wracaj jak najszybciej. Poczekamy tu na ciebie.

— Choćbyście chcieli, nie uciekniecie bez igły — oświadczył Gay. Wyszedł na drogę. Podnosił rękę na trzy samochody, ale dopiero czwarty z kolei zatrzymał się dla niego. Chłopcy patrzyli, jak wsiada i jedzie w dół pagórka. I nie zobaczyli go już, aż dopiero za sto osiemdziesiąt dni.

O, nieskończoność możliwości! Jak się to zdarzyło, że samochód, który podwoził Gaya, zepsuł się, zanim dojechał do Monterey? Gdyby Gay nie był mechanikiem, nie naprawiłby samochodu. Gdyby nie naprawił samochodu, właściciel nie zabrałby go na jednego do Jimmy'ego Brucii. I dlaczego były urodziny Jimmy'ego? Ze wszystkich możliwości na świecie — jest ich miliony — zdarzały się tylko przypadki prowadzące prosto do więzienia w Salinas. Sparky Enea i Tiny Colletti właśnie się pogodzili i pomagali

Jimmy'emu obchodzić urodziny. Weszła blondynka. Spór na tematy muzyczne przed automatem grającym. Nowy przyjaciel Gaya znał pewien chwyt dżudo, usiłował pokazać go Sparky'emu i złamał mu rękę. Policjant o zepsutym żołądku — wszystko sprawy bez związku i bez znaczenia, a jednak zmierzające w określonym kierunku. Los po prostu nie chciał, żeby Gay pojechał na połów żab i Los zorganizował diabelną kupę nieporozumień, ludzi i przypadków, by go od tego powstrzymać. Gdy nadszedł szczytowy punkt akcji, gdy prysnęła szyba w sklepie z butami Holmana i całe towarzystwo przymierzało buty z wystawy, tylko Gay nie usłyszał syreny na pożar. Tylko Gay nie pobiegł do pożaru, i gdy nadjechała policja, znalazła go siedzącego samotnie na wystawie Holmana w jednym oxfordzkim brązowym buciku i jednym lakierku z czubkiem z szarego płótna.

Tymczasem chłopaki rozpalili małe ognisko koło ciężarówki, gdy zapadła ciemność i chłód powiał od oceanu. Sosny szemrały nad nimi w rześkim morskim powiewie. Leżeli na sosnowym igliwiu i patrzyli na puste niebo przez sosnowe gałęzie. Przez chwilę rozmawiali o trudnościach, jakie Gay musiał napotkać przy szukaniu igły pływaka, lecz stopniowo, w miarę upływających godzin, przestali go w ogóle wspominać.

— Ktoś z nim powinien być pojechać — rzekł Mack.

Okolo dziesiątej Eddie wstał.

— Tu niedaleko są warsztaty — oświadczył. — Chyba pójdę tam i zobaczę, czy nie mają jakiego modelu T.

## Rozdział 12

Monterey jest miastem o długiej i świetnej tradycji literackiej. Wspomina z przyjemnością i z pewną dumą, że mieszkał tu Robert Louis Stevenson. Wyspa Skarbów rzeczywiście ma topografię i plan wybrzeża Pt. Lobos. W jeszcze niedawnych czasach w Carmelu przebywało wielu ludzi pióra, ale teraz nie ma już starego aromatu, dawnej godności prawdziwych *belleslettres*. Pewnego razu miasto było bardzo oburzone na coś, co obywatele uznali za lekceważenie pisarza. Łączyło się to ze śmiercią Josha Billingsa, wielkiego humorysty.

Gdzie obecnie jest nowy urząd pocztowy, był swego czasu głęboki wąwóz, strumień na jego dnie i mała kładka przez strumień. Po jednej stronie wąwozu stał piękny stary dom z niewypalanej cegły, a po drugiej dom, gdzie mieszkał doktor, który załatwiał wszystkie choroby, narodziny i zgony w mieście. Leczył również zwierzęta, a ponieważ ukończył studia we Francji, parał się nowomodnym balsamowaniem ciał umarłych. Niektórzy konserwatyści uważali to za sentymentalizm, a inni obywatele za rozrzutność, a jeszcze innym wydawało się to świętokradztwem, ponieważ żadna ze świętych ksiąg nie przewiduje balsamowania. Ale balsamowanie podobało się co lepszym i bogatszym rodzinom i stopniowo stało się zwyczajem.

Pewnego ranka pewien starszy pan nazwiskiem Carriaga szedł z domu wolnym krokiem po zboczku pagórka w stronę ulicy Alvarado. Przechodził właśnie przez kładkę, gdy jego uwagę zwrócił mały chłopiec i pies wyłażący z wąwozu. Chłopak niósł wątrobę, natomiast pies ciągnął całe jardy wnętrzości, na których końcu bimbał żołądek. Pan Carriaga stanął i grzecznie zwrócił się do chłopca:

— Dzień dobry.

W owych czasach chłopcy byli grzeczni: -

Dzień dobry panu.

— Dokąd idziesz z tą wątrobą?

— A wziąłem ją na przynętę, bo chcę łowić makrele.

Pan Carriaga uśmiechnął się: — A ten pies też chce łowić makrele?

— Ten pies to znalazł. To jego własność, proszę pana. Znaleźliśmy to w wąwozie.

Pan Carriaga uśmiechnął się i poszedł dalej, lecz nagle jego umysł zaczął pracować. To nie była wątroba wołowa — bo za mała. I to nie była wątroba cielęca, bo za czerwona. I to nie była wątroba barania... teraz jego umysł stał się czujny. Na rogu spotkał pana Ryana.

— Czy ktoś umarł wczoraj w Monterey? — spytał.

— O nikim nie słyszałem — odparł pan Ryan.

— Ktoś zabity?

— Nie.

Poszli dalej razem i pan Carriaga opowiedział o chłopcu i o psie.

W barze Adobe zebrała się pewna liczba obywateli na poranną rozmowę. Tu pan Carriaga znów opowiedział swą historię i ledwo zdążył ją skończyć, gdy do baru wszedł konstabl. On powinien wiedzieć, czy ktoś umarł. — Nie, nikt nie umarł w samym Monterey — oświadczył. — Ale Josh Billings umarł w Hotel del Monte.

W barze zaległa cisza. Wszystkim przyszło na myśl to samo. Josh Billings był wielkim człowiekiem, wielkim pisarzem. Uczynił zaszczyt Monterey umierając tutaj, a został spostponowany. Bez wielu dyskusji stworzył się komitet ze wszystkich obecnych. Poważni mężczyźni ruszyli szybko do wąwozu, przeszli przez kładkę i załomotali do drzwi doktora, który studiował we Francji.

Doktor pracował do późna w nocy. Stukanie spędziło go z łóżka. Z rozczochraną głową i brodą, w pidżamie podszedł do drzwi. Pan Carriaga zapytał go surowo:

— Pan balsamował Josha Billingsa?

— No, to co?

— A co pan zrobił z jego wnętrznościami?

— No... wyrzuciłem je do wąwozu jak zwykle. Kazali mu się szybko ubierać, a potem pospieszili na plażę. Gdyby chłopiec szybciej wyruszył na połów, mogłoby być za późno. Właśnie wsiadał do łódki, gdy przybył komitet. Wnętrzności leżały na piasku, gdzie je pies porzucił. Francuskiego doktora zmuszano, by zebrał wszystkie części. Zmuszono, by umył je dokładnie i, o ile możliwe, oczyścił z piasku. Doktor we własnej osobie musiał ponieść koszt ołowianej skrzynki, którą włożono do trumny Josha Billingsa. Bowiem Monterey nie było takim miastem, które by pozwoliło wyrzucić dyshonor literatowi.

## *Rozdział 13*

Mack i chłopaki spali spokojnie na sosnowym igliwiu. Przed świtem wrócił Eddie. Musiał iść kawał drogi, zanim znalazł model T. A gdy wreszcie znalazł, zaczął się zastanawiać, czy to dobry pomysł wyjmować igłę z osady. Mogłaby nie pasować. W związku z tym wyjął cały karburator. Chłopaki się nie zbudzili, kiedy przyszedł. Model T miał jedną przyjemną właściwość: jego części były nie tylko wymienne, ale i nie do zidentyfikowania.

Ze wzgórza Carmel roztacza się piękny widok: wygięta linia zatoki z falami pieniającymi się na piasku, wydmy wokół Seaside, a tuż u podnóża pagórka — ciepła intymność miasta.

Mack zbudził się o świcie i poprawił spodnie w tych miejscach, gdzie go uciskały, i stanął zapatrzony w zatokę. Widział kilka wracających trawlerów. Tankowiec stał przy Seaside biorąc ropę. Za Mackiem szeleściły w krzakach króliki. Potem wzeszło słońce i strząsnęło nocny chłód, tak jak się strząsa dywan. Z pierwszym promieniem słońca Mack zadrżał.

Chłopaki zjedli trochę chleba, zaś Eddie instalował nowy karburator. Kiedy wszystko było gotowe, nie zawracali sobie głowy kręceniem korbą. Pchali wóz do szosy, póki motor nie zaskoczył. Eddie usiadł za kierownicą i tyłem wjechali na wzgórze, potem na szczycie zawrócili i zaczęli zjeżdżać w dół. Plantacje karczochów w Dolinie Carmelu były szarozielone, a wierzby odcinały się od rzeki soczystą zielenią. Skręcili na lewo w dolinę. Od samego początku szczęście im dopisywało. Czerwony kogut-karmazyn, który za daleko odszedł od rodzinnego podwórka, przechodził przez drogę i Eddie'emu udało się go potrącić nie zjeżdżając nawet zbyt daleko. Magda oskubywał koguta siedząc na platformie wozu i wypuszczał pióra z ręki, rozpraszając w ten sposób dowody przestępstwa na ogromnej przestrzeni, bowiem rankiem wiała świeża bryza od Jamesburga i niektóre z czerwonych piór opadły na Pt. Lobos, a inne wiatr zdmuchnął do morza.

Carmel jest bardzo miłą rzeczką. Niezbyt długa, ma w swoim biegu wszystko to, co rzeka mieć powinna. Wytryska w górach, spada gwałtownie, rozlewa się na mieliznach, za pomocą tamy została spiętrzona w jezioro, przelewa się przez tamę, szumi wśród okrągłych otoczków, wędruje leniwie pod sykomorami, rozlewa się w łachy, w których żyją pstrągi, draży w swych brzegach zagłębienia, gdzie mają swe siedziby raki. W zimie staje się bystrą, dziką rzeczką, a w lecie mogą w niej brodzić dzieci i rybacy. Żaby wychylają głowy spośród paproci porastających brzegi. Sarny i lisy po kryjomu przychodzą tu rankiem i wieczorem, by napić się wody, a niekiedy zjawia się i górski lew. Farmy małej żyznej doliny przylegają do rzeki i czerpią z niej wodę do sadów i ogrodów warzywnych. Przepiórki nawołują się w nadbrzeżnych zaroślach, a dzikie gołębie nadlatują ze świstem o szarówce. Pracze penetrują na brzegach w poszukiwaniu żab. Jest tu wszystko, co nad rzeką być może.

Parę mil w głąb doliny rzeka przełamuje się pod wysokim urwiskiem, z którego zwisają winne latorośle i paprocie. U podstawy tego urwiska rozlewa się łacha, zielona i głęboka, a przy niej jest mała piaszczysta plaża, gdzie można usiąść i zjeść obiad.

Mack i chłopaki przybyli szczęśliwie do tego miejsca. Było bez zarzutu. Jeśli gdziekolwiek można spotkać żaby, to właśnie w takim miejscu. To było miejsce do odpoczynku, do rozkoszowania się szczęściem. Po drodze nieźle im poszło. Oprócz czerwonego koguta zyskali worek marchwi, który spadł z ciężarówki wiozącej warzywa, i pęczek cebul, który nie spadł. Mack miał torebkę z kawą w kieszeni. Na ciężarówce leżała pięciogalonowa blaszanka z obciętym wierzchem. Gąsiorek był pełen do połowy. Wzięli ze sobą takie rzeczy jak sól i pieprz. Mack i chłopaki uważaliby, że każdy, kto podróżuje bez soli i pieprzu, jest bardzo głupi.

Od razu, bez żadnego zamieszania czy dyskusji, przytoczono cztery okrągłe kamienie na małą plażę. Kogut, co wybrał się na spacer o wschodzie słońca, leżał teraz półwiartowany i oczyszczony w pięciogalonowej blaszance, podlany wodą i przykryty obraną cebulą, a malutki ogieniek z suchych wierzbowych patyków trzepotał między kamieniami, naprawdę bardzo mały ogieniek. Tylko głupcy rozpalają wielkie ogniska. Duszenie koguta kosztowało wiele czasu, albowiem wiele czasu zajęło mu uzyskanie tej wielkości i masy. Ale gdy woda zaczęła wrzeć, od razu rozniósł się przyjemny zapach.

Mack wypowiedział parę świątłych uwag: — Żaby najlepiej jest łowić w nocy. Myślę, że chyba poleżymy sobie do wieczora.

Usiedli w cieniu i stopniowo jeden po drugim wyciągali się i zasypiali.

Mack miał rację. Żaby niewiele się poruszają w ciągu dnia. Kryją się pod paprociami i wyglądają dyskretnie z dziur pod kamieniami. Najlepiej łapać żaby nocą przy świetle. Chłopaki spali wiedząc, że mają przed sobą pracowitą noc. Tylko Magda czuwał podsycając mały ogieniek. Pod urwiskiem inie ma złotego popołudnia. Gdy tylko słońce przesunęło się nad nim około godziny drugiej, na plażę opadł szeleszczący cień. Sykomory szumiały w popołudniowej bryzie. Małe węże wodne spełzały ze skał, delikatnie zanurzały się w wodzie i płynęły przez łachę, unosząc głowy jak małe peryskopy i zostawiając za sobą wąskie smugi na wodzie. Komary i moskity, które nie lubią słońca, wzbity się teraz i brzęczały nad wodą. Wszystkie owady słoneczne — muchy, ważki, osy i trzmiele — wróciły do swych kryjówek. Zapach duszonej kury chwycił wprost za serce. Magda zerwał świeży brązowy liść z drzewa laurowego i wrzucił do naczynia. Marchew już była w blaszance. Kawa gotowała się w osobnej puszcze na kamieniu odsuniętym nieco od ogniska, by nie wrzała zbyt gwałtownie. Mack obudził się, wstał, przeciągnął, pokuśtykał do rozlewiska, wymył twarz, zakaształ, splunął, wypłukał usta, wypuścił gazy, podciągnął pasek, podrapał się po nogach, przyczesał palcami mokre włosy, popił z butelki, beknął i usiadł przy ognisku.

— Jak Boga kocham — powiedział — nieźle pachnie.

Mężczyźni robią zawsze te same rzeczy, kiedy wstają. Czynności Macka nie różniły się w zasadzie od tego, co robili z kolei jego koledzy. I wkrótce wszyscy podeszli do ogniska i mówili komplementy Magdzie. Magda wbił swój nóż kieszonkowy w mięśnie koguta.

— On nie będzie, jak to nazywają, kruchy — rzekł Magda. — Trzeba byłoby dusić go przez dwa tygodnie, żeby był kruchy. Czy on był bardzo stary? Co sądzisz, Mack?

— Ja mam czterdzieści osiem lat, a nie jestem taki żyłowaty jak on — oświadczył Mack.

Eddie powiedział: — Jak myślicie, ile lat może żyć kogut, jeżeli go nikt nie przetrąci albo nie zachoruje?

— Tego właśnie nikt nigdy się nie dowie — odparł Jones.

Było bardzo przyjemnie. Butelka zaczęła krążyć w kółko i rozgrzała wszystkich.

Z kolei zabrał głos Jones: — Eddie, nie chcę na nikogo narzekać. Po prostu tylko tak sobie pomyślałem. Przypuśćmy, żebyś miał dwa albo trzy gąsiorki w barze. Przypuśćmy, żebyś wszystką whisky wlewał do jednego, a wszystko wino do drugiego, a wszystko piwo do jeszcze innego...

Pełna lekkiego zażenowania cisza zaległa po tej propozycji.

— Ja nic nie mówię — dodał szybko Jones. — Mnie to smakuje... — Jones mówił za dużo, ponieważ zrozumiał, że popełnił towarzyski nietakt, i nie mógł się zatrzymać. — Najbardziej mi się podoba, że nigdy nie wiadomo, co będzie potem — ciągnął dalej z pośpiechem. — Weźmy whisky. Mniej więcej wiesz, co będziesz robił. Kto się upija na bojowo, to będzie rozrabiał, a kto na smutno — ten płacze, ale z tym... no cóż, nigdy nie wiesz, czy będziesz latał na trzeci zagon, czy popłyniesz do Santa Cruz. W ten sposób weselej — dodał słabo.

— Jeśli mowa o pływaniu — rzekł Mack, by pokryć nietakt i zamknąć Jonesa — ciekaw jestem, co się stało z tym McKinleyem Moranem. Pamiętacie tego nurka?

— Ja go pamiętam — rzekł Hughie. — Myśmy się razem trzymali. Był czas, że nie miał dużo roboty i wziął się do picia. Ale tak stale pić i pić, to się człowiek strasznie umorduje. To męczące. W końcu sprzedał swój skafander, hełm i pompę i puścił się na popijawę jak sto diabłów, a potem wyjechał z miasta. Nie wiem, dokąd. On już nie był dobry, potem jak poszedł za tym włoskim statkiem, co stał na kotwicy koło Twelve Brothers. McKinley nurkował bez skafandra. Popękały mu bębny w uszach i później już był do niczego. Włochowi, oczywiście, nic nie zrobił.

Mack znowu pociągnął z butelki.

— On robił kupę forsy podczas prohibicji — powiedział. — Dostawał dwadzieścia pięć dolarów dziennie od rządu, żeby sprawdzał, czy nie przemycają wody pod statkami, i dostawał po trzy dolary od skrzynki od Louie'ego, żeby jej nie znalazł. Pracował w ten sposób, że znajdował jedną skrzynkę dziennie, żeby rząd się cieszył. Louie'emu to nie szkodziło. W ten sposób McKinley mógł się utrzymać na posadzie. Zrobił kupę forsy.

— Tak — oświadczył Hughie. — Ale z nim jest tak jak z każdym innym. Zrobi trochę forsy i zaraz chce się żenić. Żenił się trzy razy, zanim mu się pieniądze rozeszły. Tak to już jest. Facet nagle kupuje kołnierz ze srebrnego lisa, a potem buch — i dowiadujesz się, że się ożenił.

— Ciekawe, co się stało z Gayem — odezwał się Eddie. Pierwszy raz ktoś go znowu wspomniał.

— To, co zawsze — odparł Mack. — Nigdy nie można wierzyć żonatemu facetowi. Żeby nie wiem jak nienawidził swojej starej, zawsze do niej wróci. Zaczyna myśleć i dumać, a potem idzie. Nigdy nie można mu wierzyć. Weźcie tego Gaya — dodał. — Jego baba go tłucze. Ale mogę przysiąc, że jak Gay nie widzi jej przez trzy dni, zaczyna sobie wyobrażać, że to jego wina, i wraca, żeby się z nią pogodzić.



Jedli długo i delikatnie, nadziewając na czubek noża kawałki koguta, trzymając ociekające tłuszczem kaski, póki nie ostygły, i obgryzając twarde mięso z kości. Nadziewali marchwie na zaostrome patyki wierzbowe, a wreszcie puścili w obieg blaszankę i pili sos. A wokół nich wieczór rozlewał się delikatnie jak muzyka. Przepiórki zwoływały się do wodopoju. Pstrągi płały w zalewie. Pojawiły się ćmy i trzepotały nad łąką, gdy światło dnia mieszało się z ciemnością. Chłopaki ipuścili w kółko puszkę z kawą i czuli się ciepło, syto i milcząco. Wreszcie odezwał się Mack:

— Niech to diabli! Nie cierpię blagiera.

— A kto ci blaguje? — spytał Eddie.

— Ja sam — odparł Macik. — I być może, wy, koledzy. O to właśnie chodzi — rzekł z powagą. — O tę naszą całą diabelną bandę. Wymyśliłiśmy sobie, że chcemy urządzić Doktorowi przyjęcie. No i przyjechaliśmy tutaj, i mamy kupę przyjemności. Potem przyjedziemy z powrotem i dostaniemy forszę od Doktora. Jest nas pięciu, więc wypijemy pięć razy tyle whisky co on. Wcale nie jestem pewny, że robimy to dla Doktora. Mam wątpliwości, czy nie robimy tego dla siebie. A Doktor jest wystarczająco równy gość, żeby to dla nas zrobić również. Doktor to najrówniejszy gość, jakiego kiedykolwiek widziałem. Nie chciałbym być takim chamem, co go wykorzystuje. Wiecie, że raz naciągnąłem go na dolara. Nałgałem mu, ile wlezie. I w samym środku tego łgania widzę jak cholera, że ta historia jest za bardzo dęta. No i mówię: „Doktorze, wszystko, co gadałem, to jedna śmierdząca bujda!” A on włożył rękę do kieszeni i wyciąga dolara. „Mack — mówi — ja wiem, że jak ktoś tak potrzebuje forszę, że musi łgać, żeby ją dostać, to rzeczywiście jej potrzebuje”. I dał mi tego dolara. Oddałem mu zaraz na drugi dzień. W ogóle nie wydałem. Po prostu przetrzymałem przez noc i oddałem z powrotem.

Zabrał głos Magda: — Doktor bardzo lubi przyjęcia. Urządzamy mu przyjęcie. No, to o co, u diabła, chodzi?

— Nie wiem — powiedział Mack. — Po prostu chciałbym mu coś dać i nie zabierać większej części z powrotem dla siebie.

— A jakby było z prezentem? — spytał Hughie. — Przypuśćmy, że kupimy whisky, damy mu ją i pozwolimy, żeby z nią zrobił, co chce.

— Słusznie mówisz — potwierdził Mack. — Tak zrobimy. Po prostu damy mu whisky i ulotnimy się.

— No to wiesz, co będzie — powiedział Eddie. — Henri i ci goście z Carmelu wywęszą whisky i wtedy zamiast pięciu współników będzie dwudziestu. Doktor mówił mi

raz, że jak smaży pieczeń, to wszyscy od Nadbrzeżnej do Point Sur ją czują. Nie widzę z tego żadnej korzyści. Lepiej będzie, jak sami zrobimy mu to przyjęcie.

Mack zastanawiał się nad tym rozumowaniem.- Może i macie rację — oświadczył w końcu. — Ale może damy mu jeszcze coś poza whisky, na przykład spinki do mankietów z jego monogramem.

— Och, gównu — powiedział Magda. — Doktor nie lubi takiej tandety.

Noc już zapadła, a gwiazdy stały się białe na tle nieba. Magda podkładał na ognisko, które rzucało mały krąg światła na plażę. Za wzgórzem. ostro szczekał lis. Zapach bożydrzewu spływał z pagórków. Woda bulgotała na kamieniach.

Maok dumał właśnie nad ostatnim fragmentem rozumowania, gdy odgłos kroków zmusił wszystkich do obejrzenia się. Wielki i ciemny mężczyzna podkradł się blisko. Na ramieniu miał strzelbę, a za jego nogą nieśmiało i delikatnie przemykał się pointer.

— Co tu robicie, u diabła? — spytał.

— Nic — odparł Maok.

— Wszędzie są ogłoszenia. Zabrania się łowienia ryb, polowania, palenia ognisk, obozowania. Zbierajcie graty, gaście ogień i jazda stąd!

Mack stał pokornie. — Nie wiedziałem, panie kapitanie — powiedział. — Pod słowem, nie widzieliśmy tablic, kapitanie.

— Wszędzie są ogłoszenia. Nie mogliście ich nie zauważyć.

— Bardzo przepraszam, panie kapitanie. Popętniliśmy błąd i bardzo nam przykro — powiedział Mack. Przerwał i spojrzał na przygarbioną postać. — Pan jest wojskowym, nieprawda, proszę pana? Ja zawsze poznam. Wojskowi trzymają się zupełnie inaczej niż inni ludzie. Służyłem długo w armii i zawsze poznam.

Nieznacznie ramiona mężczyzny wyprostowały się i przybrał teraz zupełnie inną postawę.

— Nie pozwalam na palenie ognisk na moim gruncie — nalegał.

— Bardzo przepraszamy — rzekł Mack. — Zaraz się stąd zabieramy, kapitanie. Wie pan, my pracujemy dla paru naukowców. Chcieliśmy złapać trochę żab. Oni pracują nad rakiem, a my im pomagamy w łapaniu żab.

Mężczyzna zawahał się przez chwilę: — A co oni robią z żabami?

— Więc, proszę pana — rzekł Mack — oni zarażają żaby rakiem, a potem studiują i robią doświadczenia, i prawie by już tego raka wykończyli, gdyby mogli dostać trochę żab. Ale jeśli pan nie życzy sobie nas na swoim terenie, kapitanie, zaraz się stąd zabieramy. Nigdy byśmy tu nie wstąpili, gdybyśmy wiedzieli.

Nagle zdawało się, że Mack po raz pierwszy dostrzegł pointera.

— Jak Boga kocham, jaka piękna suczka — zawołał z entuzjazmem. — Wygląda zupełnie jak Nola, która wygrała zawody dla psów myśliwskich w Wirginii w zeszłym roku. Ona pochodzi z Wirginii, panie kapitanie?

Kapitan zawahał się przez moment, a potem skłamał: — Tak — oświadczył krótko. — Kuleje. Kleszcz ją skaleczył w samą łopatkę.

Mack natychmiast okazał, jak jest uczynny: — Czy można spojrzeć, panie kapitanie? Chodź, kochana, chodź malutka. — Pointer spojrział na swego pana, a potem pokuśtykał do Macka, — Podrzuc z parę patyków, żebym ją mógł obejrzeć — powiedział do Magdy.

— W tym miejscu nie może się lizać — rzekł kapitan i pochylił się nad ramieniem Macka.

Mack wycisnął trochę ropy z jątrzącej się rany na łopatkę psa.

— Miałem kiedyś psa, z którym było zupełnie to samo, a potem wszystko weszło mu do środka i zdechł. Ona właśnie ma szczeniaki, prawda?

— Tak — potwierdził kapitan — sześcioro. Zajodnowałem jej to miejsce.

— Nie — zaprotestował Mack. — Jodyna nie ściąga. Ma pan może selcerską sól w domu?

— Tak. Całą butlę.

— Niech pan zrobi gorący okład z soli selcerskiej. Ona jest słaba, pan wie, przez szczeniaki. Byłaby szkoda, gdyby się teraz rozchorowała. Straciłby pan też i szczeniaki.

Pointer zajrzał głęboko w oczy Macka, a potem polizał jego rękę.

— Powiem panu, co ja bym zrobił. Przeprowadziłbym kurację. Sól selcerską wszystko załatwi. To najlepsza rzecz.

Kapitan pogładził łeb psa.

— Wiecie co, mam sadzawkę koło domu, tam jest tyle żab, że nie mogę spać w nocy. Dlaczego byście mieli tam nie wpaść? Wrzeszczą przez całą noc. Będę zadowolony, jak się ich pozbędę.

— To bardzo uprzejmie z pana strony — powiedział Mack. — Słowo daję, że ci Doktorzy będą panu bardzo wdzięczni. Ale bardzo chciałbym zrobić okład tej suczce. — Zwrócił się do kolegów: — Zaduście ten ogień — powiedział. — Uważajcie, żeby ani iskra nie została, i zróbcie porządek. Żeby mi tu nie było żadnego bałaganu! Ja z kapitanem pójdziemy i zajmiemy się suczką. A wy, chłopaki, możecie iść za nami, kiedy wszystko uporządkujecie.

Mack z kapitanem odeszli razem.

Magda zgarniał butem piasek na ognisko.

— Słowo daję, że ten Mack mógłby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, gdyby chciał — oświadczył.

— No i co by miał z tego? — spytał Jones. — To żadna przyjemność.

## *Rozdział 14*

Wczesny ranek to godzina czarów na ulicy Nadbrzeżnej. O szarówce, kiedy już jest jasno, ale słońce jeszcze nie wzeszło, Nadbrzeżna wisi w srebrzystym świetle poza czasem. Latarnie uliczne gasną, a trawa staje się połyskliwe zielona. Falista blacha wytwórni konserw jarzy się perłowym odbłaskiem platyny i starej cyny. Nie jeżdżą samochody. Ulica jest pusta i milcząca. Słychać plusk fal rozbijających się o filary wytwórni konserw. Nastaje chwila wielkiego spokoju, czas nieistniejący, krótka era wypoczynku. Koty zeskakują z płotów i jak syrop kleją się do ziemi w poszukiwaniu rybich łebków. Milczące poranne psy paradują majestatycznie, wybierając z rozwagą miejsce, gdzie by się wysuszać. Mewy z wielkim trzepotem skrzydeł opadają na dachy wytwórni oczekując dnia rozrzutności. Siedzą na krawędzi dachów jedna przy drugiej. Od skał przy Stacji Marynistycznej Hopkinsa dolatuje naszczekiwanie lwów morskich zupełnie jak ujadanie psów. Powietrze jest chłodne i rześkie. Krety w ogrodach wznoszą poranne kopce świeżej ziemi, wypęczają na wierzch i wciągają kwiaty do swych korytarzy. Widać bardzo mało ludzi, akurat tyle, by okolica wyglądała jeszcze bardziej pusto. Jedna z dziewczyn Dory wraca od klienta zbyt bogatego lub zbyt kapryśnego, by odwiedził Niedźwiedzią Flagę. Jej makijaż jest nieco lepki, a stopy zmęczone. Lee Chong wynosi kubły ze śmieciami i ustawia je na chodniku. Stary Chińczyk wychodzi z morza i człapie w stronę willi „Cichy Kącik”. Strażnicy wytwórni otwierają oczy i mrugają w porannym świetle. Wykidajło spod Niedźwiedziej Flagi wychodzi na ganek w koszuli z krótkimi rękawami, przeciąga się, ziewa i drapie po brzuchu. Chrapanie lokatorów pana Malloy dolatuje z rur jak z głębokiego tunelu. Jest to perłowa godzina — przerwa między dniem i nocą, gdy czas staje i przygląda się sobie.

Takiego ranka, w takim świetle, dwóch żołnierzy i dwie dziewczyny spacerowało ulicą. Wyszli z La Ida bardzo zmęczeni i bardzo szczęśliwi. Dziewczyny były tęgawe, wielkopierśne i silne i miały nieco potargane jasne włosy. Ubrane były w kretonowe wizytowe sukienki, teraz pogniecione i przylegające do wszystkich wypukłości. Obie

dziewczyny założyły żołnierskie czapki, jedna — na tył głowy, a druga — daszkiem prawie na nos. Miały pełne wargi te szerokonose, biodrzaste dziewczyny i były bardzo zmęczone.

Żołnierze rozpięli mundury, a pasy przewiesili przez naramienniki. Węzły krawatów mieli opuszczone i rozpięte kołnierzyki koszul. I żołnierze włożyli na głowy kapelusze dziewcząt, jeden — płaski kapelusik z żółtej słomki, przybrany pęczkiem stokrotek, a drugi — białą włóczkową czapeczkę ozdobioną kółeczkami z niebieskiego celuloidu. Szli trzymając się za ręce i wymachując nimi rytmicznie. Jeden z żołnierzy niósł wielką torbę z szarego papieru napelnioną puszkami z zimnym piwem. Szli lekko w perłowym świetle. Mieli za sobą wspaniałą zabawę i czuli się doskonale. Uśmiechali się do siebie jak zmęczone dzieci wspominające przyjęcie. Patrzyli sobie w oczy i rytmicznie machali rękami. Przeszli koło Niedźwiedziej Flagi i zawołali „Czołem” do wykidajły, który drapał się po brzuchu. Posłuchali chrapania z rur i pośmieli się troszkę. Stanęli przed sklepem Lee Chonga patrząc na zapchaną wystawę, gdzie zabawki, ubrania i jedzenie tłoczyły się, by ściągnąć uwagę. Wymachując rękoma i powłócząc nogami doszli do końca ulicy Nadbrzeżnej i skręcili na tor kolejowy. Dziewczęta szły po szynach, a żołnierze podtrzymywali je w grubo ciosanych taliach. Przeszli koło warsztatów naprawy łodzi i skierowali się ku podobnej do parku posiadłości Stacji Marynistycznej Hopkinsa. Jest tam wąziutka, wygięta plaża, miniatura plaży między małymi rafami. Delikatne ranne fale lizały piasek i szemrały delikatnie. Przenikliwy zapach wodorostów nadlatywał od wysuniętych raf. Gdy cała czwórka weszła na plażę, ukazał się kawałeczek słońca nad posiadłością Toma Worka u wgłębienia zatoki, ozłocił wodę i rozzócił skały. Dziewczyny usiadły po prostu na piasku i wygładziły sukienki na kolanach. Jeden z żołnierzy wybił dziury w czterech puszkach z piwem i rozdał je. Mężczyźni położyli się i oparli głowy na kolanach dziewcząt, i patrzyli im w twarze. I uśmiechali się do siebie zmęczonymi, spokojnymi i cudownymi uśmiechami.

Od stacji dało się słyszeć szczekanie psa. Strażnik, ciemny i zgryźliwy mężczyzna, zobaczył ich i jego czarny i zgryźliwy spaniel też ich zobaczył. Strażnik zaczął krzyżeć, a gdy się nie ruszyli z miejsca, zszedł na plażę, a jego pies naszczekiwał monotonna.

— Nie wiecie, że tu nie można siedzieć? Wynoście się stąd. To posiadłość prywatna.

Żołnierze nawet go nie widzieli ani nie słyszeli. Uśmiechali się, a dziewczyny głaskały im czupryny nad skroniami. Wreszcie szybkim ruchem jeden z żołnierzy odwrócił głowę, tak że jego policzek znajdował się między kolanami dziewczyny. Uśmiechnął się dobrodusznie do stróża.

— Dlaczego nie wyniesiesz się na księżyc? — spytał uprzejmie i potem znów odwrócił głowę, by patrzeć na dziewczynę. Słońce oświetlało jej jasne włosy, a ona łaskotała żołnierza po uchu. Nawet nie zauważyli, że dozorca wrócił do swej budki.

## Rozdział 15

Kiedy chłopaki przyszli na farmę, Mack był w kuchni. Suka leżała na jednym boku, a Mack przykładał jej kawałek płótna z solą selcerską do rany. Między jej nogami tłuste piszczące psiaki poszturchiwały ją i rozpychały się szukając mleka, a suka patrzyła cierpliwie w twarz Macka jakby mówiąc: „Widzisz, jak to jest. Próbowałam mu powiedzieć, ale on nie zrozumiał”.

Kapitan trzymał lampę i przyglądał się zabiegom Macka.

— Cieszę się, że mi pan to pokazał — powiedział.

— Nie chcę się wtrącać w pana sprawy, ale te szczeniaki trzeba odstawić — oświadczył Mack. — Ona nie ma dużo mleka, a szczeniaki poszarpią ją na kawałki.

— Wiem — odparł kapitan. — Właściwie to powinienem był potopić je wszystkie z wyjątkiem jednego, tylko nie miałem czasu, jak to przy gospodarstwie. Ludzie nie interesują się teraz myśliwskimi psami, jak dawniej. Wciąż tylko pudle, boksery i doberman.

— To prawda — potwierdził Mack. — A dla mężczyzny nie ma psa jak pointer. Nie wiem, co w ludzi teraz wstąpiło. Ale pan ich nie potopi, co?

— Tak to jest — żalił się kapitan — od czasu jak moja żona wzięła się do polityki, w ogóle dostaję bzika. Została wybrana do zgromadzenia okręgowego, a kiedy rada nie ma sesji, wyjeżdża na wiece. A jak jest w domu, to przez cały czas studiuje i pisze instrukcje.

— To pan ma zasrane... chciałem powiedzieć ciężkie życie — powiedział Mack. — No tak, żebym miał takiego szczeniaka jak ten — wziął do ręki wijącego się, pyzatego psiaka — idę o zakład, że w ciągu trzech lat zrobiłbym z niego prawdziwego myśliwskiego psa. Suctzkę wziąłbym w każdej chwili.

— A może by pan wybrał sobie któregoś? — spytał kapitan.

Mack spojrział w górę: — Chce mi pan go dać? Oh, Jezu, oczywiście.

— To niech pan bierze — rzekł kapitan. — Teraz chyba nikt się nie rozumie na psach.



Chłopaki stali w kuchni i szybko zbierali wrażenia. Było widoczne, że żona wyjechała — pootwierane puszki, patelnia z obwódka po jajecznicy, okruchy na kuchennym stole, otwarte pudełko z nabojami do dubeltówki na półce z chlebem — wszystko to krzyczało, że brak kobiety, podczas gdy białe firanki, półki z naczyniami wyłożone papierem i małe ręczniki nad umywalką mówiły, że kobieta tu była. I podświadomie cieszyli się, że jej nie ma. Tego rodzaju kobiety, które kładą papier na półkach i wieszają małe ręczniki, instynktownie nie ufały Mackowi i chłopakom i nie lubiły ich. Takie kobiety wiedziały, że oni są jedną z najgorszych gróźb dla domu, bowiem przeciwko schludności, porządkowi i przyzwoitości ofiarowują swobodę i koleżeństwo. Cieszyli się, że jej nie ma.

Teraz kapitan zaczął się czuć tak, jakby oni robili mu zaszczyt. Nie chciał, żeby odeszli. Powiedział niepewnie:

— Może wy, chłopaki, napilibyście się czegoś na rozgrzewkę, zanim weźmiecie się do tych żab?

Chłopcy spojrzeli na Macka. Mack zmarszczył czoło, jakby musiał sprawę głęboko przemyśleć.

— Jak jesteśmy na takiej wyprawie naukowej, mamy poniekąd zasadę, żeby nic nie brać do ust — powiedział, a potem dodał szybko, jakby posunął się za daleko: — Ale ponieważ jest pan dla nas tak uprzejmy... to osobiście nie miałbym nic przeciwko jednemu maleńkiemu łyczkowi. Nie wiem, co koledzy powiedzą.

Koledzy zgodzili się, że również nie mają nic przeciwko jednemu maleńkiemu. Kapitan wziął latarkę i zszedł do piwnicy. Słyszeli, jak grzebie wśród gratów i skrzynek. Wyszedł z pięciogalonowym, dębowym antałkiem w ramionach. Postawił go na stole.

— Podczas prohibicji postarałem się o trochę whisky z kukurydzy i odstawiłem ją. Po prostu przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby zobaczyć, jak smakuje. Teraz to już będzie dość stara. Prawie o niej zapomniałem. Wiecie, moja żona...

Porzucił od razu ten temat widząc, że doskonale rozumieją jego myśli.

Kapitan wybił czop z dna antałka, wziął szklanki z półki wyłożonej powycinanym w ząbki papierem. Trudno było nalać jeden maleńki łyczek z pięciogalonowego antałka. Każdy dostał po pół szklanki przejrzystego brązowego płynu. Czekali ceremonialnie na kapitana, po czym powiedzieli: — No, to pomyślności — i wychylili. Połknęli, mlasnęli, cmoknęli wargami i jakiś niezmierny wyraz pojawił się w ich oczach. Mack patrzył w swą próżną szklankę, jakby jakiś święty list był wypisany na jej dnie. A potem podniósł oczy. — Nie ma co — rzekł. — Takich rzeczy nie sprzedają w butelkach. — Zrobił głęboki wdech i

wydech, po czym powąchał wychodzące z ust powietrze. — Chyba w życiu nic lepszego nie próbowałem.

Wyglądało na to, że kapitan jest zadowolony. Jego spojrzenie padło znowu na antałek.

— Zupełnie dobre — powiedział. — Nie uważacie, że moglibyśmy jeszcze wypić po jednym maleńkim?

Mack wbijał oczy w swoją szklankę. — Może być, ale po bardzo maleńkim — zgodził się. — Czy nie byłoby lepiej odlać trochę do dzbanka? W ten sposób dużo się rozlewa.

W dwie godziny później przypomnieli sobie, po co przybyli.

Sadzawka była prostokątna — pięćdziesiąt stóp szeroka i siedemdziesiąt długa. Bujna soczysta trawa rosła na jej brzegu, wąski rów doprowadzał wodę z rzeki, a z sadzawki wąskie kanaliki biegły do sadów. Żaby były tu rzeczywiście — tysiące żab. Ich głosy rozrywały ciszę nocy — kumkały, pukały, rechotały i skrzeczały, śpiewały do gwiazd, do bladego księżyca, do falujących traw. Zawodziły miłosne pieśni i wyzwania bojowe. Ludzie przedzierali się przez ciemność ku sadzawce. Kapitan dźwigał prawie pełny dzbanek, a każdy z chłopaków miał własną szklankę. Kapitan znalazł dla nich niezepsutą latarkę. Hughie i Jones nieśli worki. Gdy podeszli dość blisko, żaby usłyszały ich kroki. Noc, rozbrzmiewająca dotychczas pieśnią żab, nagle stała się cicha. Mack i chłopaki, i kapitan usiedli na trawie, by wypić ostatni malutki łyżeczek i ułożyć plan kampanii. A plan był odważny.

Od tysiącleci żaby i ludzie żyją w tym samym świecie i jest prawdopodobne, że ludzie zawsze polowali na żaby. Przez ten czas rozwinął się pewien schemat natarcia i obrony. Człowiek z siatką, łukiem, oszczepem czy strzelbą skrada się, jak mu się zdaje, bezszelestnie, ku żabie. W myśl wszelkich prawideł żaba siedzi spokojnie, bardzo spokojnie i czeka. Zasady gry wymagają od żaby, by czekała aż do ostatniego ułamka sekundy. Dopiero gdy siatka spada, gdy oszczep leci w powietrzu, gdy palec naciska spust, wtedy żaba skacze, pluska w wodę, płynie do dna i czeka, aż człowiek odejdzie. W ten sposób dzieje się teraz i w ten sposób działo się dawniej. Żaby mają wszelkie prawo do wiary, że zawsze tak będzie. Niekiedy siatka spada za szybko, oszczep uderza, strzelba wypala i jakaś żaba jest stracona, ale wszystko odbywa się po rycersku i w myśl ogólnych prawideł. Żaby wcale temu nie przeczą. Ale skąd mogły przewidzieć nową metodę Macka? Jak mogły przeczuć grozę, jaka nastąpi? Nagły błysk światła, krzyki i ryki ludzi, odgłos kroków. Każda żaba skoczyła, plusnęła do wody i nerwowo płynęła do dna.

Wtedy do sadzawki weszła tyraliera ludzi tupiących, wzbijających falę, poruszających się w dziwacznej linii przez sadzawkę, wierzgających nogami. Ogarnięte histerią żaby uciekały ze swych przyjemnych kryjówek i wypływały przed wariacko wierzgające nogi, a nogi się zbliżały. Żaby są dobrymi pływaczkami, lecz brak im wytrwałości. Pędziły przez sadzawkę, póki wreszcie nie stłoczyły się na przeciwległym brzegu. A nogi ludzi z wielkim chlupotem zbliżały się do nich. Niektóre żaby straciły głowę, rzuciły się z powrotem w stronę tych nóg, wyminęły je i w ten sposób zostały ocalone. Ale większość zdecydowała się opuścić tę sadzawkę na zawsze, znaleźć nowy dom w nowej okolicy, gdzie tego rodzaju wypadki się nie zdarzają. Fala zdenerwowanych, oszalałych żab, dużych, małych, brązowych, zielonych, samców i samic, wyskoczyła na brzeg, czołgała się, miotała, wywijała koziółki. Żaby rzucały się po trawie, wpadały jedna na drugą, małe żaby jechały na dużych. A wtedy, o zgrozo, oblało je światło latarek. Dwaj ludzie zbierali je jak truskawki. Tyraliera wyszła z wody, odcięła im tyły i zgarniała je jak kartofle. Dziesiątki i setki wrzucano do worków i worki wypełniły się zmęczonymi, przerażonymi i pozbawionymi złudzeń żabami, ociekającymi wodą, kwilącymi z cicha. Niektóre oczywiście uciekły, a niektóre ocalały w sadzawce. Ale nigdy w historii żab nie spotkała ich taka klęska. Żaby na funty, na cetnary! Potem szczęśliwy Mack zawiązał worki. Wszyscy przemokli i ociekali wodą, a powietrze było chłodne. Zanim wrócili do domu, wypili na trawie jeden malutki łyczek, żeby się nie przeziębić.

Jest rzeczą wątpliwą, czy kapitan miał kiedykolwiek tyle uciechy w życiu. Był wprost zakochany w Macku i chłopcach. Potem, kiedy się zapaliły firanki, a ogień zduszono małymi ręcznikami, kapitan powiedział chłopakom, żeby się nie przejmowali. Powiedział, że byłoby dlań zaszczytem, gdyby spalili mu dom do szczętu, jeśli mają na to ochotę.

— Moja żona jest wspaniałą kobietą — oświadczył wygłaszając coś w rodzaju przemówienia. — Najwspanialsza kobieta, jaka może być. Powinna być mężczyzną. Gdyby była mężczyzną, to bym się z nią nie ożenił. — Śmiał isię z tego długo i powtórzył tę sentencję trzy czy cztery razy, postanawiając sobie dobrze ją zapamiętać, żeby powtórzyć ją wielu innym osobom. Nalał pełny gąsior whisky i dał Mackowi. Zaprzagnął zamieszkać razem z nimi w willi „Cichy Kącik”. Zdecydował, że jego żona polubiłaby Macka i chłopaków, gdyby ich tylko znała. Wreszcie usnął na podłodze z głową między szczeniakami. Mack i chłopaki wychylili jeszcze jeden maleńki i popatrzyli poważnie na śpiącego.

Mack powiedział: — On mi dał ten gąsior whisky, tak czy nie? Słyszeliście, co mówił?

— Oczywiście, że dał — potwierdził Eddie. — Ja słyszałem.

— I dał mi szczeniaka?

— Pewnie że dał. Wszyscy słyszeliśmy. A o co chodzi?

— Nigdy nie naciągałem pijanego i teraz nie mam zamiaru — oświadczył Mack. — Musimy się stąd wynosić. Jak się obudzi, będzie się czuł paskudnie i wszystko zwali na nas. Wolałbym wtedy tu nie być.

Mack rzucił okiem na spalone firanki, na podłogę pozalewaną whisky i psimi siuškami, na tłuszcz rozlany po kuchni. Podszedł do psiaków, obejrzał je dokładnie, pomacał kości, zajrzał w oczy, zbadał szczęki i wybrał pięknie nakrapianą suczkę, z nosem wątrobianego koloru i pięknymi ciemnożółtymi oczyma.

— Chodź, kochana — powiedział.

Zgasił lampę ze względu na niebezpieczeństwo pożaru. Robiło się już szaro, gdy opuszczali dom.

— Chyba jeszcze nigdy nie mieliśmy takiej przyjemnej wycieczki — rzekł Mack. — Ale jak sobie pomyślałem, że jego żona wróci, to zimno mi się zrobiło.

Piesek piszczał w jego ramionach, a on wsadził go pod marynarkę.

— To jest naprawdę przyjemny facet — zauważył Mack. — Tylko trzeba go trochę rozruszać.

Pomaszerował na miejsce, gdzie zaparkowali Forda.

— Nie możemy zapominać, że robimy to wszystko dla Doktora — dodał. — Z tego, jak się sprawy układają, wygląda na to, że nasz Doktor w czepku się urodził.

## *Rozdział 16*

Prawdopodobnie najbardziej pracowitym okresem dla dziewcząt spod Niedźwiedziej Plagi był marzec, kiedy odbywał się wielki połów sardynek. Nie tylko ryby płynęły srebrnymi miliardami, ale i pieniądze płynęły prawie równie łatwo. Nowy pułk sprowadził się do koszar, a żołnierze na nowym miejscu zawsze dużo się kręcą, póki się nie osiedlą na dobre. Do tego Dora cierpiała w tym czasie na brak personelu, ponieważ Ewa Flanagan pojechała do East St. Louis na urlop, Phylis Mae złamała nogę wysiadając ze statku w Santa Cruz, a Elsie Doublebottom odprawiała nowennę i nie bardzo się nadawała do czegokolwiek innego. Mężczyźni z floty rybackiej obładowani pieniędzmi wchodzili i wychodzili przez całe popołudnie. Wyptywali o zmierzchu i łowili przez całą noc, tak że musieli się bawić po południu. Wieczorem zjawiali się żołnierze z nowego pułku, grali na automacie i popijając Coca-Colę wybierali dziewczęta już na ten czas, kiedy dostaną żołd. Dora miała kłopoty z podatkiem dochodowym w myśl tych zagadkowych przepisów, które głosiły, że jej przedsiębiorstwo jest nielegalne, a następnie nakładały jej za to podatek. Ponadto byli jeszcze regułami czyli stali klienci — robotnicy z kopalni żwiru, jeźdźcy z rancz, kolejarze, którzy wchodzili przez drzwi frontowe, oraz urzędnicy miejscy i wybitni przemysłowcy, którzy wchodzili od tyłu i mieli specjalne saloniki dla nich przeznaczone.

To był okropny miesiąc i w samej jego połowie musiała jeszcze wybuchnąć epidemia grypy. Ogarnęła całe miasto. Pani Talbot i jej córka z hotelu San Carlos miały grypę. Tom Work miał grypę. Benjamin Peabody i jego żona mieli grypę. Excelentissima Maria Antonia Field miała grypę. Cała rodzina Grossów leżała chora.

Lekarze z Monterey — a było ich dosyć do kurowania zwykłych chorób, wypadków i neuroz — dostawali obłędu. Mieli więcej roboty, niż mogli wykonać przy tych pacjentach, którzy, jeśli nawet nie płacili rachunków, przynajmniej mieli pieniądze, żeby je płacić. Ulica Nadbrzeżna, która wydała twardszych ludzi niż reszta miasta, dość długo stawiała czoło grypie, ale w końcu i ona uległa. Szkoły zostały zamknięte. Nie było domu bez gorączkujących dzieci i chorych rodziców. Nie była to śmiertelna zaraza jak w roku 1917,

ale u dzieci miała tendencję do przechodzenia w zapalenie ucha. Profesja medyczna miała mnóstwo roboty, a poza tym ulica Nadbrzeżna niezbyt się opłacała finansowo.

Doktor z Zachodniego Laboratorium Biologicznego nie miał prawa do praktyki lekarskiej. Nie było jego winą, że każdy z Nadbrzeżnej przychodził do niego po poradę lekarską. Zanim się obejrzał, już biegał od jednej rudery do drugiej, mierzył temperaturę, dawał lekarstwa, pożyczał i dostarczał koce, a nawet roznosił jedzenie z domu do domu, podczas gdy matki patrzyły na niego ze swoich łóżek rozpalonymi oczami, dziękowały mu i składały nań całą odpowiedzialność za wyzdrowienie ich dzieci. Gdy jakiś przypadek przerastał jego siły, telefonował do miejscowych lekarzy, i czasami rzeczywiście któryś przychodził, jeśli sprawa wyglądała poważnie. Ale dla rodzin wszystko było poważne. Doktor nie spał wiele. Odżywiał się piwem i sardynkami w puszkach. U Lee Chonga, gdzie przyszedł raz po piwo, spotkał Dorę, która kupowała nożyczki do paznokci.

— Mizernie pan wygląda — powiedziała Dora.

— Jestem wykończony — przyznał się Doktor. — Prawie cały tydzień nie spałem.

— Wiem — rzekła Dora. — Słyszałam, że jest źle. I w złym czasie to wypadło.

— Dotychczas jeszcze nikogo nie straciliśmy — powiedział Doktor. — Ale niektóre dzieci są strasznie chore. Wszystkie dzieciaki Ransela mają zapalenie ucha środkowego.

— Może mogłabym coś pomóc? — spytała Dora.

— Na pewno by pani mogła — rzekł Doktor. — Ludzie są tacy wystraszeni i boją się, że zostali sami. Byłoby dobrze, gdyby pani albo która z pani dziewcząt mogła choćby przy nich posiedzieć.

Dora, która miała serce miękkie jak wosk, potrafiła niekiedy być twarda jak karborundum. Poszła pod Niedźwiedzią Flagę i zorganizowała pomoc. Czas był ciężki, ale postawiła na swoim. Grecki kucharz gotował co dzień dziesięciogarnkowy kocioł zawieszistej zupy. Dziewczyny kontynuowały nadal swe zajęcia, ale wychodziły na zmianę, by posiedzieć z chorymi, i przynosiły ze sobą garnki zupy. Wszyscy domagali się Doktora. Dora konsultowała się z nim i przekazywała dziewczynom jego wskazówki. A przez cały czas zakład pod Niedźwiedzią Flagą szedł pełną parą. Automat muzyczny nigdy nie przestawał grać. Rybacy i żołnierze stali w kolejce. Dziewczyny wykonywały swą pracę, a potem brały garnki z zupą i szły posiedzieć do Ranselów, do rodziny McCarthy'ego, do Ferria'ow. Dziewczyny wymykały się tylnymi drzwiami i niekiedy Biedząc przy śpiących dzieciach zasypiały na krześle. Nie szminkowały się już więcej do pracy. Zresztą nawet nie potrzebowały tego. Sama Dora mówiła, że mogłaby zatrudnić u siebie wszystkie staruszki

ze schroniska. Był to najbardziej pracowity okres ze wszystkich, jakie dziewczęta spod Niedźwiedziej Flagi pamiętały. Każdy się cieszył, kiedy się to wreszcie skończyło.

## *Rozdział 17*

Mimo swej towarzyskości i licznych przyjaciół Doktor był samotnym i zamkniętym w sobie człowiekiem. Mack dostrzegał to chyba jaśniej niż ktokolwiek inny. Gdy paliło się światło, a zasłony były zaciągnięte i wielki fonograf wygrywał gregoriańską muzykę, Mack zwykle spoglądał z willi „Cichy Kącik” w stronę laboratorium. Wiedział, że Doktor ma dziewczynę, ale Mackowi zdawało się, że nawet wtedy nie opuszcza go dręczące uczucie samotności. Mack czuł, że Doktor jest samotny nawet w drogim, bliskim kontakcie z dziewczyną. Doktor był nocnym Markiem. Przez całą noc paliły się światła w laboratorium, a wyglądało na to, że i w dzień również nie sypia. Niekiedy, gdy było ciemno i zdawało się, że wreszcie zmorzył go sen, z okien laboratorium niespodzianie dolatywały krystalicznie czyste dziecięce głosy Chóru Kaplicy Sykstyńskiej.

Doktor musiał uzupełniać stale swoje zbiory. Usiłował nie ominąć żadnego z właściwych przyptywów na wybrzeżu. Morskie skały i plaże stanowiły jego kapitał. Gdy czegokolwiek potrzebował, wiedział zawsze, gdzie może to znaleźć. Wszystkie swoje towary zbierał na brzegu — kraby tu, ośmiornice tam, strunowce w innym miejscu, algi w jeszcze innym. Wiedział, gdzie je znaleźć, ale nie zawsze mógł je mieć wtedy, kiedy chciał. Bowiem natura zamyka swoje klejnoty i pokazuje je tylko przy niektórych okazjach. Doktor musiał nie tylko znać czas odpływów, ale też wiedzieć, na co poszczególne odpływy był dobry w danym miejscu. Gdy taki odpływ się zdarzał, Doktor pakował swoje przyrządy do samochodu, wszystkie kubły, stoje, zlewki i probówki, i jechał na tę plażę, rafę czy skałę, gdzie żyły potrzebne mu stworzenia. Teraz miał zamówienie na młode ośmiornice, a najbliższym miejscem, gdzie mógł je zdobyć, była pokryta otoczkami strefa międzyprzyptywowa pod La Jolla, między Los Angeles i San Diego. Oznaczało to pięćsetmilową podróż w jedną stronę, a jego przybycie na miejsce musiało się zejść w czasie z ustąpieniem wód.

Ośmiorniczki mieszkają wśród otoczków zagrzebane w piasku. Ponieważ są bojaźliwe i młode, wybierają dno, w którym jest wiele zagłębień, małych pęknięć i pokładów mułu, gdzie mogą ukrywać się przed nieprzyjaciółmi i jednocześnie chronić się



przed falami. A na tym samym miejscu żyją miliony ukwiałów. Wypełniając zamówienie na ośmiornicę, Doktor mógł jednocześnie uzupełnić swój zapas ukwiałów. Odpływ osiągał najniższy poziom w czwartek o godzinie piątej siedemnaście rano. Gdyby Doktor wyjechał z Monterey w środę rano, mógłby łatwo zdążyć na czas. Chętnie wzięłby kogoś do towarzystwa, ale przypadkowo wszyscy albo wyjechali, albo byli zajęci. Mack i chłopaki udali się do Doliny Carmelu na połów żab. Trzy młode kobiety, które znał i które chętnie wzięłby do towarzystwa, chodziły do pracy i nie mogły wyjechać w środku tygodnia. Malarz Henri był zajęty, ponieważ dom towarowy Holmana wynajął człowieka nie do siedzenia na słupie, ale do ślizgania się na słupie. Na wysokim maszcie nad dachem sklepu była mała platforma i tam bez przerwy zataczał on koła na łyżwach przez trzy dni i trzy noce. Chciał pobić rekord wytrzymałości. Poprzedni rekord wynosił sto dwadzieścia siedem godzin, a więc pobicie go musiało zająć trochę czasu. Henri ulokował się na punkcie obserwacyjnym po drugiej stronie ulicy, przy stacji benzynowej Rudego Williamsa. Henri był zafascynowany. Myślał o namalowaniu olbrzymiego abstrakcyjnego płótna pod tytułem: „Podniebny Sen Łyżwiarza na Słupie”. Henri nie mógł opuścić miasta, póki łyżwiarz był na górze. Twierdził, że można wyprowadzić głębokie filozoficzne wnioski z łyżwiarstwa na słupie, które dotychczas nikomu nie przyszły na myśl. Henri siedział na krześle opartym o kratę, która skrywała drzwi do męskiego ustępu przy stacji benzynowej. Oczy miał utkwione w platformie i oczywiście nie mógł pojechać z Doktorem do La Jolla. Doktor musiał pojechać sam, ponieważ odpływ nie czekał.

Wczesnym rankiem spakował swe rzeczy. Rzeczy osobiste włożył do małego nesesera. Drugi neseser zawierał instrumenty i strzykawki. Spakowawszy się uczesał i przystrzygł swą brązową bródkę, sprawdził, czy ma ołówki w kieszeni na piersiach i szkło powiększające przyczepione do ikłapy. Do bagażnika wozu zapakował zlewki, słoiki, płytki szklane, próbówki, gumowe buty i koc. Pracował w szarówce, umył statki z trzech dni, wyrzucił śmieci do morza. Zamknął drzwi, nie przekręcając jednak klucza, i o dziewiątej był już w drodze.

Dotarcie na miejsce zajmowało Doktorowi więcej czasu niż innym ludziom. Nie jeździł prędko i bardzo często zatrzymywał się i jadł parówki. Przejeżdżając koło latarni morskiej, pokiwał ręką spotkanemu psu, który spojrzał i uśmiechnął się do niego. W Monterey, jeszcze zanim wyjechał na szosę, poczuł głód i wpadł do Hermana na parówki i piwo. Gdy jadł kanapkę i ciągnął piwo, przypomniała mu się pewna rozmowa. Poeta Blaisedell powiedział kiedyś do niego: „Za bardzo lubisz piwo. Mógłbym się założyć, że któregoś dnia wejdiesz do restauracji i zamówisz piwo z mlekiem”. To był żart, ale ten

żart od dawna dręczył Doktora. Zastanawiał się, jak też piwo z mlekiem może smakować. Śmieszyła go ta myśl, ale jakoś nie mógł się od niej wyzwolić. Zawsze mu to przychodziło do głowy, ilekroć pił kufel piwa. Czy mleko się skwasi? Czy trzeba by dodać cukru? To zupełnie tak, jakby ktoś jadł lody z krewetkami. Ale jak coś wejdzie do głowy, to nie może wyjść. Skończył swą kanapkę i zapłacił Hermanowi. Celowo nie spojrzał na wirówki do mleka błyszczące przy tylnej ścianie. Jeśli człowiek zamawia piwo z mlekiem, myślał Doktor, powinien raczej udać się do miasta, gdzie go nie znają. Ale znów człowiek z brodą, zamawiający piwo z mlekiem w mieście, gdzie go nie znają... mogą zawołać policję. Mężczyzna z brodą jest zawsze trochę podejrzany. Ludzie nie lubią, gdy mówić im prawdę. Trzeba powiedzieć, że ma się bliznę i dlatego nie można się ogolić. Niegdyś, gdy Doktor był na Uniwersytecie w Chicago, przeżył zawód miłosny i pracował zbyt ciężko. Przyszło mu do głowy, że byłoby dobrze wyruszyć na daleką pieszą wędrówkę. Wziął mały plecak i powędrował przez Indianę i Kentucky, Północną Karolinę i Georgię prosto na Florydę. Odwiedzał farmerów i górali, mieszkańców bagien i rybaków. I każdy go pytał, dlaczego podróżuje pieszo.

Ponieważ zawsze lubił mówić prawdę, usiłował to wytłumaczyć. Opowiadał, że jest wyczerpany nerwowo, a poza tym pragnie zobaczyć wieś, czuć zapach ziemi, widzieć trawę, ptaki i kwiaty, chce posmakować wsi — a tego nie można załatwić inaczej, jak wędrując na piechotę. A ludzie nie lubili go za to, że mówił prawdę. Chmurzyli się, kręcili głowami, pukali się w czoło, śmieli się, jakby podziwiali, że ktoś może tak bezczelnie kłamać. A czasami ktoś bojąc się o swoje córki albo o swoje świnie, mówił Doktorowi, żeby się wynosił, żeby szedł jak najdalej i nie zatrzymywał się w pobliżu, jeśli ceni swoją skórę.

I wtedy przestał mówić prawdę. Opowiadał, że zrobił zakład o trzysta dolarów. Każdy go wtedy lubił i wierzył mu. Zapraszano go na obiady, ofiarowywano noclegi, urządzano dla niego przyjęcia i każdy życzył mu szczęścia i mówił o nim; że to diabelnie miły chłopak. Doktor w dalszym ciągu kochał prawdę, ale wiedział, że nie jest to powszechne uczucie i może być bardzo niebezpieczne.

Doktor nie zatrzymał się w Salinas na parówki. Ale stawał w Gonzales, w King City i w Paso Robles. Konsumował parówki i piwo w Santa Maria — dwa razy w Santa Maria, ponieważ do Santa Barbara był stąd kawał drogi. W Santa Barbara zjadł zupę, sałatkę z fasoli z pietruszką, pieczeń z kartoflami, tort ananasowy, ser i kawę, a potem poszedł do toalety. Gdy na stacji benzynowej uzupełniano mu zapas oliwy i pompowano koła, Doktor umył twarz i uczesał bródkę, a gdy wyszedł do wozu, czekało już kilka potencjalnych łebków.

— Jedzie pan na południe?

Doktor dużo jeździł po autostradach. Miał niezgorszą praktykę. Swoich łebków należy wybierać bardzo ostrożnie. Najlepiej jechać z doświadczonym łebkiem, bo ten siedzi i nic nie mówi. Ale nowicjusze usiłują wywdzięczyć się za podwiezienie i pokazać, że są interesującymi ludźmi. Niektórzy zanudzali Doktora na śmierć. Dlatego, jak się już zdecydujemy kogoś zabrać, trzeba się zabezpieczyć mówiąc, że jedzie się niedaleko. Gdy pasażer jest nieznośny, można po drodze wysadzić. Z drugiej strony, jadący może mieć szczęście i spotkać człowieka, z którym znajomość bardzo się opłaca. Doktor rzucił okiem na ogonek kandydatów i wybrał sobie do towarzystwa ubranego w granatowy garnitur mężczyznę o wąskiej twarzy, wyglądającego na kupca. Miał głębokie zmarszczki koło ust i ciemne myślące oczy.

Patrzył na Doktora z niechęcią.

— Jedzie pan na południe?

— Tak — odparł Doktor. — Kawaleczek.

— Mógłbym się zabrać?

— Niech pan wsiada — rzekł Doktor.

Gdy przyjechali do Ventury, Doktorowi zachciało się pić po obfitym obiedzie. Łebek dotychczas nawet się nie odezwał. Doktor stanął przy kiosku.

— Napije się pan piwa?

— Nie — odpowiedział łebek. — I pozwolę sobie zwrócić pana uwagę, że to bardzo kiepski pomysł — jechać w stanie oszołomienia alkoholem. Co pan robi ze swoim własnym życiem, to mnie nie obchodzi, ale w danym wypadku ma pan samochód, a samochód może być morderczą bronią w ręku pijanego kierowcy.

Z początku Doktor był lekko poruszony.

— Wyjdź pan z wozu — powiedział miękko.

— Co?

— Zrobię panu z nosa marmoladę — oświadczył Doktor — jeśli pan nie wysiądzie, zanim doliczę do dziesięciu. Raz... dwa... trzy...

Pasażer nacisnął klamkę i błyskawicznie wyniósł się z samochodu. Ale będąc na zewnątrz, wrzasnął:

— Idę po policjanta. Aresztuję pana!

Doktor sięgnął do skrzynki i wyjął francuski klucz. Jego gość ujrzał ten gest i szybko się oddalił.

Doktor podszedł gniewnie do kontuaru kiosku.

Kelnerka, jasnowłosa piękność z lekko zaznaczającym się wolem, uśmiechnęła się do niego.

— Co mam podać?

— Piwo z mlekiem.

— Co?

No i powiedział wreszcie, i cóż, u diabła. Wszystko jedno — teraz czy kiedy indziej.

Blondynka spytała:

— Czy pan żartuje?

Doktor pomyślał ze zmęczeniem, że nie może powiedzieć prawdy, nie może wytłumaczyć.

— Choruję na pęcherz — wyjaśnił. — Doktorzy nazywają to bipalychaetorsonectomia. Muszę pić piwo z mlekiem. Zalecenie lekarza.

Blondynka uśmiechnęła się z zaufaniem.

— Och, myślałam, że pan żartuje — powiedziała po prostu. — Niech mi pan powie, jak to przyrządzić. Nie wiedziałam, że pan jest chory.

— Bardzo chory — potwierdził Doktor. — I czuję się coraz gorzej. Niech pani wleje troszkę mleka i pół butelki piwa. Drugą połówkę proszę mi podać w oddzielnej szklance. Nie dodawać cukru.

Gdy mu podała, skosztował ostrożnie. Nie było takie złe — smakowało po prostu jak zwietrzałe piwo i mleko.

— To wydaje się okropne — zauważyła blondynka.

— To wcale nie jest najgorsze, jak się człowiek przyzwyczai — odparł Doktor. — Piję to od siedemnastu lat.

## *Rozdział 18*

Doktor jechał wolno. Było późne popołudnie, gdy zatrzymał się w Ventura, już tak późno, że gdy zatrzymał się w Carpenteria, zjadł tylko kanapkę z serem i poszedł do toalety. Zamierzał podjeść sobie solidnie w Los Angeles. Zapadła już noc, gdy tam dotarł. Zjechał z autostrady i zatrzymał się w pewnej restauracji, którą znał. Zjadł tu smażone kurczę, frytki, gorące biszkopty z miodem, kawałek tortu ananasowego i sera. Napełnił termos gorącą kawą, kazał sobie zapakować sześć kanapek i kupił dwie kwarty piwa na śniadanie.

Jazda nocą nie była interesująca. Nic nie było widać, poza autostradą oświetloną reflektorami auta. Doktor dodał gazu, żeby przyspieszyć podróż. Koło drugiej dotarł do La Jolla. Przejechał przez miasto do urwiska, pod którym leżał teren jego połowów. Zatrzymał wóz, zjadł kanapkę, zgasił światła i skurczył się na siedzeniu, żeby się przespać.

Nie potrzebował zegarka. Pracował już tyle czasu według odpływów, że wyczuwał je we śnie. Obudził się o szarówece, spojrzął przez szybę i zobaczył, że woda ustępuje właśnie z pokrytej otoczkami płaszczyny. Wypił trochę gorącej kawy, zjadł trzy kanapki i popił to wszystko kwartą piwa.

Odpływ odbywa się prawie niedostrzegalnie. Ukazują się otoczaki i wydają się rosnać w oczach, a ocean ustępuje zostawiając małe kałuże, mokre wodorosty, morszczyń i gąbki tęczowe, brązowe, niebieskie i szkarłatne. Na dnie pozostaje niewiarygodna obfitość morskiego życia, popękane i połamane muszle, kawałki kości — całe dno morskie jest fantastycznym cmentarzem, po którym biegają i pełzają żyjące istoty.

Doktor wciągnął gumowe buty i nałożył kaptur nieprzemakalny. Wyjął wiadra i dzbany oraz żelazny drążek, do jednej kieszeni wsadził kanapki, do drugiej termos i zszedł z urwiska na plażę. Posuwał się za ustępującym morzem. Żelaznym drążkiem odwracał kamienie, a od czasu do czasu jego ręka zanurzała się szybko w stojącej wodzie i wyciągała malutką, gniewnie wijącą się ośmiornicę, która czerwieniła z wściekłości i pluła

sepią. Wrzucał ją do dzbanka z morską wodą, gdzie znajdowały się już inne ośmiornice. Zazwyczaj nowoprzybyła była talk wściekła, że atakowała swe towarzyski.

Polowanie szło świetnie, złapał dwadzieścia dwie małe ośmiornice. Ponadto zebrał kilkaset ukwiałów i włożył je do drewnianego wiadra. Ocean cofał się coraz dalej, a on szedł za nim. Wstał ranek i rozbłysło słońce. Opuszczone przez wodę dno miało ze dwieście jardów szerokości, a linia gęsto porośłych wodorostami sikał odgradzała je od głębokiej wody. Doktor szedł do tej krawędzi. Miał już prawie wszystko, czego potrzebował, i przez resztę czasu zaglądał pod kamienie, pochylał się i wpatrywał w małe rozlewiska mieniące się wszelkimi barwami tęczy i wrzące morskim życiem. Wreszcie zbliżył się do samej bariery skalnej, gdzie długie, skórzaste, brązowe algi zanurzały się w wodzie. Czerwone rozgwieżdżone czepiały się skał, a morze pulsowało przy tej ścianie, czekając, aż będzie mogło znowu ją przeskoczyć. Między dwiema porośniętymi morskoczynami skałami błysnęło coś białego pod wodą, ale natychmiast zakrył je pływający morskoczyn. Przez oślizłe sikały Doktor dostał się do tego miejsca i trzymając się mocno sięgnął i odsunął brązowy welon morskoczynu. Zdrętwiał. Patrzą na niego twarz dziewczyny. Była to piękna blada dziewczyna z ciemnymi włosami. Oazy miała otwarte i jasne, jej twarz była świeża, a włosy uczesane gładko. Ciało nie widział, ponieważ zaplatało się w wodorostach. Rozchyliła lekko wargi ukazując zęby, na jej twarzy widniało tylko zadowolenie i spokój. Była tuż pod powierzchnią, a leżąc tak w czystej wodzie wyglądała pięknie. Doktorowi wydawało się, że patrzył przez kilka minut. Twarz ta wryła mu się głęboko w pamięć.

Bardzo powoli wyciągnął rękę i puścił brązowy morskoczyn, by zakryć twarz. Serce łomotało mu i czuł ściskanie w gardle. Wziął wiadro, dzbanki i drążek, po czym poszedł z wolna przez śliskie skały ku plaży.

Przez cały czas miał przed oczyma twarz dziewczyny. Usiadł na grubym suchym piasku i ściągnął buty. W dzbankach pokurczyły się ośmiorniczki starając się trzymać możliwie jak najdalej jedna od drugiej. W uszach Doktora brzmiała muzyka — wysoki, przenikliwy, słodki ton fletu wygrywającego melodię, jakiej nigdy nie słyszał, przy akompaniamencie grzmiejącej, podobnej do huku przyboju, perkusji. Flet wyciągał coraz wyższe tony, niedostępne dla ucha, ale nawet wtedy rozbrzmiewała niewiarygodna melodia. Doktorowi wystąpiła gęsia skóra na rękach. Zadrżał i ręce mu zwilgotniały jak zwykle wobec czaru wielkiego piękna. Oczy dziewczyny były szare i jasne, a ciemne włosy unosiły się na wodzie, przesuając się lekko nad twarzą. Ten obraz zostanie mu w pamięci do końca życia. Siedział, aż pierwszy strumyk wody wytrysnął nad rafę,

prowadząc za sobą powracający przyływ. Siedział słuchając muzyki, zaś morze znowu się wlewało na pokrytą otoczkami płaszczyznę. Ręką wystukiwał rytm, a zatrważający flet dźwięczał mu w głowie. Oczy były szare, a usta uśmiechały się lekko lub może chwytały oddech w zachwyceniu.

Wydawało mu się, że budzi go jakiś głos. Stał przy nim obcy mężczyzna.

— Łowi pan ryby?

— Nie, zbieram morską faunę.

— A to co za licho?

— Młode ośmiornice.

— Aha, pan mówi o diabelskich rybach? Nie wiedziałem, że tutaj są. A mieszkam tu od urodzenia.

— Bo ich pan nie szukał — powiedział Doktor bez tchu.

— Ej — rzekł mężczyzna — czy panu słabo? Wygląda pan na chorego.

Flet wygrywał coraz wyższe tony z towarzyszeniem wiolonczeli. A morze pełzło coraz dalej na plażę. Doktor otrząsnął się z tej muzyki, przetarł twarz, pozbył się dreszczu.

— Ozy jest tu gdzieś blisko komisariat policji?

— W mieście. Coś się stało?

— Tam jest ciało przy rafie.

— Gdzie?

— Tam prosto... między dwiema skałami. Dziewczyna.

— Wie pan — rzekł mężczyzna — dostanie pan nagrodę za znalezienie.

Zapomniałem ile.

Doktor wstał i zebrał swój ekwipunek.

— Zechce pan zawiadomić policję? Źle się czuję.

— Wzięło pana? Tak strasznie wygląda? Zgniła czy poszarpana?

Doktor odwrócił się. — Pan weźmie nagrodę — powiedział. — Ja nie chcę.

Ruszył ku swemu samochodowi. Tylko prawie niedosłyszalne pogwizdywanie fletu brzmiało w jego głowie.

## *Rozdział 19*

Chyba żadna z kampanii reklamowych domu towarowego Holmana nie wzbudziła tyle przyjaznych komentarzy, co zaangażowanie łyżwiarza na słupie. Dzień po dniu był tam wysoko na małej okrągłej platformie ślizgając się w kółko, a w mocy widniał tam ma tle nieba, więc każdy widział, że nie zszedł na dół. Jednak wszyscy na ogół się zgadzali, że na środku platformy w mocy podnoszą stalowy słupek, a on się do niego przywiązuje. Ludzie przyjeżdżali z Jamesburga i różnych miejscowości na wybrzeżu, niekiedy tak odległych jak Grimes Point. Ludzie z Salinas przybywali tu całymi stadami, a „Tygodnik Farmerski” tego miasta miał się ukazać w specjalnym wydaniu, gdyby łyżwiarzowi udało się pobić własny rekord i w ten sposób ozdobić nowym światowym rekordem miasto Salinas. Ponieważ na świecie nie ma wielu łyżwiarzy na słupie i ponieważ wymieniony ogromnie górował nad wszystkimi innymi, było niemal pewne, że pobije rekord.

Firma Holmana rozkoszowała się istniejącą sytuacją. Zorganizowano wyprzedaż bielizny pościelowej, wyprzedaż remanentową, wyprzedaż naczyń kuchennych i wyprzedaż porcelany — wszystko to na raz. Tłumy ludzi stały na ulicach obserwując samotną sylwetkę na platformie.

Już drugiego dnia łyżwiarz podał na dół zażalenie, że ktoś do niego strzelał. Wydział reklamy wziął się do roboty. Przeprowadzono śledztwo i wykryto przestępcę. Był to stary doktor Merrivale ukryty za firankami swego gabinetu. On to celował w łyżwiarza z wiatrówki. Nie złożono meldunku w policji, a on obiecał, że już się to więcej nie powtórzy. Zajmował bardzo wysokie stanowisko w loży masońskiej.

Malarz Henri siedział na krześle przy stacji benzynowej Rudego Williamsa. Rozważał wszelkie możliwości filozoficznego wykorzystania wydarzeń i doszedł do wniosku, że powinien zbudować u siebie odpowiednią platformę i popróbować samemu. łyżwiarz przyciągał w mniejszym lub większym stopniu wszystkich ludzi w mieście. Tam, gdzie go nie było widać, handel zamierał, a ożywiał się, im bliżej się podchodziło do Holmana. Mack i chłopaki przyszli, popatrzyli i wrócili do swej willi. Nie mogli w tym dostrzec wiele sensu.



W oknie wystawowym Holmana umieszczono podwójne łóżko. Gdyby łyżwiarz pobił rekord świata, miał zejść na dół i spać na wystawie nie zdejmując łyżew. Manka materaców była umieszczana na małej kartce przy łóżku.

W całym mieście odbywały się dyskusje nad tym sportowym wydarzeniem, ale nigdy nie wypowiedziano najbardziej interesującej kwestii, która dręczyła całe miasto. Nikt jej nawet nie wspomniał, a jednak każdy o niej myślał. Pani Trolat zastanawiała się nad tym, gdy wychodziła ze szkockiej piekarni z torbą słodkich drożdżówek. Pan Hall też rozmyślał nad tym zagadnieniem. Trzy córki Willoughby chichotały, ile razy im to przyszło do głowy. Lecz nikt nie miał odwagi postawić kwestii otwarcie.

Richard Frost, dzielny młody mężczyzna, martwił się całą sprawą bardziej niż ktokolwiek inny. Po prostu chodziło to za nim. W środę w nocy rozmyślał, a w czwartek zaczął się denerwować. W piątek wieczorem upił się i pokłócił z żoną. Trochę popłakała, a potem udawała, że śpi. Słyszała, jak mąż po cichu wstaje z łóżka i wychodzi do kuchni. Znowu wypił szklaneczkę, a potem ubrał się szybko i wyszedł. Wtedy jeszcze więcej płakała. Było bardzo późno. Pani Frost miała pewność, że mąż poszedł pod Niedźwiedzią Flagę do Dory.

Richard wędrował uparcie pod górę, póki nie wszedł w Aleję Morskiej Latarni. Skręcił w lewo i maszerował w stronę domu towarowego. W kieszeni miał butelkę i gdy tylko stanął przed sklepem, pociągnął z niej jeszcze jeden łyk. Światła uliczne były przygaszone, w mieście panowała cisza. Ani żywego ducha. Richard stał na środku jezdni i patrzył w górę. Na szczycie wysokiego masztu niewyraźnie majaczyła mu samotna sylwetka łyżwiarza. Znowu pociągnął łyk z butelki. Złożył dłonie przy ustach i zawołał nieśmiało: — Hej! — Nie było odpowiedzi. — Hej! — zawołał głośniejszym głosem i obejrzał się, czy nie idzie policjant.

Spod nieba rozległ się zgryźliwy głos: — Czego pan chce?

Richard znowu złożył dłonie przy ustach: — Jak... jak pan chodzi... do ustępu?

— Mam tutaj blaszankę — odpowiedział głos. Richard zawrócił i poszedł tą samą drogą,

którą przybył. Minął latarnię, przeszedł koło sosen i wszedł do swego domu. Gdy się rozebrał, poznał, że jego żona nie śpi. Zawsze troszeczkę sapała we śnie. Wszedł do łóżka, a ona zrobiła mu miejsce.

— On ma tam blaszankę — powiedział Richard.

## Rozdział 20

Rankiem model T wjechał triumfalnie na Nadbrzeżną, podskoczył na rysztoke, zazgrzytał wśród zielska na pustym placu i wtoczył na dziedziniec sklepu Lee Chonga. Chłopaki podłożyli deskę pod przednie koła, spuścili resztę benzyny do pięciogalonowej blaszanki, wzięli żaby i zmęczonym krokiem poszli do willi „Cichy Kącik”. Potem Mack złożył ceremonialną wizytę Lee Chongowi, a chłopaki rozpalili ogień w piecu. Mack z godnością podziękował Lee za wypożyczenie ciężarówki. Mówił o wielkim sukcesie wyprawy, o setkach złapanych żab. Lee uśmiechał się nieśmiało i czekał na nieuniknione.

— Teraz będziemy mieli monety! — mówił Mack z entuzjazmem. — Doktor płaci piątkę za żabę, a złapaliśmy ich koło tysiąca.

Lee skinął głową. Cena była stała. Każdy o tym wiedział.

— Doktor wyjechał — ciągnął dalej Mack. — Jezu, ale będzie się cieszył, jak zobaczy te wszystkie żaby!

Lee znowu skinął głową. Wiedział, że Doktor wyjechał, i wiedział również, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

— Przy okazji... — powiedział Mack, jakby dopiero teraz to sobie przypomniał. — Na razie trochę brak nam gotówki...

Powiedział to tak, jakby tego rodzaju sytuacja była zupełnie wyjątkowa.

— Nie ma whisky — odparł Lee Chong i uśmiechnął się.

Mack się oburzył: — A na co nam whisky? Mamy garniec takiej whisky, jakiej w życiu nie próbowałeś. Cały, cholera, pełniutki garniec. Przy okazji — ciągnął dalej — chcieliśmy bardzo, żebyś do nas wpadł i wypił z nami jednego. Chłopaki prosili mnie, żebym ci to powiedział.

Wbrew samemu sobie Lee uśmiechnął się z przyjemnością. Nie proponowałiby mu, gdyby nie mieli whisky.

— Nie — kontynuował Mack. — Nie o to chodzi. Ja i chłopaki nie mamy teraz forsy, a jesteśmy porządnie głodni. Wiesz, że dwadzieścia żab kosztuje dolara. Doktora nie ma,

a nam się chce jeść. Więc pomyśleliśmy sobie tak: nie chcemy, żebyś stracił, więc odstąpimy ci dwadzieścia pięć żab za dolara. Będziesz miał pięć żab zysku i w porządku.

— Nie — powiedział Lee. — Żadne pieniądze.

— No, u diabła, Lee, my potrzebujemy tylko coś do jedzenia. Coś ci powiem — chcemy urządzić przyjęcie dla Doktora, kiedy wróci. Do picia mamy mnóstwo, ale chcielibyśmy dostać może z parę kotletów i w ogóle. On jest taki równy chłopak. Do diabła, kiedy twoją żonę bolał ząb, to kto jej dał laudanum?

To zrobiło wrażenie. Lee rzeczywiście miał długi wdzięczności wobec Doktora, bardzo poważne długi. Jednego tylko Lee nie mógł zrozumieć: w jaki sposób jego dług wdzięczności wobec Doktora ma wpływać na udzielenie kredytu Mackowi.

— Nie chcemy niczego w rodzaju pożyczki hipotecznej na żaby — ciągnął dalej Mack. — Natychmiast dostarczymy na miejsce dwadzieścia pięć żab za każdego dolara towaru, jaki nam sprzedasz, i możesz również przyjść na nasze przyjęcie.

Lee obwąchiwał w duszy tę propozycję, jak mysz obwąchuje kawałek sera. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Cała transakcja była najzupełniej legalna. Żaby stanowiły gotówkę, przynajmniej jeśli chodzi o Doktora; cena była stała, a Lee miał podwójny zysk. Zyskiwał dodatkowo pięć żab, a oprócz tego zarabiał na towarze. Cała sprawa zależała od tego, czy oni rzeczywiście mają żaby.

— Idzie zobaczy żaba — oświadczył w końcu Lee.

Przed drzwiami willi wypił szklaneczkę whisky, obejrzał mokre worki z żabami i zgodził się na transakcję. Zastrzegł się jednak, że nie będzie brał zdechłych żab. Natychmiast Mack odliczył do blaszanki pięćdziesiąt żab i wrócił z Lee Chongiem do sklepu, gdzie otrzymał szynkę, jaja i chleb wartości dwóch dolarów.

Lee przewidując wzmożony ruch w interesie przyniósł wielką skrzynię i ustawił ją w dziale warzyw. Wpuścił do niej pięćdziesiąt żab i przykrył je mokrym workiem, żeby były szczęśliwe.

I rzeczywiście zaczął się ruch w interesie. Przybiegł Eddie i kupił tytoniu za dwie żaby. Nieco później Jones oburzał się, gdy cena Coca-Coli podskoczyła z jednej na dwie żaby. W ciągu dnia wzrastało rozgoryczenie wraz z cenami. Kotlety schabowe na przykład — najlepsze kotlety schabowe nie powinny kosztować więcej niż dziesięć żab za funt, ale Lee ustalił cenę na dwanaście i pół żaby. Brzoskwinie w puszkach osiągnęły zawrotną cenę — osiem żab za puszkę numer dwa, Lee zdierał skórę z konsumentów. Był dość pewny, że ani bazar, ani Holman nie przyjmą nowego systemu monetarnego. Jeśli chłopcy chcieli kotletów, musieli płacić ceny Lee Chonga. Nastrój zrobił się bardzo gorący, gdy

Magda, który od dawna marzył o parze żółtych jedwabnych zarękawków, dowiedział się, że jeśli nie chce dać za nie trzydziestu pięciu żab, to „może iść gdzie indziej. Trucizna chciwości przeżerała coraz bardziej niewinne i chwalebne porozumienie handlowe. Wzrastało rozgoryczenie. Ale w skrzyni Lee Chonga wzrastała również ilość żab.

Rozgoryczenie finansowe nie mogło jednak poruszyć zbyt głęboko Macka i chłopaków, ponieważ nie należeli oni do ludzi interesu. Nie mierzyli swej przyjemności w sprzedanych dobrach, a swego ego w bilansach bankowych ani swych namiętności tym, co one kosztują. Jeśli się nawet nieco irytowali, że Lee wciągnął ich w chaos ekonomicznych problemów, w żołądku mieli szynkę i jaja wartości dwóch dolarów na podkładzie solidnego łyku whisky, a na tym śniadaniu spoczywał znowu kolejny łyk whisky. Siedzieli więc na krzesłach w swoim domu i patrzyli, jak Luba uczy się pić skondensowane mleko z puszki po sardynkach. Luba była i miała być nadal bardzo szczęśliwym psem, ponieważ w grupie pięciu mężczyzn istniało pięć różnych teorii tresury psów, teorii tak bardzo różnych, że Luba w końcu w ogóle nie otrzymała tresury. Od początku była bardzo wyrachowaną suczką. Spała na łóżku tego mężczyzny, który ostatni dał jej łapówkę. Niekiedy naprawdę dla niej kradli. Byli o nią zazdrośni. Od czasu do czasu, jak ich było pięciu, zgadzali się, że Lubę trzeba nauczyć dyscypliny, ale w dyskusji o metodzie ten zamiar niezmiennie się rozpląwał. Byli w niej zakochani. Zachwycali się nawet małymi kałużami, jakie zostawiała na podłodze. Zanudzali wszystkich swoich znajomych opowiadaniem o jej mądrości i niewątpliwie zdechłaby z przejedzenia, gdyby nie miała więcej rozumu niż oni.

Jones zrobił jej postanie na dzień starego zegara, ale nigdy z niego nie korzystała. Spała z tym albo innym chłopakiem, jak jej przyszła fantazja. Gryzła wszystkie koce, darła materace, wypuszczała pierze z poduszek. Kokietowała i wygrywała swych właścicieli jednego przeciwko drugiemu. Uważali, że jest cudowna. Mack zamierzał nauczyć ją sztuczek i występować z nią publicznie, ale nie nauczył jej nawet porządku.

Było popołudnie. Siedzieli pałac, trawiąc, rozważając i od czasu do czasu pociągając delikatny łyk z gąsiorka. I za każdym razem przestrzegali się, żeby nie pić za dużo, bo to dla Doktora. O tym nie wolno zapominać.

— Jak myślicie, kiedy on wróci? — spytał Eddie.

— Zwykle jest z powrotem, o ósmej albo o dziewiątej — rzekł Mack. — Musimy się zastanowić, kiedy to wszystko urządzić. Sądzę, że powinniśmy dziś w nocy.

— Pewnie — zgodzili się inni.

— Może będzie zmęczony — zauważył Magda. — To przecież kawał drogi.

— Diabła tam — oświadczył Jones. — Człowiek nigdzie tak nie wypoczywa jak na dobrym przyjęciu. Bywałem zmęczony jak pies i ledwie powłóczyłem nogami, ale jak poszedłem na ochlaj, czułem się pierwszorzędnie.

— Musimy porządnie pomyśleć — powiedział Mack. — Gdzie my to urządzimy. Tu?

— Doktor lubi swoją muzykę. Jak jest przyjęcie, to zawsze włącza fonograf. Może będzie wolał, żebyśmy poszli do niego.

— Macie rację — przyznał Mack. — Ale przecież to powinna być niespodzianka. A jak mamy zrobić, żeby to było podobne do przyjęcia, a nie do pięciu facetów przynoszących gąsiorek whisky?

— A gdyby tak dekoracje? — zaproponował Hughie. — Jak na Czwartego Lipca albo na Wszystkich Świętych?

Mack utkwiał oczy w przestrzeni, a jego wargi rozchyliły się. Wszystko już miał przed oczyma: — Hughie, sądzę, że utrafiłeś w sedno. Nigdy nie przypuszczałem, że cię na to stać, ale teraz rzeczywiście wymyśliłeś coś ważnego. — Jego głos stał się śpiewny, a oczy patrzyły w przyszłość. — Już to widzę — powiedział. — Doktor wraca do domu. Jest zmęczony. Widzi światła w oknach. Myśli, że ktoś się włamał. Wchodzi na schody i, jak Boga kocham, widzi, że wszystko udekorowane jak diabli. Wszędzie bibułki, transparenty i ogromny tort. Jezu, wtedy od razu pozna, że to przyjęcie. I to nie będzie jakieś tam cichutkie, skromne przyjęcie na stojaka. A my się na chwilę niby schowamy, tak że nie będzie wiedział, kto to zrobił. A potem wyskoczymy z wrzaskiem. Możesz sobie wyobrazić, jaką będzie miał minę? Jak Boga kocham, Hughie, jak ty na to wpadłeś?

Hughie poczerwieniał. Jego koncepcja była niezbyt oryginalna i opierała się na zabawie noworocznej w La Ida, ale skoro już do tego doszło, chętnie przyjął ma siebie zasługę.

— Po prostu pomyślałem, że tak będzie przyjemnie — oświadczył.

— Pierwszorzędnie — kontynuował Mack. — Nie mówię już, jakie to będzie zaskoczenie, jak powiem Doktorowi, kto to wymyślił.

Rozparli się w krzesłach i rozważali całą sprawę. A w ich głowach udekorowane laboratorium wyglądało jak oranżeria w Hotel del Monte. Wypili jeszcze po dwa łyki, żeby uczcić plan.

Lee Chong prowadził bardzo charakterystyczny sklep. Na przykład większość sklepów zaopatruje się w żółtą i czarną krepinę, czarne papierowe koty, maski i dynie z *papier-mache* w październiku. Przed Wszystkimi Świętymi panuje ożywiony ruch handlowy tymi artykułami, a potem zanika. Może się je sprzedaje, może wyrzuca, ale w każdym

bądź razie nie można ich dostać, powiedzmy, w czerwcu. To samo dotyczy Czwartego Lipca i jego wyposażenia — flag, płótna na dekoracje i rakiet. Gdzie się to podziewa w styczniu? Nie ma — i nikt nie wie, gdzie się podziało. Ale Lee Chong nie postępował w ten sposób. Mogliście kupić u Lee Chonga walentynki w listopadzie, trój Ustne koniczynki i papierowe wiśniowe drzewka w sierpniu. Miał fajerwerki, które odłożył w roku 1920. Tajemnicą było, gdzie trzymał swe zapasy w tak ciasnym sklepie. Miał kostiumy kąpielowe, w jakie się zaopatrzył jeszcze wtedy, gdy były modne długie spódnice, czarne pończochy i czepki z tasiemkami. Miał części do bicykla i komplety wolanta oraz mah dżonga. Miał odznaki z napisem „Pamiątka z Maine” i chorągiewki ku czci Walecznego Boba. Miał pamiątki z Międzynarodowej Wystawy Pacyfiku z roku 1915 — małe wieże klejnotów. A jednak istniała jedna nieprawidłowość w sposobie prowadzenia interesów przez Lee Chonga. Nigdy nie ogłaszał wyprzedaży, nigdy nie obniżał cen i nigdy nic nie wyrzucał. Artykuł, który kosztował trzydzieści centów w roku 1912, nadal zachowywał tę samą cenę, aczkolwiek mogłoby się komuś wydawać, że myszy i mole obniżyły wartość towaru. Ale na ten temat nie było dyskusji. Jeżeli ktoś chciał udekorować laboratorium niezależnie od pory roku i zorganizować coś pośredniego między Saturnaliami a uroczystością Flagi Państwowej, materiały dekoracyjne mógł dostać tylko u Lee Chonga.

Mack i chłopaki wiedzieli o tym, a Mack spytał: — Ale skąd weźmiemy tort? Lee nie ma nic poza ciastkami.

Hughie, który poprzednio odniósł tak wielki sukces, próbował znowu: — Dlaczegożby Eddie nie miał upiec tortu? — zaproponował. — Eddie był przez pewien czas kucharzem w San Carlos.

Natychmiastowy entuzjazm dla tego pomysłu wygnał z głowy Eddie’ego wyznanie, że nigdy nie piekł tortu.

Mack ujął to w dodatku na płaszczyźnie sentymentu. -. Będzie o wiele przyjemniej dla Doktora — powiedział. — Nie damy mu żadnego cholernego kupnego tortu. Tu chodzi o serce.

W miarę jak przesuwwały się godziny dnia i kolejki whisky, entuzjazm wzrastał. Trwały nieskończone pielgrzymki do Lee Chonga. Żaby już wykończyły się w jednym worku, a w skrzyni Lee panował tłok. O godzinie szóstej skończyli gąsior whisky i zaczęli kupować ćwiartki Starych Tenisówek po piętnaście żab za ćwiartkę, stos materiałów dekoracyjnych piętrzył się na podłodze willi „Cichy Kącik” — całe mile kolorowej bibułki...

Eddie pilnował swego pieca jak kwoka kurcząt. Piekł tort w miednicy. Przepis był gwarantowany przez firmę produkującą proszki do pieczenia. Ale od samego początku tort

zachowywał się dziwnie. Przy wyrastaniu marszczył się i nadymał, jakby jakieś zwierzęta kręciły się i pełzały w jego wnętrzu. Włożony do pieca uformował ogromny bąbel podobny do piłki od palanta, który rósł i połyskiwał, aż wreszcie pękł z sykiem. Powstała po nim taka dziura, że Eddie natychmiast rozrobił jeszcze trochę ciasta i wypełnił puste miejsce. I teraz tort zachowywał się bardzo ciekawie, bo gdy na dnie się paliło i wylatywał stamtąd czarny dym, wierzch podnosił się i opadał jak rzadki klej, czemu towarzyszyła seria małych eksplozji.

Gdy Eddie wreszcie odstawił tort do ostudzenia, wyglądał on jak jedna z miniatur Bel Geddesa przedstawiająca pole bitwy w kraterze wulkanu.

Ten tort nie miał szczęścia, bo gdy chłopaki dekorowali laboratorium, Luba zjadła, ile się dało, zwymiotowała w środku tortu, a wreszcie skuliła się w jeszcze ciepłym cieście i usnęła.

Ale Mack i chłopaki wzięli karbowaną bibułkę, maski, kije, papierowe dynie, czerwone, białe i niebieskie płótno i poszli przez plac do laboratorium. Za resztę żab kupili kwartę Starych Tenisówek i dwa galony czterdziestodzieciocentowego wina.

— Doktor bardzo lubi wino — powiedział Mack. — Zdaje się, że woli je od whisky.

Doktor nigdy nie zamykał laboratorium. Wyznawał teorię, że każdy, kto rzeczywiście chce się włamać, może to zrobić bez trudu, że ludzie zasadniczo są uczciwi i że wreszcie w laboratorium nie ma rzeczy, które by przeciętny człowiek chciał ukraść. Wartościowe były książki, płyty, narzędzia chirurgiczne, szkło optyczne i takie przedmioty, na jakie zawodowy włamywacz nie chciałby nawet spojrzeć. Ta teoria była słuszna, o ile dotyczyła włamywaczy, pajęczarzy i kleptomanów, ale zupełnie nie działała na przyjaciół Doktora. Książki często „pożyczano”. Ani jedna puszka fasoli nie przetrwała jego nieobecności, a bardzo często, wracając późno w nocy, znajdował gości w swoim łóżku.

Chłopaki złożyli dekorację w przedpokoju, a wtedy Mack ich zatrzymał.

— Co zrobi Doktorowi największą przyjemność?

— Przyjęcie! — zawołał Magda.

— Nie — zaprzeczył Mack.

— Dekoracje? — podsunął Hughie. Czuł się odpowiedzialny za dekoracje.

— Nie — powiedział Mack. — Żaby. One mu się najbardziej podobają. A możliwe, że w tym czasie, kiedy tu przyjedzie, Lee Chong będzie zamknięty i Doktor nawet nie zobaczy swoich żab aż do jutra. Nie, panowie! — krzyczał Mack. — Te żaby powinny być tu, w tym miejscu, w samym środku pokoju z transparentem „Witaj nam, Doktorze”.

Komitety, który odwiedził Lee, spotkał się z poważną opozycją. Wszelkiego rodzaju trudności pojawiały się w podejrzliwym mózgu Chińczyka. Tłumaczono mu, że przecież będzie na balu i będzie mógł pilnować swego mienia, że nikt tego nie kwestionuje. Mack napisał dokument przekazujący tytuł własności żab Lee Chongowi, na wypadek gdyby powstała jakaś wątpliwość.

Gdy jego protesty osłabły nieco, zanieśli skrzynię do laboratorium, owinęli ją czerwonym, białym i niebieskim płótnem, namazali na papierze wielki napis jodyną i przystąpili do dalszego dekorowania. Skończyli whisky i byli w uroczystym nastroju. Przybijali karbowaną bibułę i rozmieszczali lampiony. Przechodnie z ulicy przyłączyli się do towarzystwa i pobiegli do Lee Chonga po więcej whisky. Zjawił się również Lee Chong, ponieważ jednak był notorycznie chory na żołądek, rozchorował się i musiał iść do domu. Ktoś przewracając wśród płyt znalazł komplet Hrabiego Basie i wielki fonograf zaryczał. Hałas rozbrzmiewał od stoczni do La Ida. Grupa klientów Niedźwiedziej Plagi myślała, że w Zachodnim Biologicznym otworzono konkurencyjny zakład, i zaczęła wchodzić na schody pokrzykując wesoło. Goście zostali wyrzuceni przez rozwścieczonych gospodarzy, ale dopiero po długiej i krwawej bitwie, w trakcie której wyważono frontowe drzwi i potłuczono dwa okna. Szczęk tłuczonego szkła zabrzmiał bardzo nieprzyjemnie. Magda, idąc przez kuchnię do ustępu, wylał na siebie i na podłogę brytwanekę gorącego tłuszczu i mocno się poparzył.

O pierwszej trzydzięści wszedł jakiś pijak i wypowiedział uwagę, którą uznano za uwłaczającą dla Doktora. Mack trafił go prawym prostym, który długo potem wspomniano i dyskutowano. Nogi przeciwnika oderwały się od podłogi, opisał mały łuk w powietrzu i wleciał do skrzyni między żaby. Ktoś usiłując zmienić płytę upuścił membranę i rozbił kryształek.

Nikt nie studiował psychologii zamierającej zabawy. Wszystko może szaleć, wrzeszczeć, kipieć, a potem jakiś dreszczyk, krótka cisza i za chwilę koniec. Goście idą do domu spać albo biorą się do innych spraw i zostawiają za sobą pustkę.

Światła błyszcząły w laboratorium. Frontowe drzwi wisały na jednej zawiasie. Podłogę pokrywało stłuczone szkło. Płyty od fonografu, niektóre rozbite, inne tylko popękane, leżały porozrzucone wokół. Talerze z ogryzkami kotletów i zastygłym tłuszczem stały na podłodze, na półkach z książkami, pod łóżkiem, a wśród nich szklaneczki od whisky. Ktoś, usiłując wspinać się po półce z książkami, przewrócił ją i książki walały się po podłodze. Panowała pustka. Wszystko się skończyło.



Przez wyłamana deskę wyskoczyła ze skrzyni żaba i przysiadła rozglądając się, czy nie grozi skąd jakieś niebezpieczeństwo. Przyłączyła się do niej druga. Czuły orzeźwiające, wilgotne, chłodne powietrze wpadające przez drzwi i wybite okno. Jedna z żab przykucnęła na leżącym transparencie z napisem „Witaj nam, Doktorze”. I obie poskakały bojaźliwie w stronę drzwi.

Po krótkiej chwili mały strumyczek żab, toczący się po schodach, zmienił się w burzliwą, wrzącą rzekę. Przez pewien czas ulica Nadbrzeżna roiła się od żab, była zasypana żabami. Taksówka, która przywiozła spóźnionego klienta pod Niedźwiedzią Flagę, rozjechała pięć żab na ulicy. Ale na długo przed świtem wszystkie się ulotniły. Niektóre znalazły kanał ściekowy, inne wdrapały się na pagórek do rezerwuaru, jeszcze inne umieściły się w rurach kanalizacyjnych, a parę tylko ukryło się w zaroślach na pustym placu.

A światła błyszcząły w spokojnym, pustym laboratorium.

## *Rozdział 21*

W tylnym pomieszczeniu laboratorium białe szczury biegały, trzepotały się i popiskiwały w swoich klatkach. W oddzielnej klatce leżała szczurzycą z ślepyimi i nagimi szczurzętami. Ssały ją, a matka rozglądała się wkoło nerwowo i dziko.

Grzechotniki opierały głowy na własnych splotach i patrzyły nieruchomo przed siebie posepnyimi, szaryimi oczami. W innej klatce wielka jaszczurka, o skórze jak torebka w groszki, podniosła się zwolna i ciężko i niezgrabnie czepiała się drutu. Ukwiały z zielonymi i purpurowymi czułkami i bladzielonymi żołądkami otworzyły się jak kwiaty. Mała pompa warczała z cicha, a strumienie wpędzanej do zbiorników morskiej wody syczały wzbijając smugi bąbli pod powierzchnią.

Nastała perlowa godzina. Lee Chong ustawił przy chodniku kubły ze śmieciami. Wykidajło stał na ganku Niedźwiedziej Flagi i drapał się po brzuchu. Sam Malloy wygrzebał się z kotła i usiadł na pieńku patrząc na rozjaśniający się wschód. Na skałach koło Stacji Marynistycznej Hopkinsa monotennie poszczekiwały morskie lwy. Stary Chińczyk wyszedł z morza ze swym ociekającym wodą koszykiem i kłapał na wzgórze.

W ulicę Nadbrzeżną skręcił samochód i Doktor podjechał przed laboratorium. Oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia. Ociężale poruszał kierownicą. Gdy wóz się zatrzymał, przez chwilę siedział bez ruchu, by wreszcie zapomnieć o podskakiwaniu wozu. Potem wygramolił się z auta. Na odgłos jego kroków po schodach węże wysunęły rozwidlone języki i zaczęły nasłuchiwać. Szczury szaleńczo miały się po klatkach. Doktor wszedł na schody. Ze zdumieniem patrzył na zwisające drzwi i wybite okno. Wydawało się, że zmęczenie go opuszcza. Szybko wszedł do wnętrza. A potem przechodził spieszenie z pokoju do pokoju, depcąc po odłamkach szkła. Nachylił się, podniósł zmiażdżoną płytę i spojrzał na jej tytuł.

W kuchni rozlany tłuszcz zastygł białą plamą na podłodze. Oczy Doktora zapłonęły wściekłością. Usiadł na sofie, wciągnął głowę w ramiona, a całe jego ciało dygotało z gniewu. Nagle zerwał się, nakręcił fonograf. Nałożył płytę i opuścił membranę. Tylko syczący hałas dobył się z głośnika. Doktor zatrzymał fonograf i znowu usiadł na sofie.

Na schodach dał się słyszeć odgłos niepewnych kroków. Wszedł Mack. Twarz miał zaczerwienioną. Stał niepewnie na środku pokoju.

— Doktorze — powiedział. — Ja i chłopaki...

Przez chwilę wydawało się, że Doktor go nie widzi. Nagle zerwał się na nogi. Mack cofnął się do tyłu.

— To wyście to zrobili?

— Więc, ja i chłopaki...

Mała twarda pięść Doktora mignęła w powietrzu i trzasnęła Macka w usta. Oczy Doktora płonęły purpurową, zwierzęcą wściekłością. Mack ciężko klapnął na podłogę. Doktor miał twardą i mocną pięść. Wargi Macka były rozcięte, a jeden z frontowych zębów wgiął się mocno do środka.

— Wstawaj! — wrzasnął Doktor.

Mack niezdarnie podniósł się z podłogi. Ręce zwisały mu po bokach. Doktor uderzył go znowu, zadając mu wyrachowany na chłodno, bolesny cios w usta. Krew trysnęła z warg Macka i pociekła po podbródku. Usiłował ją oblizać.

— Stań w pozycji. Walcz, ty skurwysynu! — krzyknął Doktor i uderzył go znowu. Usłyszał trzask łamanych zębów.

Głowa Macka podskoczyła, ale teraz był przygotowany, więc nie upadł. A ręce zwisały mu po bokach.

— Bij pan, Doktorze — wybełkotał rozciętymi wargami. — Jakoś to wytrzymam.

Ramiona Doktora opadły bezradnie.

— Ty skurwysynu — powiedział gorzko. — Och, ty przeklęty skurwysynu!

Opadł na sofę i oglądał swoje rozcięte kostki u rąk.

Mack usiadł na krześle i patrzył na niego.

Oczy Macka były rozszerzone i pełne męki. Nawet nie stał krwi, która ściekała mu po brodzie. W głowie Doktora zaczęła rozbrzmiewać monotonna uwertura Monteverdiego *Hor ch'el Ciel e la Terra*. Doktor widział rozcięte usta Macka poprzez muzykę, która rozbrzmiewała w jego głowie i w powietrzu. Mack siedział bez najlżejszego ruchu, jak gdyby i on również słyszał tę muzykę. Doktor spojrzał na to miejsce, gdzie leżał komplet Monteverdiego, ale przypomniał sobie, że fonograf jest zepsuty.

Wstał. — Idź się umyć — rzekł i poszedł do Lee Chonga. Lee Chong nie patrzył na niego, gdy wyjmował dwie kwarty piwa z lodówki. Wziął pieniądze nie mówiąc ani słowa. Doktor pomaszerował z powrotem przez ulicę.

Mack stał w umywalce wycierając krwawą twarz papierowymi ręcznikami. Doktor otworzył butelkę i delikatnie nalewał do szklanki, trzymając butelkę ukośnie, tak, żeby zrobił się tylko mały kołnierz z piany. Nappełnił drugą szklankę i obie zaniósł do frontowego pokoju. Mack wrócił trzymając mokry ręcznik przy ustach. Doktor wskazał głową piwo. Nie przełykając Mack wlał sobie w gardło pół szklanki. Westchnął nerwowo i wpatrzył się w piwo. Doktor już skończył swoją szklankę. Przyniósł drugą butelkę i anowu nappełnił obie szklanki. Usiadł na sofie.

— Co tu było? — spytał.

Mack wbił oczy w podłogę, a kropla krwi spadła mu z ust do piwa. Poruszył znowu wargami.

— Ja i chłopaki chcieliśmy urządzić panu przyjęcie. Myśleliśmy, że wróci pan do domu w nocy.

Doktor kiwnął głową.

— Widzę — powiedział.

— I jakoś wszystko wymknęło nam się z rąk — ciągnął dalej Mack. — Przepraszam, ale nie mogę powiedzieć nic na swoje usprawiedliwienie. Przepraszałem przez całe życie. To nic nowego. Zawsze mi tak wychodzi... — Pociągnął głęboki łyk ze szklanki. — Miałem żonę — powiedział. — Ta sama historia. Wszystko, co zrobiłem, wychodziło źle. Nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Jak zrobiłem coś dobrego, zawsze się jakoś popsuło. Jak dałem jej prezent, zawsze było z tym coś nie w porządku. Miała tylko przykrości przeze mnie. Nie mogła tego dłużej wytrzymać. To samo było wszędzie, póki nie zostałem błaznem. Nie potrafię nic innego robić, tylko być błamem. Żeby ludzie się śmieli.

Doktor znowu skinął głową. Muzyka dźwięczała mu w uszach skargą i rezygnacją.

— Wiem — powiedział.

— Ucieszyłem się, gdy pan mnie bił — mówił dalej Mack. — Pomyślałem sobie: „Może to mnie nauczy. Może to będę pamiętał”. Ale, diabła tam. Nie zapamiętam nic. Nie nauczę się niczego. Doktorze! — krzyczał Mack. — W ten sposób, jak ja to widziałem, wszyscy mieli być szczęśliwi i wspaniale się bawić. Pan miał się cieszyć, dlatego że urządziliśmy panu przyjęcie. I myśmy się cieszyli. W ten sposób, jak ja to widziałem, to miało być dobre przyjęcie. — Powiódł ręką wskazując szczyrby na podłodze. — Tak samo było, jak byłem żonaty. Chciałem jej zrobić przyjemność, a potem... Ale nigdy nie do tego stopnia.

— Wiem — powiedział Doktor. Otworzył następną butelkę i nappełnił szklanki.

— Doktorze — rzekł Mack. — Ja i chłopaki wszystko tu uporządkujemy... i zapłacimy za wszystko, co potłuczone. Gdybyśmy nawet mieli pracować przez pięć lat, zapłacimy za to.

Doktor potrząsnął głową i wytarł pianę z wąsów.

— Nie — powiedział. — Ja sam uporządkuję. Wiem, gdzie co powinno leżeć.

— Zapłacimy za to, Doktorze.

— Nie, nie zapłacicie, Mack. Będziecie o tym myśleć i dręczyć się przez długi czas, ale nie zapłacicie. Samo szkło laboratoryjne będzie kosztowało prawdopodobnie koło trzystu dolarów. Nie mówcie mi, że zapłacicie. To tylko zatruje wam życie. Upłynie dwa albo trzy lata, zanim to wam wyjdzie z głowy i znów będziecie się czuli swobodnie. A nie zapłacicie tak czy owak.

— Zdaje mi się, że pan ma rację — rzekł Mack. — Niech to diabli, ja wiem, że pan ma rację. Co możemy zrobić?

— Nie chcę nic — odparł Doktor. — Już wyładowałem swoją złość. Nie mówmy o tym.

Mack skończył piwo i wstał.

— Cześć, Doktorze.

— Cześć. Chwileczkę... Mack, a co się stało z pana żoną?

— Nie wiem — odparł Mack. — Odeszła ode mnie.

Niezgrabnie zszedł ze schodów, przeszedł przez ulicę i powlókł się przez plac i mostek do willi „Cichy Kącik”. Doktor stał w oknie i patrzył za nim. A potem zmęczony wyciągnął szczotkę zza boliera. Sprzątanie zajęło mu cały dzień.

## *Rozdział 22*

Malarz Henri nie był Francuzem i wcale nie miał na imię Henri. I właściwie nie był malarzem. Henri tyle czytał o Paryżu, że tam stale mieszkał, choć nigdy w życiu tam nie był. Gorączkowo śledził w pismach prądy dadaistyczne i schizmy, dziwne kobiece zazdrości, nabożność i obskurantyzmy powstających oraz upadających szkół. Regularnie buntował się przeciwko zużyтым technikom i materiałom. Jednego roku wyrzucił perspektywę. Następnego likwidował czerwień właśnie jako matkę purpury. Wreszcie w ogóle zrezygnował z malowania. Nie wiadomo, czy Henri był dobrym malarzem, czy nie, bowiem rzucał się tak gwałtownie na nowe kierunki, że w ogóle miał mało czasu na malowanie jakiegokolwiek rodzaju.

Jego zdolności malarskie pozostawały więc otwartą kwestią. Nie można było zbyt wiele sądzić po jego produkcjach z różnokolorowych piór kurzych i skorupki orzechów. Ale jako konstruktor łodzi nie miał sobie równych. Henri był cudownym cieślą okrętowym. Przed laty mieszkał w namiocie, gdy zaczął budować żaglówkę, a kambuz i kabina nie były gotowe. Ale od chwili, gdy miał już stały dach nad głową, cały swój czas poświęcał żaglówce. Raczej ją rzeźbił, niż budował. Żaglówka miała trzydzieści pięć stóp długości, a jej typ znajdował się stale w stanie płynnym. Przez pewien czas miała dziób klipra i rufę kontrtorpedowca. Innym razem wyglądała z grubsza jak karawela. Ponieważ Henri nie miał pieniędzy, niejednokrotnie mijały miesiące, zanim znalazł deskę czy kawałek żelaza, czy tuzin mosiężnych śrub. Ale o to mu właśnie chodziło, bo Henri nie chciał nigdy skończyć swego statku.

Statek leżał wśród sosen na placu, który Henri dzierżawił za pięć dolarów rocznie. To pokrywało podatek gruntowy i zadowalało właściciela. Statek spoczywał w prowizorycznej stoczni na betonowych fundamentach. Z jednej burty zwisała drabinka sznurowa, z wyjątkiem chwil, kiedy Henri był w domu. Wtedy zwijał drabinkę, a opuszczał ją, gdy przybywali goście. W kabinie znajdowała się szeroka wyściełana ława. Tu spał i tu siedzieli jego goście. Stół opuszczany, gdy zachodziła potrzeba, i mosiężna lampa zwisały

od sufitu. Statek był cudem logiki wykorzystania miejsca, a każdy jego szczegół kosztował miesiące rozmyślań i pracy.

Henri był czarniawy i mrukiwy. Nosił beret nawet wtedy, gdy inni ludzie już dawno nie nosili beretów, palił fajkę, a czarne włosy opadały mu na twarz. Henri miał wielu przyjaciół; z grubsza klasyfikował ich na tych, którzy mu mogą dawać jeść, i tych, którym on musi dawać jeść. Jego łódź nie miała imienia. Powiadał, że nazwie ją wtedy, gdy będzie gotowa,

Henri budował swą żaglówkę i mieszkał w niej przez dziesięć lat. W tym czasie był dwa razy żonaty i nawiązał pewną ilość półtrwałych związków. I każda z młodych kobiet opuszczała go z tego samego powodu. Siedmiostopowa kabina była za mała dla dwojga ludzi. Kobiety nie chciały rozbijać sobie głów przy wstawaniu i dotkliwie odczuwały brak ustępu. Morskie ustępy najoczywiściej nie działają na statku wyciągniętym na ląd, a Henri nie chciał iść na kompromis z prowizorycznym ustępem szczerów lądowych. On i jego przyjaciółki musieli wędrować między sosny. I jego sympatie opuszczały go jedna po drugiej.

Właśnie gdy opuściła go dziewczyna, którą nazywał Alicją, bardzo dziwna rzecz wydarzyła się Henriemu. Za każdym razem, gdy go porzucano, formalnie martwił się przez chwilę, ale jednocześnie doznawał uczucia ulgi. Mógł się wyciągnąć w swej kabince. Mógł jeść, na co miał ochotę. Cieszył się, że na pewien czas jest niezależny od niekończących się kobiecych funkcji biologicznych.

Stało się jego zwyczajem, że zawsze po takim rozstaniu kupował galon wina, wyciągał się swobodnie na twardej ławce i upijał. Niekiedy troszkę popłakał sobie, ale to był luksus, i zwykle miał cudowne uczucie, że mu to dobrze robi. Czytał na głos Rimbauda z bardzo złym akcentem, dziwiąc się, że mu tak płynnie wychodzi.

I właśnie podczas jednego z tych rytualnych obrzędów żałobnych po straconej Alicji zdarzyła się ta dziwna rzecz. Była noc, lampa świeciła i Henri dopiero się zaczął upijać, gdy nagle zrozumiał, że już nie jest sam. Ostrożnie rozejrzał się po kabinie. Po drugiej stronie siedział diabelsko młody mężczyzna, ciemny, piękny mężczyzna. Jego oczy jarzyły się sprytem, inteligencją i energią, a jego zęby połyskiwały. Było coś bardzo drogiego i bardzo przerażającego w jego twarzy. A obok niego siedział złotowłosy chłopczyk, jeszcze dziecko. Mężczyzna patrzył na dziecko, a dziecko podniosło ku niemu oczy, jakby miało nastąpić coś szczególnie przyjemnego. Potem mężczyzna spojrzął na Henriego, uśmiechnął się i znowu spojrzął na dziecko. Z lewej górnej kieszeni kamizelki wyjął staroświecką brzytwę o kanciastej klindze. Otworzył ją i wskazał głową dziecko. Ręką ujął

za kędziory chłopca. Dziecko śmiało się radośnie. Mężczyzna zadarł mu podbródek i przeciął gardło, a dziecko śmiało się dalej. Ale Henri zawył ze zgrozy. Długi czas upłynął, zanim uświadomił sobie, że nie ma już w kabinie ani mężczyzny, ani dziecka.

Henri, kiedy trochę przestał się trząść, wyleciał z kabiny, przeskoczył przez burtę łodzi i między sosnami zbiegł z pagórka. Wędrował przez kilka godzin, aż wreszcie przyszedł na ulicę Nadbrzeżną.

Doktor preparował koty w suterenie, gdy wpadł Henri. Doktor pracował dalej, a Henri opowiadał. Kiedy skończył, Doktor przypatrzył mu się uważnie, ile w nim jest jeszcze strachu, a ile gry. Lecz przede wszystkim był to strach.

— Co sądzisz? Czy to duch? — pytał Henri natarcywie. — Czy to jest jakieś odbicie czegoś, co rzeczywiście się zdarzyło, czy to może jakiś tkwiący we mnie kompleks freudowski, albo też ja jestem zupełny wariat? Widziałem to, mówię. Zdarzyło się to przed moimi oczami tak wyraźnie” jak teraz ciebie widzę.

— Nie wiem — powiedział Doktor.

— A może pójdziesz ze mną i zobaczymy, czy to wróci?

— Nie — odparł Doktor. — Jeśli ja bym to zobaczył i to byłby zły duch, bardzo bym się przestraszył, bo w duchy nie wierzę. A jeśli ty byś to znowu zobaczył, a ja nie, znaczyłoby, że masz halucynacje, i wtedy znowu ty byłbyś przestraszony.

— Ale co ja *teraz* zrobię? — zapytał Henri. — Jeśli to znowu zobaczę, to wiem, co się stanie — po prostu umrę. Widzisz, on nie wygląda jak morderca. On jest bardzo przyjemny i dzieciak jest przyjemny, i nikt iby nic na nich tnie powiedział. Ale poderznął gardło dziecku. Widziałem na własne oczy.

— Nie wiem — odezwał się Doktor. — Nie jestem psychiatrą ani nie poluję na czarownice i nie myślę zajmować się tymi rzeczami.

W piwnicy rozległ się głos dziewczyny:

— Halo, Doktorze, mogę wejść?

— Wchodź — powiedział Doktor.

Była to dosyć ładna i bardao energicana dziewczyna. Doktor przedstawił jej Henriego.

— On ma pewien problem — rzekł Doktor. — Albo dręczą go duchy, albo nieczyste sumienie, ale nie wie co. Opowiedz jej, Henri.

Henri jeszcze raz powtórzył całą historię, a oczy dziewczyny zabłyły:

— Ależ to okropne — zawołała, gdy skończył. — Nigdy w moim życiu nie widziałam ani śladu ducha. Chodźmy i zobaczymy, czy to się powtórzy.



Doktor obserwował ich dość kwaśno. Bądź co bądź to była jego randka.

Dziewczyna nigdy nie zobaczyła ducha, ale polubiła Henriego i minęło pięć miesięcy, zanim ciasna kabina i brak ustępu wypędziły ją ze statku.

## Rozdział 23

Czarna żałoba zapanowała w willi „Cichy Kącik”. Cała radość z niej uciekła. Mack przyszedł z laboratorium z rozciętymi ustami i powybijanymi zębami. Na pokutę nie umył twarzy. Wlazł do łóżka, przykrył się kocem na głowę i nie wstał przez cały dzień. Serce miał równie rozbite jak usta. Przypominał sobie wszystko, cokolwiek złego w życiu zrobił, i wyglądało na to, że nigdy nie zrobił nic dobrego. Był bardzo smutny.

Hughie i Jones siedzieli przez pewien czas wpatrując się w przestrzeń, a potem w ponurym nastroju udali się do Wytwórni Konserw Hediondo, poprosili o pracę i zostali przyjęci.

Magda czuł się tak źle, że poszedł do Monterey, wdał się w bójkę z jakimś żołnierzem i świadomie ją przegrał. Przez to poczuł się trochę lepiej, ponieważ pobił go człowiek, którego mógłby rozłożyć jedną ręką.

Luba była jedyną szczęśliwą istotą w całym klubie. Spędziła dzień pod łóżkiem Macka, radośnie zjadając jego buty. Była bardzo mądrym psem i miała bardzo ostre zęby. Dwa razy Mack w czarnej rozpacz sięgał pod łóżko, łapał ją i wciągał na koc, żeby dotrzymywała mu towarzystwa, ale uciekała i wracała do butów.

Eddie powlókł się do La Ida i odbył rozmowę ze swoim przyjacielem barmanem. Wypił parę kieliszków i pożyczył kilka pięciocentówek, za które zagrał pięć razy *Melancholijną dziewczynę* na automacie muzycznym.

Mack i chłopaki znaleźli się pod pręgierzem. Wiedzieli o tym i uważali, że na to zasługują. Stali się wyrzutkami społeczeństwa. O wszystkich ich dobrych zamiarach teraz zapomniano. O tym, że chcieli urządzać przyjęcie dla Doktora, jeśli nawet ten fakt był znany, nikt nie wspominał ani nie zastanawiał się nad nim. Cała historia dotarła pod Niedźwiedzią Flagę. Powtarzano ją w wytwórniach konserw. W La Ida oburzali się na nią pijacy. Lee Chong odmawiał komentarzy. Czuł się finansowo dotknięty. A plotka rozszerzając się przybrała taką formę: Ukradli whisky i pieniądze. Złośliwie włamali się do laboratorium i rozmyślnie je zniszczyli, po prostu ze złośliwości i łajdactwa. Ludzie, którzy znali prawdę, przyjęli ten pogląd. Paru pijaków z La Ida zastanawiało się, czy nie iść i tnie

przetrzepać całej bandy dla pokazania wszystkim, że w ten sposób krzywdzić Doktora nie wolno.

Tylko solidarność chłopaków i ich zdolności bojowe ocaliły ich przed represjami. Najbardziej oburzali się na nich ludzie, którzy od dawna nie odznaczyli się cnotą. Szczególnie wściekał się Tom Sheligan, który na pewno byłby na przyjęciu, gdyby o nim wiedział.

Mack i chłopaki znaleźli się poza nawiasem. Sam Malloy nie odzywał się do nich, gdy przechodzili koło kotła. Zamknęli «się w sobie i nikt nie wiedział, jak wyjdą z tych tarapatów. Jak wiadomo, istnieją dwie możliwe reakcje na ostracyzm społeczny: albo człowiek postanawia być lepszy, porządniejszy i grzeczniejszy, albo staje się zły, zaczyna zmieniać świat i robi jeszcze gorsze rzeczy. Ta druga reakcja napiętnowanych zdarza się zresztą najczęściej.

Mack i chłopaki balansowali na szalach dobra i zła. Byli mili i dobrzy dla Lubej, byli uprzejmi i cierpliwi jeden wobec drugiego. Gdy minęło pierwsze oszołomienie, przeprowadzili w willi „Cichy Kącik” generalne porządki, jakich tam jeszcze nie było. Wypolerowali jasne kraty pieca, wyprali pościel i koce. Potem ogarnęło ich otępienie i apatia. Hughie i Jones pracowali i przynosili do domu swoje wypłaty. Kupowali żywność na bazarze, ponieważ nie mogli znieść wyrzutu w oczach Lee Chonga.

W tym czasie Doktor uczynił pewne spostrzeżenie, które mogłoby być trafne, ale ponieważ opuścił w nim jeden czynnik, nie wiadomo, czy rzeczywiście miał rację. Był Czwarty Lipca. Doktor siedział w laboratorium z Richardem Frostern. Pili piwo, słuchali nowego kompletu Scarlattiego i patrzyli przez okno. Przed willą „Cichy Kącik” leżała wielka drewniana kłoda, na której siedzieli w porannym słońcu Mack i chłopaki. Twarze mieli zwrócone w kierunku laboratorium.

Doktor powiedział: — Spójrz na nich. To są prawdziwi filozofowie. Zdaje mi się, że Mack i chłopaki wiedzą wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło na świecie, może wiedzą też wszystko, co się zdarzy. Sądzę, że żyją na naszym szczególnym świecie lepiej niż inni ludzie. Kiedy inni zabijają się ambicją, nerwowością i chciwością, oni odpoczywają. My wszyscy, tak zwani dzielni ludzie, jesteśmy chorymi istotami, mamy marne żołądki i marne dusze, ale Mack i chłopaki są zdrowi i zadziwiająco czyści. Robią, co im się podoba. Mogą zaspokajać swe pragnienia nie owijając w bawełnę.

To przemówienie tak wysuszyło gardło Doktora, że wychylił do dna szklanekę. Poruszał palcami w powietrzu i rzekł:

— Nie ma nic lepszego od pierwszego łyku piwa.

Richard Frost powiedział: — Moim zdaniem oni się wcale nie różnią od innych ludzi. Po prostu nie mają tylko pieniędzy.

— Mogliby je mieć — stwierdził Doktor. — Mogliby zrujnować swoje życie i zdobyć pieniądze. Mack ma cechy genialności. Oni potrafią zrobić wszystko, jeśli chcą. Tylko zbyt dobrze znają istotę rzeczy, żeby dać się złapać w tę pułapkę.

Gdyby Doktor wiedział o smutku Macka i chłopaków, nie wypowiedziałby swego następnego twierdzenia, ale nikt go nie poinformował o powszechnym potępieniu mieszkańców willi. Wolno nalewał piwa do szklanki.

— Mogę ci dać dowód — rzekł. — Widzisz, jak oni siedzą obróceny w tę stronę? Dobrze. Za pół godziny odbędzie się defilada Czwartego Lipca w Alei Latarni Morskiej. Gdyby odwrócili głowy, mogliby ją zobaczyć, gdyby wstali, widzieliby ją jak na dłoni, a gdyby przeszli mały kawałeczek, znaleźliby się tuż przy niej. Założę się z tobą o kwartę piwa, że żaden z nich nawet nie odwróci głowy.

— Przypuśćmy, że nie — spytał Richard Frost. — O czym to świadczy?

— O czym to świadczy? — wykrzyknął Doktor. — O tym, że oni wiedzą, co będzie na paradzie. Wiedzą, że pierwszy przejedzie burmistrz w samochodzie ze sztandarem na chłodnicy. Potem będzie jechał długi Bob z flagą na swoim białym koniu. Z kolei rada miejska, dwie kompanie żołnierzy, łoża Łosi z purpurowymi parasolkami, później Rycerze Świątyni z mieczami i w białych strusich piórach. Następnie Rycerze Kolumba z mieczami i w czerwonych strusich piórach. Mack i chłopaki to wiedzą. Będzie grała orkiestra. Oni to wszystko widzieli. Nie potrzebują patrzeć znowu.

— Nie ma żywego człowieka, który nie spojrzałby na paradę — stwierdził Richard Prost.

— Zakład?

— Zakład.

— Zawsze wydawało mi się to dziwne — mówił dalej Doktor. — Cechy, jakie podziwiamy w ludziach — uprzejmość i szlachetność, otwartość, uczciwość, mądrość i uczucie — są w naszym systemie charakterystycznymi cechami porażki. A te cechy, którymi pogardzamy — chamstwo, chciwość, zachłanność, podłość, egoizm — są cechami powodzenia. Ludzie podziwiają pierwsze, ale lubią osiągnięcia drugich.

— Kto chce być dobry, jeśli musi przy tym głodować? — spytał Richard Frost.

— Och, tu nie chodzi o głód. To coś trochę innego. Sprzedaż dusz, by zyskać cały świat, jest jak najzupełniej dobrowolna i prawie powszechna — ale niezupełnie. Zawsze gdzieś w jakimś punkcie kuli ziemskiej znajdzie się Mack i chłopaki. Widziałem ich w

Meksyku i na Alasce. Wiesz chyba, że oni chcieli urządzić dla mnie przyjęcie i coś się nie udało. Ale chcieli mi urządzić to przyjęcie. To był ich odruch. Słuchaj, czy to nie orkiestra?

Szybko napełnił dwie szklanki piwem i obaj przysunęli się do okna.

Mack i chłopaki siedzieli przygnębieni na kłodzie i patrzyli w stronę laboratorium. Dźwięki orkiestry dolatywały z Alei, echa odbijały się od budynków. I nagle pojawił się samochód burmistrza rozwijając sztandar ma chłodnicy. Długi Bob cna białym koniu dzierżył flagę, potem orkiestra, dalej żołnierze, Łosie, Rycerze Świątyni, Rycerze Kolumba. Richard i Doktor z napięciem pochyliłi się do przodu, ale obserwowali rząd mężczyzn siedzących na kłodzie.

I ani jedna głowa się nie odwróciła, ani jeden kark się nie wyprostował. Defilada przechodziła, a oni siedzieli bez ruchu. I defilada przeszła. Doktor wysuszył swą szklankę, podniósł delikatnie dwa pace w górę i rzekł:

— Ha! Nie ma nic lepszego na świecie niż pierwszy łyk piwa.

Richard ruszył ku drzwiom:

— Jakie piwo chcesz?

— To samo — odparł Doktor wielkodusznie. Uśmiechał się do Macka i chłopaków.

Łatwo mówić: „Czas wszystko wyleczy”, „ludzie zapomną” i tym podobne truizmy, jeśli człowiek sam nie jest zamieszany w daną sprawę, ale jak jest zamieszany, wtedy czas stoi w miejscu, ludzie nie zapominają, a człowiek znajduje się w środku czegoś, co się nie zmienia. Doktor nie wiedział o cierpieniach i skrusze w willi „Cichy Kącik”, bo na pewno próbowałby coś na to poradzić. A Mack i chłopaki nie wiedzieli nic o uczuciach Doktora, bo inaczej podnieśli by znowu głowy do góry.

Zły czas trwał. Diabeł broił na pustym placu. Sam Malloy miał wiele awantur ze swoją żoną, a ona płakała bez przerwy. Echa płaczu dolatywały z kotła jak spod wody. Wydawało się, że Mack i chłopaki są osią kłopotów. Sympatyczny wykidajło z Restauracji pod Niedźwiedzią Flagą wyrzucał pijaka, ale wyrzucił go za mocno i za daleko i złamał mu kark. Alfred musiał trzy razy jeździć do Salinas, zanim wszystko się wyjaśniło i, oczywiście, w takiej sytuacji nie mógł się czuć dobrze. W normalnym czasie był zbyt dobrym wikidajłą, żeby kogokolwiek uszkodzić. Jego chwytę cechował cudowny wprost rytm i gracia.

Na domiar złego grupa natchnionych dam w mieście zażądała, żeby zamknąć jaskinię rozpusty, by ochronić młodą amerykańską męskość. Coś podobnego powtarzało się mniej więcej raz na rok w ogórkowym sezonie między Czwartym Lipca a targami okręgowymi. W takim wypadku Dora zazwyczaj zamykała Niedźwiedzią Flagę na tydzień. To nie było takie złe. Cały personel otrzymywał urlop i można było przeprowadzić małe

naprawy w instalacjach i odnowić pokoje. Ale w tym roku damy wyruszyły na prawdziwą wyprawę krzyżową. Żądały czyjgoś skalpu. Lato wlokło się monotannie, a one chciały działać. Było już tak źle, że musiano im powiedzieć, kto jest właścicielem lokalu, gdzie uprawia się występki, ile przynosi dzierżawa i jakie przykrości wynikną z zamknięcia zakładu. Widać stąd, jak groźnie wyglądała sytuacja.

Dora była zamknięta przez dwa tygodnie. W tym czasie odbyły się trzy zjazdy. Rozeszła się wieść, że Dorę zamknięto, i Monterey straciło pięć zjazdów na rok następny. Sprawy wyglądały bardzo kiepsko. Doktor musiał zaciągnąć pożyczkę w banku, żeby pokryć koszt szkła potłuczonego podczas przyjęcia. Elmer Rechanti położył się spać na torze kolejowym i stracił obie nogi. Gwałtowny i najzwyklej nieoczekiwany sztorm porwał przycumowany do nabrzeża trawler i trzy łodzie i rzucił je pogruchotane i smutne na plażę Del Monte.

Nie było wytłumaczenia dla serii podobnych klęsk. Każdy człowiek czyni wyrzuty samemu sobie. Ludzie w swych znękanych umysłach przypominają sobie tajemnie popełnione grzechy i zastanawiają się, czy to one są przyczyną serii nieszczęść. Ktoś może przypisywać nieszczęścia plamom na słońcu, podczas gdy ktoś inny przywołując na pomoc teorię prawdopodobieństwa nie wierzy w to. Nawet doktorzy nie mieli korzyści we wspomnianym okresie, bo jeśli nawet wiele osób chorowało, to w każdym razie nie na którąś z dochodowych chorób. Nie było nic, czego by dobre lekarstwo lub patentowany specyfik nie wyleczył.

Na domiar złego Luba zachorowała. Była bardzo tłustym i żywym szczeniakiem, gdy zaczęła się choroba, ale pięć dni gorączki zamieniły ją w szkielet obciągnięty skórą. Jej wątrobiany nos stał się różowy, a dziąsła — białe. Oczy miała szkliste, a całe ciało rozpalone, aczkolwiek niekiedy drżała z zimna. Nie chciała jeść, nie chciała pić, a jej tłusty mały brzuszek przyrastał teraz do grzbietu, a nawet przez skórę ogona widać było kręgi. Najwidoczniej była to nosówka.

Teraz szlachetna trwoga ogarnęła willę „Cichy Kącik”. Luba miała ogromne znaczenie w ich życiu. Hughie i Jones natychmiast rzucili pracę, żeby być blisko na wypadek, gdy trzeba będzie coś pomóc. Dyżurowali przy niej na zmianę. Przykładali jej chłodne okłady na łepkę, a ona robiła się coraz bardziej chora i słaba. Ostatecznie Magdę i Jonesa wydelegowano do Doktora, choć się, przed tym bronili. Znaleźli go nad mapą przyptywów, jedzącego gulasz z kurczęcia, którego zasadniczą częścią składową nie było jednak kurczę, lecz ogórek morski. Wydawało im się, że spojrzeli na nich dość chłodno.

— To Luba — powiedzieli. — Jest chora.

— A co jej dolega?

— Mack mówi, że to nosówka.

— No, ale ja nie jestem weterynarzem — oświadczył Doktor. — Nie wiem, jak leczyć takie przypadki.

Magda rzekł: — Tak, ale czy nie mógłby pan rzucić na nią okiem? Jest chora jak diabli.

Stanęli w koło, gdy Doktor badał Lubę. Popatrzył na gałki oczne, dziąsła i wziął ją za ucho, by sprawdzić, czy ma gorączkę. Przejechał palcami po żebrach, które sterczały jak szczeble, i po wynędzniałym grzbiecie.

— Nie chce jeść? — spytał.

— Absolutnie nic — rzekł Mack.

— Musicie w nią wpychać... zawiesiste zupy, jaja i tran.

Uważali, że zachowuje się chłodno i profesjonalnie. Wrócił do swoich map i gulaszu.

Ale Mack i chłopaki mieli teraz zajęcie. Gotowali mięso. Wlewali jej tran głęboko, tak że zawsze coś przełknęła. Trzymali jej łepkę do góry i zrobiwszy mały lejek z jej pyszczka wlewali wystudzoną zupę do środka. Musiała albo łykać, albo się udusić. Co dwie godziny karmili ją i dawali jej wodę. Przedtem spali na zmianę — teraz ani jeden z nich nie spał. Siedzieli w milczeniu i czekali na kryzys.

Nastąpił wczesnym rankiem. Chłopaki siedzieli w półśnie na swych krzesłach, ale Mack czuwał, a jego oczy obserwowały szczeniaka. Zauważył, że uszy Lubej dwukrotnie drgnęły, a pierś uniosła się. Z ogromnym wysiłkiem wygramoliła się na swe pajęczne nogi, powlokła się ku drzwiom, chlipnęła cztery łyki wody i opadła na podłogę.

Mack wrzeszcząc obudził innych. Tańczył ciężko. Wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego. Lee Chong słyszał ich i parsknął pod nosem, wynosząc kubły ze śmieciami. Alfred wykidajło słyszał ich i myślał, że urządzają zabawę.

O dziewiątej Luba zjadła z własnej woli surowe jajko i pół szklanki bitej śmietany. Koło południa widocznie przybrała na wadze. W ciągu dnia dokazywała troszkę, a pod koniec tygodnia była już dzielnym psem.

Nareszcie zrobił się jakiś wyłom w ścianie zła. Wszędzie dawały się dostrzec oznaki tego. Trawler ściągnięto znowu na wodę. Dora otrzymała poufną wiadomość, że może śmiało otwierać Niedźwiedzią Flagę. Earl Wakefield złapał konika morskiego z dwiema głowami i sprzedał go do muzeum za osiem dolarów. Ściana zła i oczekiwania pękła. Rozsypała się na kawałki. Owej nocy zasłony były zaciągnięte w oknach laboratorium, a

gregoriańska muzyka rozbrzmiewała do drugiej w nocy, po czym urwała się i nikt nie wyszedł. Coś drażyło serce Lee Chonga i w jakimś orientalnym momencie przebaczył Mackowi i chłopakom oraz spisał na straty żabi dług, który od początku ciążył nad całą sprawą. Ażeby udowodnić chłopakom, że nie pamięta im winy, wyciągnął ćwiartkę Starych Tenisówek i dał im ją w prezencie. Ich zakupy na bazarze zraniły jego uczucia, ale teraz wszystko już minęło. Wizyta Lee zbiegła się z pierwszym destruktywnym zdrowym odruchem, jaki miała Luba od czasu swojej choroby. Teraz była już zupełnie rozpuszczona i nikt jej nie uczył porządku. Kiedy Lee Chong przybył ze swym darem, Luba z rozmysłem i radością niszczyła jedyną parę gumowych butów Magdy, podczas gdy szczęśliwi jej właściciele oklaskiwali ją z zapalem.

Mack nigdy nie odwiedzał Niedźwiedziej Plagi w sprawach zawodowych. Wydawałoby mu się to nieco niewłaściwe. Był pewien dom przy stadionie baseballowym, któremu patronował. Dlatego też, gdy wszedł do baru od frontu, wszyscy myśleli, że chce się napić piwa. Zwrócił się do Alfreda.

— Dora jest? — zagadnął.

— A o co chodzi? — zdziwił się Alfred.

— Chciałem ją o coś spytać?

— O co?

— To nie twój zasrany interes — powiedział Mack.

— Dobra. Niech będzie. Zobaczę, czy zechce z tobą gadać.

W chwilę później wpuszczał Macka do sanktuarium. Dora siedziała przy biurku. Jej pomarańczowe włosy piętrzyły się na głowie w małych pierścionkach, a nad oczyma miała zielony daszek. Uzupełniała na bieżąco swe księgi. Była ubrana we wspianą szlafrok z różowego jedwabiu z koronkami przy rękawach i dekolcie. Gdy Mack wszedł, odsunęła krzesło i spojrzała mu prosto w twarz. Alfred stał w drzwiach i czekał. Mack nie ruszał się, póki Alfred nie zamknął drzwi i nie odszedł.

Dora obserwowała Macka podejrzliwie.

— Czym mogę służyć? — spytała wreszcie.

— Widzi pani... — powiedział Mack — hm, przypuszczam, że pani słyszała, co zrobiliśmy u Doktora nie tak dawno.

Dora odsunęła daszek na głowę i położyła pióro na staromodną podstawkę z drutu.

— Tak. Słyszałam.

— Więc proszę pani, myśmy zrobili to dla Doktora. Może pani nie wierzy, ale chcieliśmy urządzić dla niego przyjęcie i... jakoś nam nie wyszło.



— Tak, słyszałam — powiedziała Dora. — Więc czego pan sobie ode mnie życzy?

— No, ja i chłopaki pomyśleliśmy sobie, że spytamy panią. Pani wie, co myślimy o Doktorze. Chcieliśmy panią spytać, co byśmy mogli dla niego zrobić, żeby mu to poniekąd pokazać.

Dora powiedziała: — Hm — cofnęła się z krzesłem, skrzyżowała nogi i poprawiła szlafrok na kolanach. Wyjęła papierosa, zapaliła go i zamyśliła się.

— Urządziliście mu przyjęcie, na którym nie był. Dlaczego. nie macie mu zrobić drugiego przyjęcia, na którym byłby obecny?

— Słowo daję — mówił potem Mack do chłopaków. — To przecież takie proste. Co za kobieta! Nic dziwnego, że jest madamą. Co za kobieta!

## *Rozdział 24*

Mary Talbot, żona Toma Talbota, była przemiła. Miała rude włosy, w których połyskiwały zielone światelka. Miała złotawą skórę z zielonkawym odcieniem, a oczy zielone z małymi złotymi kropeczkami. Twarz miała trójkątną, z szerokimi kośćmi policzkowymi, szeroko osadzonymi oczyma i dołeczkiem na podbródku. Miała długie nogi tancerki i stopy tancerki, i wydawało się, że nigdy nie dotyka ziemi, kiedy idzie. Gdy była podniecona, a przeważnie była podniecona, jej buzia połyskiwała złotem. Jej pra-pra-pra-pra-prababkę spalono jako czarownicę.

Bardziej niż wszystko inne na świecie Mary Talbot lubiła przyjęcia. Lubiła urządzać przyjęcia i lubiła chodzić na przyjęcia. Ponieważ Tom Talbot nie zarabiał dużo, Mary nie mogła urządzać przyjęć stale, więc używała różnych sztuczek, by skłonić ludzi do tego. Niekiedy telefonowała do przyjaciółki i mówiła otwarcie: — Czy nie uważasz, że powinnaś wreszcie urządzić przyjęcie?

Mary obchodziła urodziny sześć razy do roku i regularnie organizowała zabawy kostiumowe, przyjęcia-niespodzianki, przyjęcia świąteczne. W Wigilię Bożego Narodzenia w jej domu panowało zawsze ogromne podniecenie. Bowiem Mary paliła się do przyjęć. Na fali tego podniecenia unosiła swego męża Toma.

Po południu, gdy Tom pracował, Mary niekiedy urządzała herbatki dla kotów z sąsiedztwa. Stawiała stołeczek z lalczynymi filiżankami i spodeczkami. Zbierała koty, a było ich pełno, a potem prowadziła z nimi długie i szczegółowe rozmowy. Ten rodzaj satyrycznej zabawy sprawiał Mary wiele przyjemności, bowiem ukrywał i zasłaniał przed nią fakt, że nie ma ona naprawdę ładnych sukni i że Talbotowie nie mają wcale pieniędzy. Przeważnie znajdowali się tuż u progu ruiny i kiedy było rzeczywiście kiepsko, Mary urządzała jakieś przyjęcie.

Mogła to zrobić. Potrafiła zarazić cały dom wesołością i używała swego daru jako broni przeciwko przygnębieniu, które czatowało wokół, usiłując o władnęć Toma. Uważała, że jej zadaniem jest bronić Toma przed przygnębieniem, ponieważ każdy wie, że któregoś dnia Tom osiągnie wielki sukces. Przeważnie udawało jej się trzymać smutne

sprawy z dala od domu, ale niekiedy dostawały się one do Toma i paraliżowały go. Wtedy siedział i dumał godzinami, zaś Mary frenetycznie rozdmuchiwała ogień weselości.

Pewnego razu, akurat pierwszego, kiedy na stole leżały nakazy sądowe Towarzystwa Wodociągów i komorne nie było opłacone, a *Collier's* zwrócił rękopis i odesłano rysunki z *The New Yorker*, zaś Tomowi bardzo dokuczająca opłucna, Tom wszedł do sypialni i położył się do łóżka.

Mary weszła ostrożnie, ponieważ niebieskoszary kolor jego smutku przesączał się przez szczelinę drzwi i przez dziurkę od klucza. Miała małe bukietki fiołków owinięte w papierową koronkę.

— Powąchaj — rzekła i przytknęła mu do nosa bukietki. Powąchał kwiaty i nie powiedział nic. — Wiesz, jaki dziś dzień? — spytała i myślała gwałtownie o czymś, co by rozjaśniło ten dzień.

Tom powiedział: — Dlaczego wreszcie nie spojrzymy prawdzie w oczy? Jesteśmy zrujnowani. Spadamy na dno. Po co będziemy się łudzić?

— Nie, nie jesteśmy — odpowiedziała Mary. — My jesteśmy zczarowani. Zawsze byliśmy. Pamiętasz te dziesięć dolarów, które znalazłeś w książce... pamiętasz, jak twój kuzyn przysłał ci pięć dolarów? Nam się nic nigdy nie stanie.

— Już się stało — powiedział Tom. — Bardzo przepraszam. Już mam dosyć oszukiwania samego siebie. Dość już udawania. Wreszcie chcę brać sprawy realnie. Najwyższy czas.

— Myślałam, żebyśmy urządzili dziś jakieś małe przyjęcie — powiedziała Mary.

— Za co? Nie masz chyba zamiaru wyciąć reklamy pieczonej szynki z tygodnika i podać jej na półmisku. Mam już dosyć tego wygłupiania się. To już wcale nie jest wesołe. To smutne.

— Mogłabym urządzić małe przyjęcie — nastawała. — Takie zupełnie malutkie. Nikt nie potrzebuje się ubierać. Dziś jest stulecie Ligi Bloomer. Nawet tego nie pamiętasz.

— Nie potrzeba — zaprotestował Tom. — Wiem, że to podłe, ale ja nie potrafię wstać z łóżka w tym celu. Dlaczego nie wyjdiesz, nie zamkniesz za sobą drzwi i nie zostawisz mnie w spokoju? Wyrzucę cię, jak nie wyjdiesz.

Spojrzała na niego uważnie i zobaczyła, że mówi to na serio. Wyszła spokojnie i zamknęła drzwi, a Tom odwrócił się na łóżku i ukrył twarz w ramionach. Słyszał, jak Mary krząta się w drugim pokoju.

Udekorowała drzwi starymi zabawkami z choinki, szklanymi bombkami i szychem, i wypisała mały transparent: „Witaj, Tomie, nasz bohaterze”. Słuchała pod drzwiami, ale nie

słyszała najmniejszego szmeru. Nieco zawiedziona wyciągnęła stołek i przykryła go serwetką. Włożyła swój bukiet w szklanę na środku stołeczka i ustawiła cztery małe filiżanki i spodeczki. Poszła do kuchni, wsypała herbaty do imbryczka i nastawiła czajnik. Potem wyszła na podwórko.

Kicia Randolph wygrzewała się na frontowym płocie. Mary rzekła: — Panno Randolph... zaprosiłam paru przyjaciół na herbatkę, może pani byłaby łaskawa przyjść.

Panna Randolph leniwie przekręciła się na plecy i wyciągnęła w ciepłym słońcu.

— Proszę przybyć nie później niż o czwartej — ciągnęła dalej Mary. — Mój mąż i ja wybieramy się wieczorem na bankiet stulecia Ligi Bloomer.

Pobiegła za dom, gdzie dzikie wino wspinało się po płocie. Kicia Casini spłaszczyła się na ziemi, mrużąc do siebie i dziko wymachując ogonem.

— Pani Casini — zaczęła Mary i nagle urwała, ponieważ zobaczyła teraz, co kotka robi. Kicia Casini miała mysz. Delikatnie uderzyła ją łapą, a mysz miotła się straszliwie, ciągnąc za sobą bezwładne tylne nogi. Kotka pozwalała jej uciec prawie do gęstwiny dzikiego wina, a potem dotykała ją łapą, z której wyskakiwały białe sztyleciki. Wbijała je leciutko w grzbiet myszy i przyciągała ją do siebie, przy czym ogon kotki miotł się w najwyższej rozkoszy.

Tom na wpół już usnął, gdy usłyszał, że Mary bez przerwy wykrzykuje jego imię. Zerwał się na nogi wołając: — Co się stało? Gdzie jesteś? — Usłyszał, że Mary płacze. Wybiegł na tylne podwórko i zobaczył, co się stało. — Odwróć głowę — krzyknął i zabił mysz. Casini skoczyła na płot i patrzyła na nich gniewnie. Tom złapał kamyk, trafił ją w brzuch i strącił na ziemię.

W domu Mary popłakiwała nieco. Zaparzyła herbatę i podała na stół. — Siadaj tu — powiedziała Tomowi, a on usiadł na podłodze przed stołkiem.

— Czy mógłbym dostać większą filiżankę? — zapytał.

— Trudno mi ganić Kicię Casini — mówiła Mary. — Wiem, jakie są koty. To nie jej wina. Ale... oh, Tom. Będzie mi trudno zapraszać ją znowu. Po prostu nie będę jej lubiła przez pewien czas, choćbym nawet nie wiem jak chciała.

Popatrzyła uważnie na Toma i zauważyła, że zmarszczki zeszły z jego czoła i że nie mruga już gniewnie oczami.

— Poza tym jestem ogromnie zajęta Ligą Bloomer w tych dniach — powiedziała. — Po prostu nie wiem, kiedy zdążę wszystko w domu zrobić.

Mary Talbot znajduje się w tym roku w poważnym stanie i wydała przyjęcie z tej okazji. I wszyscy mówili: — Boże, to jej dziecko będzie miało naprawdę wesołe życie.



## *Rozdział 25*

Na pewno wszyscy z ulicy Nadbrzeżnej i prawdopodobnie wszyscy z Monterey czuli, że nastąpiła zmiana. Bardzo słusznie nie wierzymy w pechy i złe wróżby. Nikt w nie nie wierzy. Gdybyśmy wierzyli, nic dobrego by z tego nie wynikło. Ulica Nadbrzeżna, podobnie jak każda inna ulica, nie jest przesądna, ale nie wejdzie pod drabinę ani nie otworzy parasola w mieszkaniu. Doktor był trzeźwym naukowcem i przesady nie miały na niego wpływu, a jednak gdy pewnej nocy wrócił późno do domu i znalazł wiązaną białych kwiatów na progu, miał potem bardzo ciężkie życie. Większość ludzi na Nadbrzeżnej po prostu nie wierzy w takie rzeczy, a jednak żyje nimi.

W umyśle Macka nie powstała żadna wątpliwość, że nad willą wisi czarna chmura. Przeanalizował poronione przyjęcie i wykrył, że pech wpełznął w każdą szczelinę, że nieszczęścia wprost wyroły się owego wieczora. A jak się wpadnie w taką passę, nie zostaje nic innego, jak po prostu położyć się do łóżka i czekać, aż się wszystko skończy. Na to nie ma rady. Nie żeby Mack był przesądny.

Teraz jakby jakaś radość przeniknęła na Nadbrzeżną i rozprzestrzeniła się wkoło. Doktor odniósł wprost nadnaturalny sukces w seriach damskich odwiedzin. Nawet połowy z nich nie mógł wykorzystać. Szczęściem w willi wyrosło jak młody żrebak, a mając za sobą tysiące pokoleń tresury, zaczęło się tresować samo. Nabrało wstrętu do moczenia podłogi i wychodziło na dwór. Było oczywiste, że Luba wyrośnie na dobrego i czarującego psa. I nie dostała wścieklizny po nosówce.

Dobroczynny powiew płynął jak gaz przez Nadbrzeżną. Dotarł aż do kiosku z parówkami Hermana, rozszerzył się po Hotelu San Carlos. Jimy Brucia czuł go i Johnny — jego śpiewający barman. Sparky Eney czuł go i z radością przyłączył się do wojny z trzema nowymi policjantami miejskimi. Dobroczynny powiew dotarł nawet do okręgowego więzienia w Salinas, gdzie Gay, który pędził świetne życie pozwalając szeryfowi ogrywać się w warcaby, nagle się zaciętrzewił i już nigdy nie przegrywał ani jednej partii. Stracił swoje przywileje, ale znów poczuł się stuprocentowym mężczyzną.

Dobroczynny powiew zwęszyły morskie lwy, a ich naszczekiwanie przybrało ton i kadencję, jaka rozradowała serce świętego Franciszka. Małe dziewczynki studiujące katechizm nagle podnosiły oczy i chichotały bez powodu. Możliwe, że można by wynaleźć swego rodzaju elektroskop, dość czuły, by wykrył źródło tej całej rozszerzającej się radości i szczęścia. A triangulacja prawdopodobnie umiejscowiłaby je w willi „Cichy Kącik”. Z pewnością willa była naelektryzowana radością. Mack i chłopaki byli nią naładowani. Widziano, jak Jones zeskakiwał z krzesła po to tylko, by wykonać szalonego trepaka i usiąść znowu. Magda uśmiechał się bez uzasadnienia. Radość była tak powszechna i tak nieskoordynowana, że Mack miał ciężkie zadanie, żeby skoncentrować ją na określonych celach. Eddie, który pracował dość regularnie w La Ida, zaopatrywał piwnicę w spirytualia. Nie dolewał już więcej piwa do gąsiorka. Mówił, że nadaje ono mieszance ordynarny smak.

Sam Malloy zasadził narcyze koło kotła. Ustawił mały daszek i często siadywał pod nim wieczorem razem z żoną. Ona pielęgnowała kwiaty.

Radość dotarła również pod Niedźwiedzią Flagę. Interes szedł doskonale. Noga Phylis Mae zrastała się ładnie i dziewczyna miała niebawem wrócić do pracy. Ewa Flanagan wróciła z East St. Louis i bardzo się z tego cieszyła. W East St. Louis panowały straszne upały i nie było to już takie ładne miasto, jak je zapamiętała. Ale wtedy, kiedy tam było tak ładnie, ona była młodsza.

Przekonanie o konieczności urządzenia przyjęcia dla Doktora nie pojawiło się nagle. Nie wybuchło od razu. Ludzie wiedzieli o projekcie, ale rozwijał się on powoli jak poczwarka w kokonach ich wyobraźni. Mack ustosunkował się do sprawy rzeczowo:

— Ostatnim razem robiliśmy wszystko na hura — mówił chłopakom. — W ten sposób nie można urządzić porządnego przyjęcia. Trzeba to robić ostrożnie.

— Dobra, kiedy to będzie? — niecierpliwił się Jones.

— Nie wiem — powiedział Mack.

— Czy to ma być niespodzianka? — pytał Magda.

— Sądzę, że tak byłoby najlepiej — powiadał Mack.

Luba przyniosła mu piłkę tenisową, którą znalazła, a on przez drzwi wyrzucił piłkę w zarośla. Skoczyła za nią.

Odezwał się Magda: — Gdybyśmy wiedzieli, kiedy są urodziny Doktora, moglibyśmy urządzić przyjęcie urodzinowe.

Mack otworzył usta. Magda ustawicznie go zdumiewała.

— Jak Boga kocham, Magda, masz rację — zawołał. — Tak, panowie, jeśli to będą jego urodziny, to będą i prezenty. O to właśnie chodzi. Musimy się tylko dowiedzieć, kiedy on ma urodziny.

— To bardzo łatwo — wtrącił się Hughie. — Możemy iść i spytać.

— Diabła tam — zaprotestował Mack. — W ten sposób się skapuje. Jak się spytacie gościa, kiedy są jego urodziny, a szczególnie jak mu macie zamiar urządzić przyjęcie, to on od razu się połapie, o co chodzi. Może pójdę i wywącham tak, żeby nic nie wiedział.

— Pójdę z tobą — powiedział Magda.

— Nie. Jak pójdziemy we dwóch, może pomyśleć, że coś mamy na widoku.

— No, cholera, ale to przecież mój pomysł — złościł się Magda.

— Wiem — potwierdził Mack. — I jak przyjdzie co do czego, to powiem Doktorowi, że to twój pomysł. Ale chyba pójdę sam.

— Jaki on jest teraz? W dobrym humorze? — spytał Eddie.

— Pewnie. W jak najlepszym.

Mack znalazł Doktora w dolnej części laboratorium. Był ubrany w długi gumowy fartuch i miał gumowe rękawiczki, które chroniły jego palce przed formaliną. Wstrzykiwał kolorową substancję w żyły i arterie morskiego psa. Mały młynek kręcił się bez przerwy mieszając niebieską masę. Kolorowy płyn był już w strzykawce ciśnieniowej. Delikatne ręce Doktora pracowały precyzyjnie, wprowadzając igłę we właściwe miejsce i naciskając spust sprężonego powietrza, które wstrzykiwało zabarwiony płyn do żył. Spreparowane stworzenia układał na zgrabną kupkę. Miał jeszcze do nich wrócić, by wpuścić niebieską farbę w arterie. Psy morskie były dobrymi okazami do sekcji.

— Cześć, Doktorze! — zawołał Mack. — Zajęty pan bardzo?

— Tak sobie — odparł Doktor. — Jak się ma suczka?

— Doskonale. Zdechłaby, gdyby nie pan.

Przez chwilę Doktora ogarnęła fala podejrzliwości, ale natychmiast opadła. Zazwyczaj pochlebstwo pobudzało go do ostrożności. Ale w głosie Macka nie było nic poza wdzięcznością. Wiedział, jakie są uczucia Macka dla szczenięcia.

— Co słyhać w willi?

— Pierwszorządnie, Doktorze, pierwszorządnie. Mamy dwa nowe krzesła. Chciałbym, żeby nas pan kiedy odwiedził. Teraz jest tam całkiem przyjemnie.

— Przyjdę któregoś dnia. Eddie stale przynosi ten gąsiorek?

— Pewnie. Tylko, że już nie dolewa piwa i chyba teraz lepiej smakuje. Mocniejsze.



— I przedtem było mocne — stwierdził Doktor.

Mack czekał cierpliwie. Wcześniej czy później Doktor sam wpadnie na to, co trzeba. Wtedy wszystko będzie wyglądało mniej podejrzanie. Mack zawsze posługiwał się tą metodą.

— Magdy dawno nie było. Nie chory czasem? — Nie — odpowiedział Mack i rozpoczął atak. — Magda jest w porządku. On i Hughie strasznie się poprzytykali. Jakiś tydzień temu — zachichotał. — A najśmieszniejsze jest to, że chodzi o sprawę, o której ani jeden, ani drugi nie ma bladego pojęcia. Ja się nie wtrącałem, bo też nie mam pojęcia, ale oni kłócili się zęb za zęb. Jeden drugiego mało nie zadusił.

— A o co im chodzi? — zapytał Doktor.

— A więc to jest tak, proszę pana — wyjaśniał Mack. — Magda przez cały czas kupuje takie karty i wyszukuje szczęśliwe dni, gwiazdy i tym podobne rzeczy. A Hughie mówi, że to jest wszystko kupa bzdur. „Hughie — mówi Magda — jak wiesz, kiedy gość się urodził, możesz powiedzieć o nim wszystko”, zaś Hughie na to, że to tylko dyrdymałki do wyciągania forsy. Jeśli chodzi o mnie, to się na tym nie znam. A pan co sądzi, Doktorze?

— Jestem raczej po stronie Hughie’ego — rzekł Doktor. Zatrzymał młynek, wymył bęben i napełnił go niebieską substancją.

— Ostatniej nocy obaj bardzo się gorączkowali — ciągnął dalej Mack. — Spytali mnie, kiedy się urodziłem, to ja im powiedziałem, że dwunastego kwietnia, a Magda zaraz poszedł i kupił jedną z tych kart i przeczytał wszystko o mnie. Nie mogę powiedzieć, miejscami nawet się zgadzało. Ale tam przeważnie były same dobre rzeczy, a człowiek chętnie wierzy w dobre rzeczy o sobie. Było tam, że jestem dzielny i zdolny, i życzliwy dla przyjaciół. Jednakowoż Magda mówi, że to wszystko prawda. A kiedy są pana urodziny, Doktorze?

Pod koniec długiej dyskusji tego rodzaju pytanie brzmiało jak najbardziej rzeczowo. Mucha nie siada. Należy jednak wspomnieć, że Doktor znał Macka od bardzo długiego czasu. Gdyby go nie znał, powiedziałaby, że osiemnastego grudnia, kiedy rzeczywiście miał urodziny, nie zaś dwudziestego siódmego października, kiedy ich nie miał.

— Dwudziestego siódmego października — rzekł Doktor. — Niech pan spyta Magdy, co tam o mnie pisze.

— Możliwe, że to wszystko dyrdymałki — powiedział Mack — ale Magda bierze to na serio. Powiem mu, to pana sprawdzi, Doktorze.

Kiedy Mack wyszedł, Doktor zastanawiał się, co oznaczały te manewry. Bo wiedział, że to jakaś kombinacja. Znał technikę i metody Macka. Rozpoznał jego styl. Zastanawiał się, do jakiego celu potrzebna była Mackowi ta wiadomość. Dopiero później, gdy zaczęły się szerzyć różne pogłoski, Doktor dodał dwa do dwóch. Tymczasem odczuwał pewną ulgę, bowiem spodziewał się, że Mack będzie chciał wyciągnąć od niego trochę forsy.

## Rozdział 26

Dwaj mali chłopcy bawili się w warsztatach naprawy łodzi, aż jakiś kot zjawił się na płocie. Natychmiast rozpoczęli polowanie, przepędzili kota za tor, gdzie napchali kieszenie granitowymi kamieniami z nasypu. Kot im uciekł między wysokimi łodygami chwastów, ale zachowali kamienie, ponieważ rozmiarami, wagą i kształtem nadawały się doskonale do rzucania. Człowiek nigdy nie może wiedzieć, kiedy tego rodzaju kamień przyda się znowu. Skręcili nad Nadbrzeżną i brzęknęli kamieniem w blaszany front Wytwórni Konserw Mordena. Zdenerwowany mężczyzna wyjrzał przez okno biura, a następnie wyskoczył z budynku, ale chłopcy byli szybsi. Leżeli za drewnianą belką na placu, zanim zdążył podejść do drzwi. Nie znalazłby ich nawet za sto lat.

— Zakład, że mógłby nas szukać przez całe życie i figę by znalazł — powiedział Joey.

Znudzili się szybko swoją kryjówką, gdy nikt ich już nie szukał. Wyszli i powlekli się ulicą Nadbrzeżną. Długo patrzyli w okno wystawowe Lee Chonga podziwiając cząłki, kapsle, piłki ogrodnicze i banany. Przeszli przez ulicę i usiedli na najniższym stopniu schodów, które prowadziły na parter laboratorium.

Joey powiedział: — Wiesz, że ten facet ma dzieciaki w butelkach?

— Jakie dzieciaki? — spytał Willard.

— Regularne dzieciaki, tylko takie, co się jeszcze nie urodziły.

— Nie wierzę.

— Ale to prawda. Sprague je widział i mówił, że nie są większe jak palec i mają małe rączki i nóżki, i oczy.

— A włosy? — chciał wiedzieć Willard.

— Sprague nic nie mówił o włosach.

— Trzeba go było spytać. On jest łgarz.

— Żeby on to usłyszał, to by ci dał.

— Możesz mu powtórzyć. Ja się go nie boję ani ciebie. Nikogo się nie boję. Chcesz się bić?

Joey nie odpowiedział.

— No, chcesz się bić?

— Nie — odparł Joey — myślałem, żebyśmy mogli iść na górę i spytać, czy ten facet ma dzieciaki w butelkach. Może by nam pokazał, to znaczy, jak je rzeczywiście ma.

— Nie ma go w domu — powiedział Willard. — Jak jest w domu, to jego samochód tu stoi. Gdzieś pojechał. Uważam, że to musi być łgarstwo. Sprague jest łgarz. Ty też jesteś łgarz. Chcesz się bić?

Dzień był bardzo nudny. Willard musiał pracować ciężko, żeby wymyślić jakąś rozrywkę.

— Oprócz tego jesteś tchórz. Chcesz się bić?

Joey nie odpowiedział. Willard zmienił taktykę. — Gdzie jest teraz twój stary? — spytał swobodnym tonem.

— Umarł — odpowiedział Joey.

— Oh, tak? Nie słyszałem. Na co umarł?

Przez chwilę Joey milczał. Był pewny, że Willard wie, ale nie mógł pozwolić, żeby nie wiedział, nie walcząc z Willardem, a Joey bał się Willarda.

— Popelnił... zabił się sam.

— Tak? — twarz Willarda wydłużyła się. — A w jaki sposób?

— Zjadł truciznę na szczury.

Głos Willarda drżał teraz od śmiechu: — Co on? Myślał, że jest szczurem?

Joey zachichotał troszkę z tego żartu, tyle ile trzeba dla przyzwoitości.

— Musiał pomyśleć, że jest szczurem — krzyczał Willard. — Czy on latał na czworakach w ten sposób — patrz Joey — o w ten sposób? Czy marszczył nos, o tak? Czy miał taki długi, długi ogon? — Willard pękał ze śmiechu. — Dlaczego nie poszedł do pułapki na szczury i nie wsadził w nią głowy?

Obaj śmieli się z tego żartu. Rzeczywiście, Willardowi się udało. Potem spróbował czegoś innego:

— Jak on wyglądał, kiedy to zjadł? W ten sposób? — Zrobił zeza, otworzył usta i wywiesił język.

— Chorował przez cały dzień — powiedział Joey. — Umarł dopiero o północy. Bolało go.

Willard spytał:

— Dlaczego on to zrobił?

— Nie mógł dostać pracy — wyjaśniał Joey. — Prawie przez cały rok nie mógł dostać pracy. A chcesz usłyszeć kawał? Następnego dnia przyszedł jeden facet i chciał mu dać pracę.

Willard usiłował powtórzyć swój żart:

— Chyba on pomyślał, że jest szczurem — powiedział, ale żart nie zrobił wrażenia nawet na nim samym.

Joey wstał i wsadził ręce do kieszeni. Zobaczył miedziaka połyskującego w rynsztoku i poszedł w tamtym kierunku, ale w tej samej chwili, gdy podnosił monetę, Willard odepchnął go i zabrał ją sam.

— Ja to pierwszy zobaczyłem — krzyczał Joey. — To moje!

— Chcesz się bić? — powiedział Willard. — Idź, zjedz truciznę na szczury.

## Rozdział 27

Mack i chłopaki — Cnoty, Wdzięki i Gracje. Siedzieli w willi „Cichy Kącik” i byli kamieniem rzuconym do stawu, impulsem, który wysyłał fale na całą Nadbrzeżną i dalej — do Pacific Grove, do Monterey, a nawet za wzgórze Carmel.

— Tym razem — mówił Mack — musimy mieć pewność, że on będzie na przyjęciu. Nic nie urządzamy, gdyby go nie było.

— A gdzie to teraz urządzimy? — spytał Jones.

Mack przysunął krzesło do ściany i założył stopy za jego przednie nogi.

— Nad tym dużo się zastanawiałem — powiedział. — Oczywiście, moglibyśmy urządzić to u nas, ale trudno byłoby wtedy o niespodziankę. A Doktor lubi swoje mieszkanie. Ma tam muzykę. — Mack potoczył wkoło posępnym wzrokiem. — Nie wiem, kto popsuł jego fonograf ostatnim razem. Ale jeśli ktoś teraz dotknie tam choćby palcem, to duszę z niego wytrzęsę.

— Chyba będziemy musieli urządzić wszystko w jego mieszkaniu — mówił Hughie.

Nikt ludziom nie mówił o przyjęciu — świadomość przyjęcia narastała w nich stopniowo. Nikogo nie zapraszano. Ale każdy się wybierał. Dwudziesty siódmy październik był obwiedziony czerwonym kółkiem w umysłach wielu osób. A ponieważ miało to być przyjęcie urodzinowe, trzeba było zastanowić się nad prezentami.

Weźcie dziewczyny u Dory. Każda z nich przy tej czy innej okazji chodziła do laboratorium po radę, lekarstwo czy po prostu na niezawodową pogawędkę. I widziały łóżko Doktora. Było przykryte starym, spłowiałym, czerwonym kocem, postrzępionym i pełnym piasku, bowiem Doktor brał ten koc na swoje wyprawy. Kiedy napływały pieniądze, kupował urządzenia do laboratorium. Nigdy nie przyszło mu do głowy kupić nowy koc dla siebie. Dziewczyny robiły dla niego pikowaną kołdrę, piękną kołdrę z jedwabiu. A ponieważ większa część jedwabiu pochodziła z bielizny i wieczorowych sukien, kołdra pyszniła się pasami koloru różowego, orchidei, jasnożółtego i woskowego. Pracowały nad nią późnym rankiem i po południu, gdy chłopcy z floty rybackiej jeszcze nie przybyli. Wobec tego społecznego wysiłku wszelkiego rodzaju starcia i złe nastroje, nieodłączne od

burdelu, całkowicie zniknęły. Lee Chong wyciągnął i obejrzał dokładnie dwudziestopięciostopowy sznur fajerwerków i wielką torbę cebulek chińskiej lili. Według jego sposobu myślenia, były to najpiękniejsze prezenty, jakie sobie można wymarzyć na urodziny.

Sam Malloy miał od dawna własny pogląd na antyki. Wiedział, że stare meble, szkło i porcelana, które nie były wartościowe w swoim czasie, z upływem lat mogą stać się pożądane i cenne, niezależnie od ich piękności i użyteczności. Słyszał o pewnym krześle, za które zapłacono pięćset dolarów. Malloy zbierał części historycznych samochodów i wyznawał przekonanie, że pewnego dnia jego kolekcja uczyni go bardzo bogatym człowiekiem i spocznie na czarnym aksamicie w najlepszych muzeach. Długo rozmyślał o urodzinach, a następnie dokonał przeglądu swych skarbów, które trzymał w wielkiej zamkniętej na kłódkę skrzyni za kotłem. Zdecydował się ofiarować Doktorowi jeden ze swych najpiękniejszych eksponatów — korbówód i tłok od Chalmersa, model 1916. Tarł i polerował swoje cacko, aż wreszcie błyszczało jak część starej zbroi. Zrobił na nie specjalne pudełko, które okleił czarną tkaniną.

Mack i chłopaki dokładnie przemyśleli cały problem i doszli do wniosku, że Doktor zawsze potrzebuje kotów, a ma pewne trudności w ich zdobywaniu. Mack sporządził podwójną klatkę. Wypożyczyli kotkę w interesującym stanie i ustawili pułapkę pod cyprysem na pustym placu. W rogu willi wybudowali klatkę z drutu i ich kolekcja gniewnych kocurów zwiększała się co noc. Jones dwa razy dziennie musiał chodzić do wytwórni konserw po rybne łebki na pokarm dla więźniów. Mack uważał, i słusznie, że dwadzieścia pięć kotów będzie najpiękniejszym prezentem dla Doktora.

— Żadnych dekoracji tym razem — mówił Mack. — Tylko normalne, solidne przyjęcie i mnóstwo picia.

Gay usłyszał o przyjęciu w więzieniu Salinas. Zawarł umowę z szeryfem, że dostanie przepustkę na tę noc, i pożyczył od niego dwa dolary na powrotny bilet autobusowy. Gay był bardzo uprzejmy dla szeryfa, który nie był tego rodzaju człowiekiem, żeby nie potrafił się odwdziżyć, zwłaszcza że zbliżały się wybory, a Gay mógł, a przynajmniej mówił, że może, dostarczyć kilku głosów. Poza tym Gay mógł wyrobić złą opinię więzieniu w Salinas, gdyby miał ochotę.

Henri zdecydował się nagle na staromodną poduszkę zdobioną szpilkami. Sztuka tego typu osiągnęła pełnię rozkwitu w latach dziewięćdziesiątych, a potem została zarzucona. On ją wskrzesił i zachwycał się tym, co można osiągnąć za pomocą kolorowych szpilek. Obraz nigdy nie był ukończony — zawsze można go było zmienić

wbijając w innym porządku szpilki. Przygotowywał kilka takich poduszek na swoją jednoosobową wystawę, gdy usłyszał o przyjęciu i natychmiast porzucił własne poduszki, i zaczął robić ogromną poduchę dla Doktora. Miała zawikłany i wyzywający wzór z zielonych, żółtych i niebieskich szpilek z przewagą chłodnych barw i nosiła tytuł: „Wspomnienie prekambryjskie”.

Przyjaciel Henri'ego, Eric, utalentowany fryzjer, kolekcjoner pierwszych wydań autorów, którzy nigdy nie mieli drugiego wydania, zdecydował ofiarować Doktorowi maszynę do treningu wioślarskiego. Zyskał ją po bankructwie pewnego klienta, co nie płacił rachunków za strzyżenie i golenie w ciągu trzech lat. Maszyna do treningu wioślarskiego była w doskonałym stanie. Nikt na niej wiele nie wiosłował. I nikt nawet nie używa maszyn do treningu wioślarskiego.

Spisek się rozszerzał, trwały nie kończące się wzajemne odwiedziny, dyskusje o prezentach, o napitkach, o tym, o której godzinie się wszystko zacznie, i że nikt nic nie może powiedzieć Doktorowi.

Doktor nic nie rozumiał, gdy po raz pierwszy zauważył, że coś się koło niego dzieje. Gdy wchodził do sklepu Lee Chonga, rozmowy urywały się. Najpierw zdawało mu się, że ludzie odnoszą się do niego chłodno. Kiedy wreszcie z pół tuzina osób spytało go, co zamierza robić dwudziestego siódmego października, był tym bardzo zaintrygowany, ponieważ zapomniał, że podał ten dzień jako datę swoich urodzin. W owym czasie zainteresował go horoskop fałszywej daty urodzenia, ale Mack nigdy o tym więcej nie mówił, tak że Doktor o wszystkim zapomniał.

Pewnego dnia wpadł do restauracji przy szosie, ponieważ mieli tam piwo z beczki, jakie lubił, i trzymali je we właściwej temperaturze. Wychylił pierwszą szklankę i miał zamiar pocieszyć się następną, gdy usłyszał, że jakiś pijany mówi do barmana:

— Pan idzie na przyjęcie?

— Jakie przyjęcie?

— No — powiedział pijak tajemniczym tonem — pan zna przecież tego Doktora z Nadbrzeżnej.

Barman spojrzał po sali, a potem opuścił oczy.

— Tak — mówił pijany. — Urządzają mu przyjęcie jak cholera na jego urodziny.

— Kto?

— Wszyscy.

Doktor zastanowił się. W ogóle nie znał tego człowieka.



Jego reakcja na wiadomość nie była zbyt prosta. Czuł wielkie ciepło, że chcą mu urządzić przyjęcie, i jednocześnie burzył się wewnątrz, gdy wspominał ostatnie przyjęcie.

Teraz wszystko się łączyło — pytanie Macka i chwile milczenia, gdy wchodził do Lee Chonga. Długo o tym rozmyślał siedząc w nocy przy swoim biurku. Rozglądał się po mieszkaniu, rozważając, które przedmioty należy pochować i zamknąć na klucz. Wiedział, że to przyjęcie będzie go drogo kosztowało.

Następnego dnia zaczął robić przygotowania. Najlepsze płyty wyniósł do tylnego pokoju, gdzie je można było zamknąć na klucz. Wynosił tam również wszystkie kruche przyrządy laboratoryjne. Wiedział, jak to będzie — jego goście przyjdą głodni, a nie przyniosą nic do jedzenia. Będą się pokrzepiać alkoholem jak zwykle. Trochę niechętnie poszedł na bazar, gdzie znał pewnego doskonałego i rozsądnego rzeźnika. Obaj zastanowili się nad mięsem. Doktor zamówił piętnaście funtów kotletów, dziesięć funtów pomidorów, dwanaście główek sałaty, sześć bochenków chleba, wielki słój masła kokosowego i drugi — malinowego dżemu, pięć galonów wina i cztery kwarty dobrej, mocnej, ale nie luksusowej whisky.

Wiedział, że będzie miał kłopoty z bankiem na pierwszego. Myślał, że jeszcze trzy albo cztery takie przyjęcia i straci całe laboratorium.

W tym czasie planowanie na Nadbrzeżnej osiągało *crescendo*. Doktor miał rację — nikt nie myślał o jedzeniu, gromadzono tylko ćwiartki i kwarty. Wzrastał zbiór prezentów, a lista gości, gdyby ją ułożono, przypominałaby raczej powszechny spis ludności. Pod Niedźwiedzią Flagą toczyły się bez przerwy dyskusje na temat strojów. Ponieważ dziewczęta nie szły do Doktora w charakterze urzędowym, nie chciały więc się ubierać w długie wieczorowe suknie, które stanowiły ich mundury. Zdecydowały się na sukienki wyjściowe. Cała wizyta nie była tak prosta, jakby się wydawało. Dora nastawiała, by zostawić na miejscu część załogi dla obsługi regularnych. Należało podzielić ją na dwie zmiany i część musiała zostać, póki jej nie zastąpi druga zmiana dziewcząt. Miały pracować za te, które pierwsze pójdą na przyjęcie. Te pierwsze miały zobaczyć twarz Doktora, gdy dostanie piękną jedwabną kołdrę. Trzymały ją na ramie w jadalni i była już prawie gotowa. Pani Malloy szydełkowała sześć serwetek pod szklanki dla Doktora. Pierwotne podniecenie minęło już na Nadbrzeżnej, a jego miejsce zajęła śmiertelna powaga. W klatce w willi „Cichy Kącik” siedziało już piętnaście kotów, a ich wrzaski w nocy nieco denerwowały Luba.

## Rozdział 28

Wcześniej czy później Frankie musiał się dowiedzieć o przyjęciu. Bowiem Frankie snuł się wokół jak mała chmurka. Gdziekolwiek zebrała się grupka ludzi, Frankie zawsze był w pobliżu. Nikt go nie spostrzegł ani nie zwracał na niego uwagi. Nikt nie wiedział, czy Frankie słucha, czy nie. Ale Frankie usłyszał o przyjęciu i o prezentach i uczucie zaczęło wzbierać w jego piersi, uczucie chorobliwego pożądanego.

W oknie zakładu jubilerskiego Jacobsa znajdowała się najpiękniejsza rzecz w świecie. Stała tam od dawna. Był to zegar z czarnego onyksu ze złotym cyferblatem, a na jego wierzchu umieszczono prawdziwe чудо. Znajdowała się tam grupa z brązu — święty Jerzy zabijający smoka. Smok leżał na plecach wyciągając pazury, a w jego piersi tkwiła włócznia świętego Jerzego. Święty był w pełnej zbroi z podniesioną przyłbicą i jechał na tłustym koniu o wielkim zadzie. Włócznią przyspilił smoka do ziemi. Ale najcudowniejsze było to, że święty nosił bródkę w szpic i trochę był podobny do Doktora.

Frankie przychodził po kilka razy w tygodniu na ulicę Alvarado, by postać przy wystawie i popatrzeć na to чудо. Śnił o nim również, śnił o tym, jak palcami dotyka bogatego, gładkiego brązu. Rozmyślał o zegarze od wielu miesięcy, gdy nagle usłyszał o przyjęciu i o prezentach.

Frankie stał na chodniku przez godzinę, zanim wszedł do środka.

— No? — spytał pan Jacobs. Przeprowadził szybką wizualną taksację Frankie'ego, gdy ten wchodził do sklepu, i wiedział, że nie stać go nawet na siedemdziesiąt pięć centów.

— Ile to kosztuje? — spytał Frankie nieśmiało.

— Co?

— To.

— Chodzi ci o zegar? Pięćdziesiąt dolarów. Razem z grupą siedemdziesiąt pięć dolarów.

Frankie wyszedł bez słowa. Poszedł na plażę, wpełznął pod leżącą do góry dnem łódź i patrzył na malutkie fale. Brązowe чудо wbiło się tak mocno w jego głowę, że

zdawało mu się, iż stoi tuż przed nim. Ogarnęło go uczucie jakiegoś niepokoju. Musi to zdobyć. Oczy jego stały się dzikie, gdy o tym myślał.

Siedział pod łodzią przez cały dzień, a w nocy wylazł i wrócił na ulicę Alvarado. Podczas gdy ludzie szli do kina, wychodzili stamtąd i szli do Golden Poppy, spacerował po chodniku. I wcale się nie zmęczył ani nie chciało mu się spać, bowiem piękno paliło go jak ogień.

Wreszcie ludzi było coraz mniej, stopniowo znikali z ulic, parkujące samochody poodjeżdżały i miasto zabierało się do snu.

Policjant podszedł do Frankie'ego.

— Co ty tu robisz? — spytał.

Frankie wziął nogi za pas, uciekł za róg i skrył się za beczką stojącą w zaułku. O drugiej trzydzieści podkraść się do drzwi Jacobsa i nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Frankie wrócił za beczkę w zaułku i myślał. Koło beczki znalazł kawałek cegły i podniósł go.

Policjant meldował, że usłyszał brzęk i przybiegł na miejsce. Okno wystawowe Jacobsa było wybite. Zobaczył chłopca, który szybko się oddalał. Zaczął go ścigać. Nie rozumie, jak chłopak mógł biec tak daleko i tak szybko, niosąc ciężar wagi pięćdziesięciu funtów, ale o mało nie uciekł. Gdyby nie wpadł w ślepy zaułek, na pewno by mu się udało.

Komendant zatelefonował rano do Doktora: — Mógłby pan do nas wpaść? Chciałem z panem pogadać.

Przyprowadzili Frankie'ego. Był bardzo umorusany. Oczy miał czerwone, ale zaciskał usta, a nawet trochę uśmiechnął się na powitanie, gdy zobaczył Doktora.

— Co się stało, Frankie? — spytał Doktor.

— Włamał się do Jacobsa dziś w nocy — rzekł komendant. — Ukradł coś. Skomunikowaliśmy się z jego matką. Mówi, że to nie jej wina, bo on przesiaduje u pana przez cały czas.

— Frankie... nie powinieneś być tego zrobić — powiedział Doktor. Ciężki kamień przytłaczał mu serce. — Nie moglibyście go zwolnić za moim poręczeniem?

— Wątpię, czy się sędzia na to zgodzi — powiedział komendant. — Otrzymaliśmy wyniki badań psychiatrycznych. Wie pan, co z nim jest?

— Tak. Wiem — powiedział Doktor.

— I wie pan, co się może stać, gdy on będzie starszy?

— Wiem — potwierdził Doktor, a kamień przytłaczał jego serce straszliwym ciężarem.

— Lekarz uważa, że najlepiej będzie oddać go do zakładu. Przedtem nie mieliśmy podstaw, ale teraz popełnił przestępstwo. Chyba tak będzie najlepiej.

Frankie słuchał i radość zamarła w jego oczach.

— Co on zabrał? — spytał Doktor.

— Wielki zegar z brązową statua.

— Zapłacę za to.

— Oh, odebraliśmy mu. Wątpię, czy sędzia będzie chciał nawet słyszeć o zwolnieniu. W każdej chwili może się powtórzyć coś podobnego. Wie pan przecież.

— Tak — powiedział Doktor miękko. — Wiem. Ale może miał jakiś powód. Frankie, dlaczego to zrobiłeś?

Frankie długo patrzył na Doktora.

— Ja pana kocham — powiedział.

Doktor uciekł, skoczył do samochodu i pojechał na połów do grot w okolicy Pt. Lobos.

## Rozdział 29

O godzinie czwartej po południu, dwudziestego siódmego października, Doktor skończył butelkowanie meduz. Wymył naczynie po formalinie, oczyścił narzędzia, posypał proszkiem i ściągnął gumowe rękawiczki. Poszedł na górę, nakarmił szczury i wyniósł niektóre ze swoich najlepszych płyt i mikroskopy do tylnego pokoju. Potem zamknął go na klucz. Niekiedy zdarza się, że podgazowany gość chce się bawić z grzechotnikami. Robiąc staranne przygotowania, przewidując możliwości, Doktor miał nadzieję uczynić przyjęcie jak najmniej niebezpiecznym, nie czyniąc go jednocześnie nudnym.

Nastawił dzbanek z kawą, puścił *Wielką Fugę* na fonografie i wziął natrysk. Robił to bardzo szybko, bo już był ubrany w czyste ubranie i pił filiżankę kawy, zanim muzyka się skończyła.

Spojrzał przez okno na plac i w stronę willi, ale nikt się tam nie ruszał. Doktor nie wiedział, kto i ile osób złoży mu wizytę. Ale wiedział, że jest pod obserwacją. Miał to uczucie przez cały dzień. Nie to, żeby kogoś widział, ale ciągle jakaś osoba czy też kilka osób miało go na oku. A więc to niespodzianka. Dobrze, może mieć niespodziankę. Będzie postępował tak, jakby się niczego nie spodziewał. Poszedł do Lee Chonga i kupił dwie kwarty piwa. Wydawało mu się, że w twarzach państwa Lee widzi tłumione orientalne podniecenie. A więc oni również przyjdą. Doktor wrócił do laboratorium i nalał szklanek piwa. Pierwszą wypił tylko z pragnienia, a drugą dla smaku. Plac i ulica nadal były puste.

Mack i chłopaki siedzieli w willi zamknawszy drzwi. Przez całe popołudnie w piecu aż dudniło, grzała się bowiem woda na kąpiel. Nawet Luba została wykąpana, a na szyi zawiązano jej czerwoną wstążkę.

— Jak myślicie? O której mamy tam iść? — spytał Magda.

— Chyba nie wcześniej niż o ósmej — powiedział Mack. — Ale nie widzę w tym nic złego, gdybyśmy wypili po jednym malutkim, żeby się trochę rozkręcić.

— A może by tak trochę rozkręcić Doktora? — zaproponował Hughie. — Może mu zanoszę butelkę jakby nigdy nic?

— Nie — zaprotestował Mack. — Doktor właśnie poszedł do Lee Chonga po piwo.

— Myślisz, że czegoś się spodziewa? — zapytał Jones.

— Skądby wiedział! — oburzył się Mack.

W rogu klatki dwa koty zaczęły bójkę, a cała klatka zareagowała na to mrauczeniem i zjeżonymi grzbietami. Było w niej tylko dwadzieścia jeden kotów. Więcej nie udało się złapać.

— Zastanawiam się, jak my dostarczymy te koty? — zaczął Magda. — Ta klatka nie przejdzie przez drzwi.

— Wcale nie zaniemiemy — wyjaśnił Mack. — Pamiętajcie, jak to było z żabami. Nie, powiemy tylko Doktorowi, że koty są. Może przyjdź do nas i sam je odebrać.

Mack wstał i otworzył jeden z gąsiorków Eddie'ego.

— Musimy się trochę rozkręcić — oświadczył. O piątej trzydzieści stary Chińczyk przeczłapał koło willi. Przeszedł przez plac, ulicę i zniknął między Zachodnim Laboratorium Biologicznym i Hediondo.

Pod Niedźwiedzią Flagą dziewczyny przygotowywały się. Wystawiono posterunek zmieniany co godzina. Ciągnęły słomki, która z nich zajmie punkt obserwacyjny.

Dora była wspaniała. Miała obrączkę na palcu i wielką diamentową broszkę na piersi oraz suknię z białego jedwabiu w czarny wzór. W pokojach sypialnych odbywała się odwrotność zwykłej procedury.

Dziewczyny, które miały zostać, ubrały się w długie wieczorowe suknie, a te, które wychodziły, miały krótkie sukienki i wyglądały bardzo pięknie. Kołdra ukończona i złożona leżała w wielkim tekturowym pudle w barze. Wykidajło boczył się nieco, ponieważ zdecydowano, że nie może iść na przyjęcie. Ktoś musiał pilnować domu. Wbrew zakazom, każda z dziewczyn miała ukrytą ćwiartkę i czekała na sygnał, by wzmocnić się nieco przed uroczystością.

Dora popłynęła majestatycznie do swego gabinetu i zamknęła drzwi. Otworzyła górną szufladę, wyjęła butelkę i szklaneczkę i nałała sobie łyk. Butelka szczęknęła lekko o szklaneczkę. Dziewczyna, podsłuchująca pod drzwiami, usłyszała szcęk i podała wiadomość dalej. Dora od tej chwili nie mogła już poczuć zapachu alkoholu. Dziewczyny pobiegły do swoich pokojów i powyciągały swoje ćwiartki. Zmierzch zapadł nad Nadbrzeżną, szara godzina między światłem dnia a światłem latarni. Phyllis Mae wyglądała zza firanki we frontowym salonie.

— Widzisz go? — spytała Doris.

— Tak. Zapalił światło. Siedzi, tak jakby czytał. Jezu, ile ten człowiek czyta! Zrukuje sobie oczy. W ręku ma szklanekę z piwem.

— Dobrze — powiedziała Doris. — Sądzę, że my też mogłybyśmy się napić kropelkę.

Phyllis Mae utykała jeszcze trochę, ale po tak długiej przerwie była jak nowa w zakładzie. Mówiła, że może się wziąć za radnych miejskich.

— Jakie to śmieszne — rzekła. — Siedzi tam i nie wie, co będzie.

— Nigdy do nas nie przychodzi — powiedziała Doris trochę smutno.

— Dużo facetów nie chce płacić — rzekła Phyllis Mae. — Kosztuje ich więcej, ale zdaje im się, że to inaczej.

— Może, u diabła, on je lubi.

— Lubi kogo?

— No, te dziewczyny, które do niego przychodzą.

— Oh, tak... może i lubi. Ja tam chodziłam. Nigdy nawet nie spróbował.

— Pewnie, że nie — rzekła Doris. — Ale to nie znaczy, że jakbyś tu nie pracowała, to by cię tak łatwo wypuścić.

— Myślisz, że nie podoba mu się nasz zawód?

— Nie, o tym w ogóle nie myślałam. Prawdopodobnie on sobie wyobraża, że dziewczyna, która tu pracuje, zachowuje się inaczej.

Znowu wypili po jednym.

W swoim gabinecie Dora naląła sobie jeszcze raz, wychyliła szklaneczkę i znów zamknęła szufladę. Poprawiła swoje wspaniałe włosy przed lustrem, spojrzała uważnie na połyskujące czerwone paznokcie i wyszła do baru. Alfred wykidajło siedział rozżalony. Nic nie mówił ani nie miał kwaśnej miny, ale wyraźnie unikał wzroku Dory. Dora spojrzała na niego chłodno.

— Zdaje mi się, że masz muchy w nosie, co?

— Nie — odrzekł Alfred. — Można by powiedzieć, że wszystko odbywa się jak zwykle.

To bardzo dotknęło Dorę: — Jak zwykle? Pan ma posadę, panie szanowny. Chce pan ją utrzymać czy nie?

— Wszystko jest jak zwykle — odparł Alfred lodowato. — Ja nie narzekam.

Oparł łokcie na barze i studiował swoją twarz w lustrze.

— Idźcie i bawcie się — dodał. — Będę wszystkiego pilnował. Nie potrzebujecie się martwić.

Jego cierpienie zmiękczyło Dorę. — Słuchaj — powiedziała. — Nie chciałabym zostawić zakładu bez mężczyzny. Jakiś łobuz może rozrabiać, a córuchny nie dadzą sobie

z nim rady. Ale trochę później będziesz mógł wpaść i mieć stamtąd oko na zakład. Może tak da się załatwić. Będziesz widział, gdyby się coś stało.

— Dobra — rzekł Alfred. — Chętnie przyjdę.

Pozwolenie ucieszyło go.

— Później wpadnę na minutkę albo dwie. Strasznie się uchlali wczoraj w nocy. I nie wiem, Dora... od tego czasu, jak uszkodziłem tamtego faceta, jakbym stracił nerwy. Jeszcze któregoś dnia wyślę kogo do parku sztywnych i wsadzą mnie do kicia.

— Potrzebujesz odpoczynku — zawyrokowała Dora. — Możliwe, że wezmę Macka na zastępstwo, a ty dostaniesz ze dwa tygodnie urlopu.

Dora była nadzwyczajną madamą. Naprawdę.

Tymczasem w laboratorium Doktor wypił troszkę whisky po piwie. Czuł się nieco roztkliwiony. Wydawało mu się to piękne, że chcą dla niego urządzić przyjęcie. Odegrał *Odę do zmarłej księżniczki* i poczuł, że ogarnął go sentymentalny i nieco smutny nastrój. I wskutek tego nastroju wziął się do *Dafnis i Chloe*. Był tu pasaż, który przypominał mu coś jeszcze. Ateńczycy, którzy obserwowali bitwę pod Maratonem, mówili, że widać było wielką ścianę kurzu przesuwającego się przez równinę, że słyszeli szczęk broni, a potem rozległa się pieśń eleuzyńska. I właśnie muzyka przypominała mu ten obraz.

Gdy płyta się skończyła, znowu pociągnął whisky i zastanawiał się nad *Brandenburgiem*. To wyrwałoby go ze słodkiego, ckiego nastroju. Ale dlaczego nie może trwać w słodkim i ckiem nastroju? Ten nastrój był raczej przyjemny. — Mogę grać, co mi się podoba — powiedział głośno. — Mogę zagrać *Clair de Lune* czy też *Dziewczynę o lnianych włosach*. Jestem wolnym człowiekiem. — Znowu nalał i wypił whisky. I poszedł na kompromis grając *Sonatę księżycową*. Widział, jak mruga neon La Idy. A później zapaliła się latarnia przed Dorą.

Szwadron ogromnych brązowych chrabąszczy runął na światło, po czym chrabąszcze pospadały na ziemię i poruszały się niemrawo macając czułkami. Jakaś kotka spacerowała samotnie rynsztokiem szukając przygód. Zastanawiała się, co się stało z tymi wszystkimi samcami, dzięki którym życie było interesujące, a noce — upojne.

Pan Malloy wyczołgał się na czworakach z kotła, by sprawdzić, czy ktoś już poszedł na przyjęcie. W willi chłopaki kręcili się niespokojnie, wbijając oczy w czarne wskazówki budzika.



## Rozdział 30

Naturę przyjęć badano dotychczas bardzo powierzchownie. Na ogół jednak rozumie się, że przyjęcia mogą cierpieć na schorzenia patologiczne, że przyjęcie jest do pewnego stopnia żywą istotą, niekiedy nawet bardzo przewrotną istotą. I na ogół wiadomo, że przyjęcie prawie nigdy nie przybiega tak, jak organizatorzy planowali i przewidywali. Z wyjątkiem oczywiście tych odrażających, niewolniczych przyjęć, tresowanych, kontrolowanych i nadzorowanych przez despotyczne panie domu. To nie są przyjęcia, lecz akty i demonstracje, tak spontaniczne jak ruchy trawienne jelit i tak interesujące jak ich końcowy produkt.

Prawdopodobnie każdy z mieszkańców Nadbrzeżnej projektował sobie w wyobraźni, jak przyjęcie będzie wyglądało — okrzyki powitania, życzenia, gwar i radosny nastrój. A w ogóle w ten sposób się to nie zaczęło. Punktualnie o ósmej Mack i chłopaki, wyczesani i czyści, porwali za gąsiorki, pomaszerowali przez mostek nad torem kolejowym, przez plac i ulicę i wspięli się na schody Zachodniego Biologicznego. Wszyscy czuli tremę. Doktor otworzył drzwi, a Mack wygłosił małe przemówienie:

— Ponieważ dziś są poniekąd urodziny pana Doktora, ja i chłopaki pomyśleliśmy sobie, że złożymy panu życzenia wszystkiego najlepszego, i złapaliśmy dwadzieścia jeden kotów jako prezent dla pana Doktora.

Urwał, a oni stali zakłopotani na schodach.

— Wejdźcie — powiedział Doktor. — No... jestem zaskoczony. Nawet nie wiedziałem, że wiecie, iż dziś są moje urodziny.

— Wszystko samce — odezwał się Magda. — Nie przynieśliśmy ich ze sobą.

Usiedli uroczyście w pokoju po lewej stronie. Zapadła długa cisza.

— No, jak już tu jesteście — powiedział Doktor — to może się czegoś napijemy?

Odezwał się Mack: — Przynieśliśmy trochę do picia — i wskazał na trzy gąsiorki, które Eddie uzbierał.

— Nie ma w nich piwa — powiedział Eddie.

Doktor ukrył odruch obrzydzenia. — Nie -

rzekł. — Wypada, żebym ja postawił. Przypadkowo mam trochę whisky.

Jeszcze siedzieli sztywno i delikatnie sączyli whisky, gdy weszła Dora z dziewczętami. Wręczyły Doktorowi kołdrę. Położył ją na swoim łóżku. Była prześliczna. Zgodziły się na mały kieliszek. Z kolei zjawili się państwo Malloy ze swymi prezentami.

— Ludzie nie wiedzą, co tego rodzaju rzeczy będą jeszcze warte — oświadczył Sam Malloy wyciągając tłok i korbówód Chalmersa model 1916. — Prawdopodobnie nie ma nawet trzech egzemplarzy tego typu na świecie.

Teraz ludzie nadciągali całym tłumem. Przybył Henri z olbrzymią poduszką naszpikowaną szpilkami. Zamierzał wygłosić odczyt o swej nowej formie sztuki, ale w tym czasie pierwsze lody zostały już przełamane. Przybyli pan i pani Gay. Lee Chong wręczył Doktorowi wielki sznur fajerwerków i cebulki chińskich lilii. Ktoś zjadł cebulki o godzinie jedenastej, ale fajerwerki przetrwały dłużej. Grupa mało znanych osób przybyła z La Ida. Sztywność szybko się ulatniała. Dora siedziała na czymś w rodzaju tronu, a jej pomarańczowe włosy płonęły. Szklaneczkę z whisky trzymała delikatnie, odchylając mały palec. I miała oko na dziewczyny, czy zachowują się przyzwoicie. Doktor puścił muzykę taneczną na fonografie i poszedł do kuchni smażyć kotlety.

Pierwsza bójka nie była groźna. Jeden z członków grupy, która przybyła z La Ida, uczynił nieprzyzwoitą propozycję którejś z dziewcząt Dory. Ona zaprotestowała, a Mack i chłopaki, rozgniewani na pogwałcenie zasad dobrego tonu, wyrzucili gościa szybko i bez potłuczenia czegokolwiek. Czuli się doskonale, gdyż w ten sposób zmazywali dawny swój grzech.

W kuchni Doktor smażył kotlety na trzech patelniach, pokroił pomidory i chleb. Był w dobrym nastroju. Mack osobiście zajmował się fonografem. Znalazł komplet Benny Goodmana. Ruszono do tańca i zabawa zaczęła przybierać na sile i rozmachu. Eddie wszedł do biura i wykonał trepaka. Doktor wziął ze sobą do kuchni ćwiartkę i pokrzepiał się przy pracy. Czuł się coraz lepiej. Wszyscy się zdziwili, gdy podał mięso. Nikt właściwie nie był głodny, ale w mgnieniu oka wymieciono wszystko do czysta. Jedzenie wprawiło zebranych w coś w rodzaju głębokiego trawiennego smutku. Whisky się skończyła i Doktor wyciągnął wino.

Dora, już zdetronizowana, rzekła:

— Doktorze, niech pan zagra coś z tej ładnej muzyki. Mam po uszy tego mojego automatu w domu.

Wtedy Doktor puścił *Ardo* i *Amor* z kompletu Monteverdiego. A goście siedzieli w milczeniu, zatapiając się w głębi swych dusz. Dora wchłaniała piękno. Dwaj nowi

przybysze weszli po cichu. Doktor czuł złoty, rozkoszny smutek. Goście milczeli, gdy muzyka się skończyła. Doktor wziął książkę i przeczytał jasnym, głębokim głosem:

*Nawet teraz  
Widzę Ją w duszy — piękną o piersiach cytryny,  
O twarzy jako gwiazdy nocy złote,  
Krażące nad nią; jej ciało ogarnięte żarem,  
Ranne płonącym miłości oszczepem;  
Moją pierwszą ze wszystkich — ją widzę i wtedy  
Chłód wiecznych śniegów moje serce ścina.*

*Nawet teraz,  
Gdyby moja dziewczyna o oczach lotosu  
Przyszła znów do mnie znużona brzemieniem  
Młodej miłości, wziąłbym ją w ramiona  
I z ust jej spijał znowu mocne wino  
Jak mały pirat-pszczoła w lekkim locie  
Miód słodki spija z nenufaru kwiatów.*

*Nawet teraz,  
Gdybym ujrzął, jak leży otwierając oczy  
W niemym pragnieniu, a jej blade ciało  
Tak cierpi wskutek mego oddalenia,  
Moja miłość stałaby się więzami kwiatów, a noc  
— czarnowłosą kochanką na dnia piersiach.*

*Nawet teraz  
Moje oczy, co nic nie widzą więcej, wciąż malują  
Twarz straconej dziewczyny. O, złote pierścienie  
Dotykały policzków jak magnolii płatki,  
Jak najbielszy pergamin, gdzie me wargi biedne  
Pisały pocałunków wspaniałe oktawy,  
Pisały, ale więcej już pisać nie będą.*

*Nawet teraz  
W godzinę śmierci widzę drżenie jej zmęczonych powiek  
Nad dzikimi oczyma i jej szczupłe ciało  
Wiotkie radosnym rozkoszy znużeniem;  
Czerwone kwiatki piersi były mi pociechą,  
Wargi szkarłatne, które zwałem swymi,  
Były natchnieniem mym i moją troską.*

*Nawet teraz  
Plotą o jej słabości po wszystkich bazarach,  
Jej, co tak silna była, gdy mnie miłowała.  
Ludzie, co brzęczą srebrem, chociaż są rabami,  
Marszczą tłuszcz wokół oczu; a Jednak  
Żaden Książę Miast Morza nie wziął jej do swego  
Łoża straszego. Mała samotnico,*

*Przylegałaś do mnie jak szata przylega, dziewczyno.*

*Nawet teraz  
Kocham podłużne oczy, co pieszczą jak jedwab,  
Stale smutne i stale śmiejące się oczy,  
Których rzęsy rzucają we śnie cień tak słodki,  
że wygląda jak drugie cudne Jej spojrzenie.  
Kocham jej usta świeże, ach, pachnące usta.  
Włosy faliste, jak dym delikatne,  
Lekkie palce i uśmiech jak szmaragd błyszczący.*

*Nawet teraz  
Pamiętam jeszcze twą odpowiedź cichą,  
Byliśmy jedną duszą, twa ręka w mych włosach,  
I wspomnienie płonące na twych wargach bliskich:  
Widziałam, jak Kati kapłanki kochają,  
A potem w wykładanej dywanami sali  
Rzucają się niedbale gdziekolwiek do snu.<sup>1</sup>*

Kiedy skończył, Phyllis Mae płakała nie kryjąc się z tym wcale, a nawet Dora coś tam poprawiała przy oczach. Magdę tak porwało brzmienie słów, że wcale nie słuchał ich znaczenia. Ale małe słówko — smutek — przeniknęło wszystkich. Każdy wspominał straconą miłość, jakiś dawny, tajemny zew.

Mack powiedział: — Jezu, ależ to ładne. Przypomina mi pewną panią...

Urwał. Napełnili szklanki winem i milczeli. Słodki smutek rozsnuwał się nad zabawą. Eddie wyszedł do biura, wykonał krótkiego trepaka, wrócił i usiadł znowu. Przyjęcie miało zamiar się skończyć i pójść spać, gdy dał się słyszeć tupot nóg po schodach. Donośny głos zawołał:

— Gdzie są dziewczynki?

Mack zerwał się prawie szczęśliwy i szybko skierował się ku drzwiom. Uśmiech radości opromienił twarze Hughie'ego i Jonesa.

— O jakie dziewczynki panu chodzi? — spytał Mack miękko.

— Tu jest burdel? Szofer taksówki powiedział, że one są tutaj.

— Pan się myli, panie szanowny — w głosie Macka dzwięczała radość.

— A to co za panie?

Wtedy zaczęła się bitwa. Przybysze z załogi trawlera z San Pedro byli twardymi, starymi weteranami bójek. Runęli jak burza na gości. Każda z dziewczyn Dory zdjęła pantofel i trzymała go za czubek. W wirze walki tłukły mężczyzn po głowach grotami obcasów. Dora skoczyła do kuchni i wypadła z wielkim krzykiem dierząc maszynkę do

mięsa. Nawet Doktor był szczęśliwy używając w charakterze cepów tłoka i korbowodu Chalmersa model 1916.

Walka była zacięta. Magda pośliznęła się i dostała dwa kopniaki w twarz, zanim zdążył się podnieść na nogi. Piec runął z trzaskiem. Przyciśnięci do muru przybysze bronili się ciężkimi książkami z półek. Ale stopniowo wypierano ich. Dwa frontowe okna pękły. Nagle Alfred, który usłyszał awanturę, zaatakował napastników od tyłu swą ulubioną bronią — kijem bilardowym. Walka wrzała na schodach, na ulicy i placu. Frontowe drzwi znowu wisiły koślawo na jednej zawiasie. Koszula Doktora była rozerwana, a z jego mocnego ramienia spływała krew. Nieprzyjaciół wyparto już do połowy placu, gdy zawyła syrena. Goście Doktora ledwie zdążyli wejść do laboratorium, naprawić drzwi i zgasić światło, gdy nadjechał wóz policyjny. Gliny nic nie znalazły. Zaś goście siedzieli w ciemności chichocząc radośnie i pijąc wino. Przybiegła nowa zmiana spod Niedźwiedziej Flagi. I wtedy zaczęła się zabawa. Policjanci wrócili, zajrzeli do środka, pomlaskali językami i przyłączyli się do towarzystwa. Mack i chłopaki pojechali wozem policyjnym po wino do Immy'ego Brucii i Immy przyjechał razem z nimi. Hałas słychać było na całej ulicy Nadbrzeżnej. Przyjęcie miało wszelkie cechy rewolty i nocy barykad. Załoga trawlera wróciła pokornie i przyłączyła się do towarzystwa. Jakaś kobieta, mieszkająca o pięć przecznic dalej, zadzwoniła do policji skarżąc się na hałas, ale nikt nie podchodził do telefonu. Policjanci stwierdzili, że skradziono im samochód, i znaleźli go później na plaży. Doktor siedział na stole skrzyżowawszy nogi, uśmiechał się i delikatnie pukał palcem w kolano. Mack i Phyllis Mae prowadzili zapasy w stylu wolnoamerykańskim na podłodze. Chłodny powiew morza wpadał przez wybite okna. Wtedy właśnie ktoś podpalił sznur fajerwerków.

---

<sup>1</sup> Wyjątki z poematu „Czarne nagietki” tłumaczone z sanskrytu na język angielski przez E. Powys Mathersa.

## Rozdział 31

Pięknie wyrosnięty kret kalifornijski zajął mieszkanie w gęstwinie ślazu na pustym placu przy ulicy Nadbrzeżnej. Było to doskonałe miejsce. Wysokie lubieżne ślazy rosły w górę splecione i gęste, a gdy dojrzały, ich małe serki zwisały wyzywająco. Ziemia była jak wymarzona na kretowisko — czarna i miękka, a jednak z pewną domieszką gliny, tak że się nie osypywała, a korytarze w niej wydrążone nie zapadały się. Kret był tłusty i zwinny i miał mnóstwo jedzenia w swych torebkach policzkowych. Jego małe uszki były czyste i dobrze osadzone, a oczy tak czarne jak łebki staromodnych szpilek i nawet tego samego rozmiaru. Miał mocne łopatkowate łapki, futro na grzbiecie połyskliwie brązowe, a płowe futro na piersi — niewiarygodnie miękkie i gęste. Jednym słowem był to piękny kret w wiośnie swego życia.

Przybył na plac, uznał go za doskonały i zaczął budować kurhan na małym wzniesieniu, skąd między ślazem miał widok na ulicę i jeżdżące po niej ciężarówki. Mógł widzieć nogi Macka i chłopaków, gdy przechodzili przez plac do willi „Cichy Kącik”. Gdy wykopał się w czarną jak węgiel ziemię, jeszcze bardziej mu się tu podobało, ponieważ pod warstwą próchnicy leżały duże kamienie. Wielką komorę przeznaczoną na spiżarnię zbudował pod kamieniem, tak że nigdy nie mogła się zapaść, choćby lał największy deszcz. W tym miejscu pragnął się osiedlić i spłodzić dowolną liczbę pokoleń, a kurhan mógł się rozrastać we wszystkich kierunkach.

Kiedy po raz pierwszy wysunął głowę z kopca, świecił przepiękny ranek. Światło, przefiltrowane przez liście ślazów, było zielone i pierwsze promienie wschodzącego słońca ogrzały norkę kreta. Leżał rozciągnięty wygodnie i bardzo zadowolony.

Gdy wykopał główną komorę, cztery zapasowe wyjścia i wodoszczelne pomieszczenie, zaczął gromadzić zapasy. Podcinał proste łodygi ślazu, przygryzał je do tej długości, jaka była mu potrzebna, wciągał je do wnętrza, układał porządkie w wielkiej komorze i przyrządzał tak, żeby nie fermentowały ani kwaśniały. Znalazł świetne miejsce do osiedlenia się. W okolicy nie było ogrodów, więc nikt nie myślał o zastawianiu pułapek. Kotów kręciło się mnóstwo, ale tak się opychały rybimi łebkami i wnętrznościami z

wytwórni konserw, że od dawna zaniechały polowań. Grunt był wystarczająco piaszczysty, toteż woda nigdy długo nie stała ani nie zalewała norki. Kret pracował i pracował, póki nie napełnił zapasami całej wielkiej komory. Potem porobił małe pokoiki dla dzieci. W ciągu kilku lat tysiące jego potomków powinno wyjść z tego rodowego gniazda.

Ale gdy czas upływał, kret począł się trochę niecierpliwić, bo nie zjawiała się żadna samiczka. Siedział rankiem u wejścia do swej jaskini i wydawał z siebie przenikliwe piśnięcia, niedosłyszalne dla ludzkiego ucha, ale doskonale zrozumiałe dla innych kretów głęboko w ziemi. A jednak nie zjawiała się żadna samiczka. Wreszcie w krańcowym zdenerwowaniu powędrował przez tor i szedł dalej, póki nie znalazł kopca innego kreta. Pisnął wyzywająco u wejścia. Usłyszał szmer, poczuł samiczkę, a potem z dziury wyskoczył stary bojowy kret, który pobił go i pogryzł tak fatalnie, że powłókł się do domu i leżał przez trzy dni w wielkiej komorze, zanim wyzdrowiał. W bitwie stracił dwa palce przedniej łapy.

Znowu czekał i popiskiwał przy swoim pięknym kurhanie w pięknej okolicy, ale nadal nie zjawiała się samiczka, tak że po pewnym czasie musiał się wyprowadzić. Zamieszkał dwie przecznice dalej w ogrodzie pełnym dali, gdzie każdej nocy zastawiano pułapki.

## Rozdział 32

Doktor budził się bardzo powoli i niedołąźnie jak grubas, który wylazi z basenu pływackiego. Jego świadomość wydobywała się na powierzchnię kilka razy i znowu zapadała w głąb. Na brodzie miał szminkę. Otworzył jedno oko, zobaczył jaskrawą kołdrę i szybko je zamknął. Ale po chwili spojrzął znowu. Jego oczy wędrowały po kołdrze na podłogę, do popękanej płyty w rogu pokoju, do szklanek stojących na stole przewróconym do góry nogami, do rozlanego wina i książek podobnych ciężkim, martwym motylom. Wszędzie leżały małe kawałeczki poskręcane czerwonego papieru i czuć było ostrą woń fajerwerków. Przez otwarte drzwi kuchni widział porzucone na kupę patelnie i brytfanki, grubo zasmarowane tłuszczem. Setki rozgniecionych niedopałków walało się na podłodze, a poprzez odór fajerwerków przebijała się subtelna mieszanka zapachów wina, whisky i perfum. Jego oko zatrzymało się przez chwilę na małej kupce szpilek do włosów leżącej na środku pokoju. Przewrócił się na bok i opierając się na łokciu wyrzwał przez rozbitą szybę. Ulica Nadbrzeżna była cicha i słoneczna. Drzwi kotła stały otworem. Drzwi willi „Cichy Kącik” były zamknięte. Jakiś mężczyzna spał snem sprawiedliwego wśród chwastów na pustym placu. Niedźwiedzia Flaga była zamknięta na cztery spusty.

Doktor wstał, poszedł do kuchni i w drodze do toalety zapalił gazowy grzejnik do wody. Wrócił, usiadł na krawędzi łóżka i jeszcze raz przeprowadził inspekcję ruin. Zza wzgórza słyszał dźwięk kościelnych dzwonów. Gdy grzejnik zaczął hałasować, poszedł do łazienki, wziął natrysk, założył niebieski kombinezon i flanelową koszulę. Lee Chong był zamknięty, ale otworzył natychmiast, gdy zobaczył, kto stoi przy drzwiach. Zanim Doktor zdążył powiedzieć słowo, podszedł do lodówki i wyjął kwartę piwa.

Doktor zapłacił.

— Dobła zabawa? — spytał Lee. Jego brązowe oczy były lekko zaczerwienione.

— Dobra zabawa! — rzekł Doktor i wrócił do laboratorium z zimnym piwem. Zrobił do niego kanapkę z kokosowym masłem. Na ulicy było bardzo spokojnie. Nikt nie przechodził. Doktor słyszał muzykę w głowie — skrzypce i wiolonczelę, jak mu się zdawało. Instrumenty grały chłodno, miękko, śpiewnie. Zjadł kanapkę, wypił piwo i słuchał



tej muzyki. Gdy skończył piwo, poszedł do kuchni i wyjął brudne naczynia ze zlewu. Puścił gorącą wodę i sypał płatki mydlane pod strumień wody tak, żeby utworzyła się burzliwa biała piana. Potem zaczął zbierać z podłogi wszystkie całe szklanki. Włożył je do pienistego ukropu. Na kuchni stał stos talerzy, lepkich od brązowego sosu i białego smalcu. Doktor umył kawałek stołu, by zrobić miejsce na szklanki. Później otworzył drzwi do tylnego pokoju, wyciągnął jeden ze swoich kompletów z gregoriańską muzyką, założył *Pater Noster* i *Agnus Dei* i puścił fonograf. Anielskie, bezcielesne głosy wypełniły laboratorium. Były niewiarygodnie czyste i słodkie. Doktor ostrożnie mył szklanki, żeby nie brzęczały i nie psuły muzyki. Chłopcy wykonywali melodie prosto, ale z takim bogactwem odcieni, jak w żadnej innej pieśni. Gdy płyta się skończyła, Doktor wytarł ręce i odwrócił ją na drugą stronę. Zobaczył książkę leżącą pod łóżkiem, wyciągnął ją i usiadł. Przez chwilę czytał tylko oczyma, ale potem jego usta zaczęły się poruszać i czytał głośno, lecz wolno, zatrzymując się po każdej linijce.

*Nawet teraz  
Pamiętam mądrych mężów, którzy życie swoje  
Spędzili w rozmyślaniu. Słuchałem ich rozmów,  
Nie znalazłem w nich Jednak soli szeptów mej dziewczyny,  
Szmeru zmieszanych barw na chwilę przed zaśnięciem;  
Małe, przemądre słowa i dowcipne słówka,  
Swawolne niby woda, miodne pożądaniem.*

Rozbełtana biała piana w zlewie ostygła i zgęstniała. Na nabrzeże szturmował wysoki przypyływ i fale rozbijały się o skały, których nie mogły dosięgnąć od długiego czasu.

*Nawet teraz  
Pamiętam, że kochałem cyprysy, róże, jasność,  
Wielkie błękitne góry, małe szare wzgórza  
I morza szum. I dnie słoneczno-złote.  
Widziałem dziwne oczy, ręce jak motyle;  
Dla mnie rankiem skowronki wzbijały się w niebo,  
A dzieci przychodziły kąpać się w strumykach.*

Doktor zamknął książkę. Słyszał, jak fale pluszcza o filary, i słyszał, jak białe szczury miotają się po klatkach. Wszedł do kuchni i sprawdził, czy woda bardzo ostygła. Wpuścił gorącej wody. Mówił głośno do zlewu, do białych szczurów i do siebie:

*Nawet teraz  
Wiem, że spijałem gorący smak życia,  
Na wielkiej uczcie wznosząc czasze zielone i złote.  
Tylko na krótką chwilę olśniła ma dziewczyna  
Me oczy strugą wieczystego światła...*

Wytał oczy wierzchem dłoni. Białe szczury biegały i miały się w klatkach. A za szklanymi szybami grzechotniki leżały nieruchomo i patrzyły w przestrzeń swymi szarymi, ponurymi oczyma.